REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN



wSIECI

Nr 1–2 (80–81)
STYCZEŃ–LUTY 2020
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

HISTORII

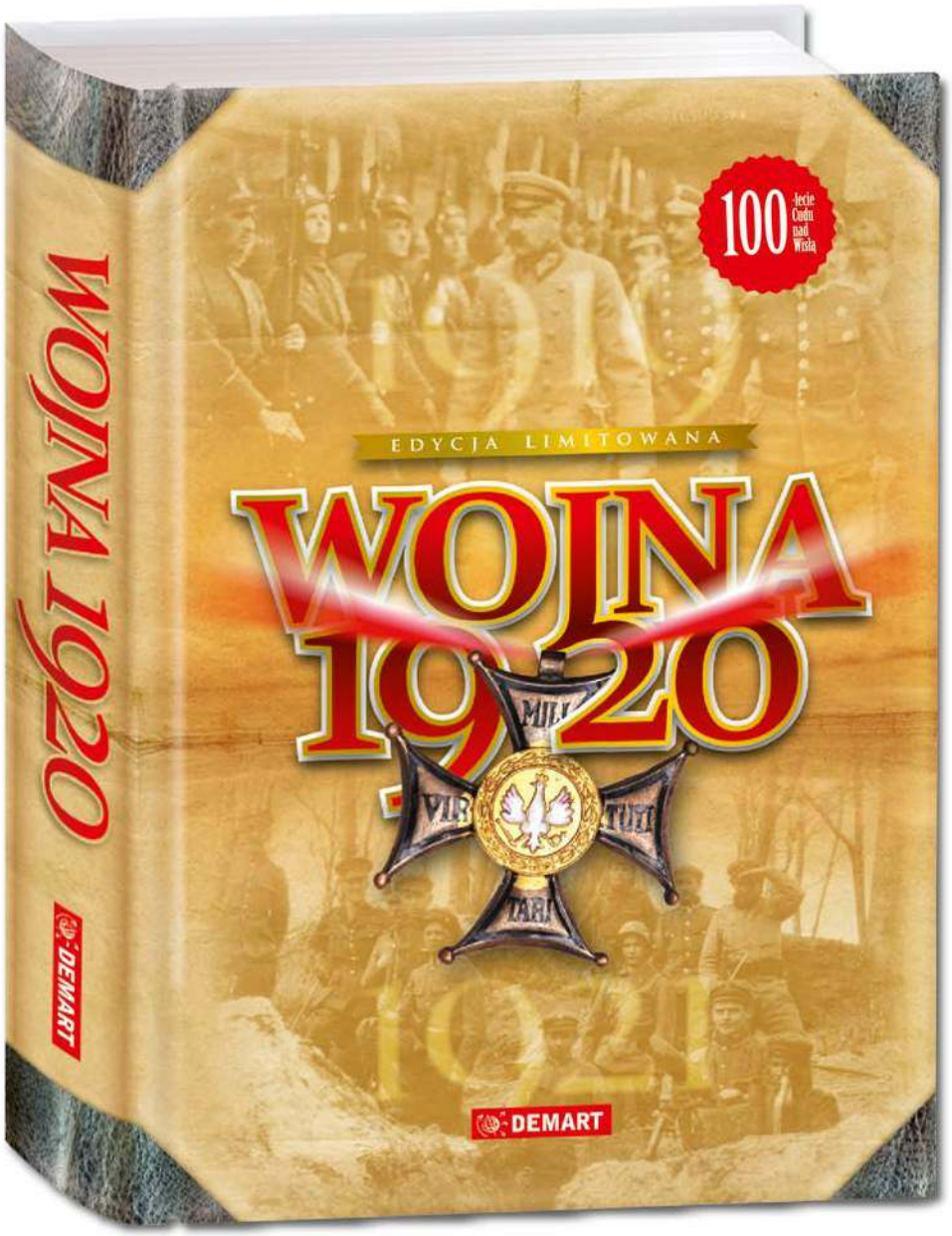
MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

W SŁUŻBIE MOSKWIE

KOMUNIŚCI Z KPP KONTRA II RP

INDEKS 297129 ISSN: 2300-6803

Opowieść o wojnie, która zmieniła bieg historii



Wojna polsko–bolszewicka i 100-lecie Cudu nad Wisłą

www.demart.com.pl

DEMART

CZY MAMY SIĘ CZEGO BAĆ?

U progu 2020 r. spotkały nas co najmniej dwie niemiłe niespodzianki, których sens warto odczytać w kontekście zbliżającej się 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej i odepchnięcia, niestety jedynie na 20 lat, bolszewików na daleki wschód Starego Kontynentu. Pierwszą niespodzianką był wynik wyborczy starej-nowej lewicy kryjącej się pod szyldem SLD, która wyrasta korzeniami z PZPR – środowiska ideologicznego rządzącego w PRL z moskiewskiego nadania. Drugą niespodzianką, przynajmniej dla mnie, była tak szybka po wyborach seria mniej lub bardziej spontanicznych wypowiedzi liderów tej nowej-starej partii gloryfikujących armię bolszewicką, która co najmniej trzykrotnie w XX w. najeżdżała polskie ziemie; w 1920, 1939 i najskuteczniej w 1944 r. Różnica między najeźdźcami z 1920 i 1944 r. polegała jedynie na tym, że w 1920 r. bolszewicy parli na zachód po trupach „pańskiej Polski", a w 1944 r. po trupach „faszystowskich imperialistów". W perspektywie sowieckiej propagandy i ideologii obydwaj wrogowie nie różnili się moralnie od siebie, a ich miejsce było pod ziemią, w najlepszym razie w obozie, więzieniu czy w łagrach. Jak pisał swego czasu Tadeusz Żenczykowski w „Dwóch Komitetach", o białostockim rewkomie z 1920 r. i jego lubelskim następcy z 1944 r., Sowieci pod wodzą tego samego Stalina posłużyli się polskimi renegatami, którzy za cenę udziału w zniewoleniu własnego narodu mieli otrzymać nagrodę – władzę i wsparcie Moskwy.

Patrząc na dzisiejszą starą-nową lewicę uznającą, że akt zniewolenia Polaków w 1944 r. należy nazywać „wyzwoleniem", zaczynam się zastanawiać: czy należy bać się polityków tej formacji, a jeszcze bardziej tych, którzy nań głosowali? Dają jednoznaczny sygnał, że niepodległość Polski nie stanowi dla nich wartości. Jeśli ktoś zacznie w to wątpić, obrońcy dobrego imienia „wyzwolicieli" będą zdolni do wprowadzenia (gdyby zdobyli władzę na drodze demokratycznej) wobec „mniej postępowych" narzędzi dyscyplinujących według bolszewickiej tradycji. Ziemie polskie są pełne cmentarzy i „łączek", od Katynia po Powązki, gdzie leżą ofiary takich „postępowych" praktyk.

Stara-nowa lewica ma w sobie niebezpieczny dynamit, który ujawnia powoli swą wybuchowość; dokąd nas to doprowadzi? Oto bowiem postkomuniści pamiętający o „wyzwoleniu Polski w 1944 r." spotkali na swej drodze młodych i gniewnych ideologów genderyzmu, nosicieli nowego „wyzwolenia", przeciwko którym występuje nowa „pańska Polska". Czytelnicy „wSieci Historii" zapewne należą do tej kategorii podludzi. Role zostały rozdane! Na razie grozi nam cenzura w portalach społecznościowych, bezkarna profanacja „wafla" i kary za głoszenie publicznie nauki Kościoła katolickiego.

Przypominamy zatem w tym numerze, kim byli bolszewicy i ich polscy podwykonawcy z KPP. Wprowadzamy także nową rubrykę, której celem jest przedstawienie postaw Polaków i wydarzeń z roku Bitwy Warszawskiej, w efekcie których uratowaliśmy świeżo odzyskaną państwowość. I pytamy: czy dziś zasługujemy na Polskę Odrodzoną, skoro wybieramy w wolnych wyborach formację mówiącą publicznie o „wyzwolicielach" z Armii Czerwonej?

JAN ŻARYN



eprasa.pl

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 1–2 (80–81) STYCZEŃ–LUTY 2020







10 W PRZYPADKU KPP MAMY DO CZYNIENIA Z DZIAŁAJĄCĄ NA ZIEMIACH POLSKICH ORGANIZACJĄ KIEROWANĄ I FINANSOWANĄ PRZEZ OBCE MOCARSTWO, DE FACTO Z SOWIECKĄ AGENTURĄ – OCENIA KAROL SACEWICZ

34 9 LIPCA 1661 r. NA SEJMIE WALNYM KRÓL JAN II KAZIMIERZ WAZA WYGŁOSIŁ ZASKAKUJĄCO TRAFNĄ PRZEPOWIEDNIĘ DOTYCZĄCĄ ROZBIORÓW RZECZYPOSPOLITEJ, KTÓRE ROZPOCZNĄ SIĘ 111 LAT PÓŹNIEJ – PISZE BARTOSZ STARĘGOWSKI

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 GDYNIA – OKNO NA ŚWIAT. DAĆ POLSCE SKRZYDŁA
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 W SŁUŻBIE MOSKWY PRZECIW POLSCE
KAROL SACEWICZ

13 FITNESS W CIENIU GUŁAGU
KRZYSZTOF JASIEWICZ

17 PRZECIW ANDERSOWI
MARIA RADOŻYCKA



20 SIEDZIAŁA ZA KATOWICE
JERZY DĄBROWSKI

22 WOZIŁEM BERLINGA
ŁUKASZ ZARANEK

FELIETONY

25 1946 – ROK JUANA PERÓNA
PAWEŁ SKIBIŃSKI

75 POLSKI ODPOWIEDNIK KARDYNAŁA RICHELIEU
GRZEGORZ GÓRNY

97 ZAMIAST NADZIEI I BŁOGOSŁAWIEŃSTW
ELŻBIETA BRZOZOWSKA

103 HIROHITO
ANTONI DUDEK

103 KASZMIR I ISLAMSKI TERRORYZM
RYSZARD CZARNECKI

108 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

109 CAT I MOCHNACKI
MAREK JUREK

NARRACJA.USPL



26 BOLSZEWICY I OFICEROWIE
MAREK JAN CHODAKIEWICZ

JĘZYK HISTORII

28 RADZIECKI CZY SOWIECKI?
ADAM HLEBOWICZ

TEMAT MIESIĄCA

31 MŁODSI WAZOWIE
HENRYK LITWIN

34 PROROCTWO JANA KAZIMIERZA
BARTOSZ STARĘGOWSKI

37 NA BOŻĄ I KRÓLEWSKĄ CHWAŁĘ
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI



40 WAZOWIE WRÓCILI
WOJCIECH FAŁKOWSKI

WEHIKUŁ CZASU

44 STYCZEŃ, LUTY
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

48 LIST Z NOWEGO AMSTERDAMU
JACEK KROCHMAL



TAJEMNICE AAN

50 WYTRAWNA KONSPIRATORKA RODEM Z KIELC
KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

DUSZA KONTUSZA

52 SZYMON OKOLSKI – PIEWCA RUSI KORONNEJ
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

55 SUMY NEAPOLITAŃSKIE
MAREK MADEJ

ZDARZYŁO SIĘ

58 O „TĘCE STAŃCZYKA" I STAŃCZYKACH
PIOTR HAPANOWICZ

61 RZECZPOSPOLITA AKADEMICKA
PATRYK TOMASZEWSKI

64 MISTRZ PRZESŁAWSKI. OPOWIEŚĆ O DZIADKU
KAROL PRZESŁAWSKI

67 CO SIĘ WYDARZYŁO W SIECZYCHACH?
MARIUSZ OLCZAK



70 Z APARATEM WŚRÓD RUIN
MICHAŁ KOMUDA

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. PAP/CAF-ARCHIWUM: KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE; EAST NEWS/COLLECTION ROGER-VIOLLET

55 BONA SFORZA D'ARAGONA W PAŹDZIERNIKU 1557 r. UDZIELIŁA KRÓLOWI HISZPANII FILIPOWI II POŻYCZKI W WYSOKOŚCI 430 TYS. DUKATÓW. CZY WIĘC DZIŚ HISZPANIA JEST WINNA POLSCE OK. 350 MLN ZŁ PLUS ODSETKI? – ANALIZUJE MAREK MADEJ

74 LEGENDA „WRZOSA"
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

1920 – STO LAT PO...

76 ŚWIĘTE MIEJSCA II RP
ANDRZEJ FEDOROWICZ

POLONIA

79 GŁOSOWANIE NIE WYBORY
KRZYSZTOF TARKA



TERYTORIUM

82 ZIEMIA PEŁNA ŚWIADECTW
MONIKA MAZANEK-WILCZYŃSKA

84 POLSKI STETTIN
WOJCIECH OSIŃSKI

PRASPORT

88 JANA TOMASZEWSKIEGO PRZYPADKI ZE „SMUTNYMI PANAMI"
GRZEGORZ MAJCHRZAK

WŁADCZYNIE

91 ZOFIA HOLSZAŃSKA
MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

92 KRÓTKA HISTORIA WYTWÓRNI FILMÓW NARODOWYCH
RENATA WĄSOWSKA



94 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

96 RAFAŁ ŁATKA ROZMAWIA Z...

98 ODKRYWANIE SKARBÓW W PIASKACH MAZOWSZA
KATARZYNA J. KOWALSKA

102 WOJNA W KINIE
KAROL MAZUR



DIABEŁ NIE MÓGŁ

104 MISTYCZKA, PRZED KTÓRĄ KRÓL ODKRYWAŁ GŁOWĘ
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

106 SŁODYCZE PRZEZ WIEKI
KRZYSZTOF ŻARYN

CZYM STRZELAĆ



110 KARABIN MOSIN WZ. 1891
KACPER GROCHOCKI

NAC PREZENTUJE

111 WIDMO WOJNY GAZOWEJ
ŁUKASZ KAROLEWSKI

HISTORIA OKŁADKI

112 CZERWONI TERRORYŚCI
MICHAŁ KORSUN

ZE ZBIORÓW MPW



114 JENIECKI NIEŚMIERTELNIK
PAWEŁ BRUDEK

OPOWIEŚCI IPN

115 DLACZEGO „PESTKI" SĄ TWARDE?
ARTUR CIEŚLIK

eprasa.pl 0aa789525f

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Lidia Słowikowska-Smolińska
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja: Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl, Bartłomiej Szyperski, bartlomiej.szyperski@fratria.pl
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: Projekt: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor; Aktorzy i rekonstruktorzy: Magdalena Samulik, Hubert Matysiak, Jan Nałęcz, Piotr Skoczyński; Charakteryzacja: Klaudyna Pabudzińska-Kossek, Joanna Wasilewska; Kostiumy i rekwizyty: Retro-Pasje oraz Reko-waw



FOT. MAT. PRASOWE/MICHAŁ ZIÓŁKOWSKI

Minister Magdalena Gawin (1P) z rodziną Skłodowskich, upamiętnioną przez Instytut Pileckiego

Rodziny Polaków zamordowanych za pomoc Żydom chcą upamiętnień

24 listopada w Broku n. Bugiem odbyło się spotkanie rodzin Polaków zamordowanych w trakcie okupacji niemieckiej za pomaganie Żydom, które zorganizowano w ramach projektu „Zawołani po imieniu" stworzonego przez Instytut Pileckiego. Celem wydarzenia było podsumowanie pierwszego roku realizacji projektu oraz integracja środowiska. Naukowcy z Instytutu Pileckiego zbierali także relacje o tragicznych wydarzeniach z czasów wojny oraz dalszych losach tych, którym udało się przeżyć. Przy okazji spotkania sformułowany został apel o dalsze upamiętnianie polskich Sprawiedliwych. Inicjatorzy deklaracji zapisali: „Wierzymy głęboko, że śmierć naszych rodziców i dziadków nie była daremna, choć w wielu przypadkach nie udało im się nikogo uratować. Dali oni wyraz mężnej postawy chrześcijańskiej. Ich losy są przestrogą przed nienawiścią. Ich przesłanie jest niezwykle ważne dla wspólnot lokalnych, dla Polski, dla Europy i dla świata". Pod listem podpisało się 91 przedstawicieli rodzin wszystkich osób upamiętnionych w ramach akcji Instytutu Pileckiego.



Wokół losów słynnych rodów

4 grudnia w Centrum Edukacyjnym Instytutu Pamięci Narodowej „Przystanek Historia" w Warszawie odbyło się spotkanie promujące książkę Marcina Schirmera „Słynne rody. Wybitni polscy przemysłowcy, artyści, politycy i naukowcy". Autor przybliża w swojej publikacji sylwetki i dokonania wybranych przedstawicieli sześciu rodzin, które wniosły cenny wkład zarówno w polską, jak i światową kulturę, naukę, sztukę, politykę, a także stworzyły podwaliny pod budowę nowoczesnego, uprzemysłowionego państwa. Książka prezentuje dzieje członków rodów Hersów, Kieniewiczów, Kisielewskich, Kronenbergów, Wedlów oraz Witkiewiczów. Rozmowę z autorem poświęconą jego dziełu poprowadził red. Piotr Łoś.

XIV Festiwal Polonijny „Losy Polaków"

W listopadzie w warszawskim Domu Dziennikarza miał miejsce XIV Festiwal Polonijny „Losy Polaków". Impreza stanowiła przegląd profesjonalnych i amatorskich dzieł multimedialnych z całego świata z zakresu: filmu, telewizji, radia, internetu, których tematem przewodnim była 100. rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Celem głównym inicjatywy była promocja polskiej historii, kultury, tradycji wśród odbiorców krajowych, a także wśród środowisk polonijnych w świecie. Festiwal jest też płaszczyzną do nawiązania lub zacieśnienia kontaktów z ojczyzną Polaków mieszkających za granicą; był okazją do wyszukiwania i wspierania wśród Polonii talentów z różnych dziedzin sztuki, promocji laureatów Festiwalu w Polsce i za granicą, wyszukiwania wśród Polonii osób, które odniosły sukces w dziedzinie kultury, nauki, biznesu, i ich promocji w kraju i za granicą, wzmocnienia patriotyzmu, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży, poprzez multimedialne prezentacje wzorów patriotyzmu i właściwych autorytetów. Głównym organizatorem wydarzenia jest Zygmunt Gutowski, dziennikarz radiowo-telewizyjny i realizator filmowy. Festiwal został włączony do obchodów rocznicowych w ramach programu „Niepodległa". Patronatu honorowego udzielił przedsięwzięciu minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. W skład Komitetu Honorowego weszli m.in. szef KPRM Michał Dworczyk, prezes IPN dr Jarosław Szarek, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych Jan Józef Kasprzyk, ks. Ireneusz Skubiś oraz prof. Jan Żaryn.



FOT. ARCHIWUM FUNDACJI POLSKA–EUROPA–POLONIA

„Szanowny Panie Profesorze,

zwracam się do Pana z niewielką, lecz istotną dla mnie ze względów rodzinnych, sprawą. Jestem prenumeratorem, a od czasu wydania pierwszych numerów wnikliwym czytelnikiem (w)„Sieci" i „wSieciHistorii". Otóż w jesiennym wydaniu magazynu o Polsce, historii i kulturze (Nr 9-10 (76-77) wrzesień-październik 2019) w interesującym artykule Krzysztofa Tarki „Wielka chwila na emigracji. O wyborze Kardynała Karola Wojtyły na papieża", na stronie 48. moją uwagę zwróciła fotografia mojego brata ciotecznego, Stanisława Ostrowskiego (18.03.1915 – 24.03.1979). Podpis pod zdjęciem poza prawidłowym imieniem i nazwiskiem zawiera jednak dane biograficzne innej, choć wielce zasłużonej w historii Polski, osoby.

Mieczysław Metler"

Szanowny Panie,
bardzo przepraszamy za pomyłkę i dziękujemy za informacje o Stanisławie Ostrowskim, warszawskim powstańcu i jednym z młodych poetów Walczącej Polski. Tekst jest tak interesujący, że obiecujemy go wydrukować w numerze lipcowo-sierpniowym „wSieci Historii".

Łączymy wyrazy szacunku,
Redakcja

eprasa.pl 0aa789525f

Wystawa o polskiej historii w Exeter

W dniach 15–16 listopada w Exeter w Wielkiej Brytanii miała miejsce wyjątkowa wystawa prezentująca wkład polskich sił powietrznych i marynarki wojennej w pokonanie Niemiec podczas II wojny światowej. Impreza została zorganizowana przez brytyjsko-polską grupę 307 Squadron Project w składzie: Michael Parrot, Andrzej Michalski i Marcin Piórkowski, oraz wspierających ją wolontariuszy polskich i brytyjskich. Sukces i rozmach przedsięwzięcia nie byłyby możliwe bez wsparcia Rady Miasta Exeter i Ambasady Polskiej w Londynie. Inspiracją wystawy były dzieje Dywizjonu 307, jedynego z polskich dywizjonów myśliwskich przeznaczonego do działań nocnych. Najdłużej piloci stacjonowali niedaleko Exeter w hrabstwie Devon, gdzie z sympatią są pamiętani przez mieszkańców miasta. Wystawa, a właściwie Dzień Polski w Exeter, rozpoczęła się od odegrania Mazurka Dąbrowskiego przed siedzibą Exeter Guildhall, czyli urzędu miasta, w asyście sztandarów RAF oraz w obecności przedstawicieli władz miasta. Stronę polską reprezentowali attaché wojskowy w Wielkiej Brytanii i zgromadzona Polonia. Podczas uroczystości została wciągnięta polska flaga. Następnie otwarto wystawę prezentującą dorobek Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie ze szczególnym uwzględnieniem Dywizjonu 307 i wkładu polskich żołnierzy w operację D-Day. Zgromadzono liczne zdjęcia, ilustracje i mapy z dwujęzycznym polsko-angielskim opisem. Eksponaty stanowiły też osobiste rzeczy pilotów i personelu dywizjonu. Zgromadzono i udostępniono archiwalne filmy oraz dokumenty z archiwów brytyjskich i polskich, wsparte relacjami żołnierzy dywizjonu. Wystawa w Exeter i towarzyszące jej imprezy są powtarzane cyklicznie od 2012 r. Zwiedzający otrzymali dużą dawkę solidnej wiedzy historycznej zaprezentowanej w ciekawej formie. Jednym z punktów wystawy było przedstawienie wyników śledztwa dotyczącego katastrofy lotniczej, która miała miejsce nieopodal lotniska Exeter w 1943 r. Ostatnim punktem programu było złożenie wieńców i wspólna modlitwa w kaplicy św. Jakuba w słynnej katedrze, pod wmurowaną płytą oddającą hołd pilotom i personelowi Dywizjonu 307. Modlitwę poprowadził pastor anglikański, modląc się za pilotów, ale również za społeczność polską mieszkającą w Exeter. Ceremonia miała wyjątkowy i symboliczny charakter. Wystawa i towarzyszące wydarzenia kulturalne są przykładem skutecznej polityki historycznej i promocji Polski na świecie.

Zbigniew Izdebski



FOT. MAT. PRASOWE

Rajd Śladami „Szarego"

W dniach 16–17 listopada u podnóża Gór Świętokrzyskich miał miejsce Rajd Śladami gen. Antoniego Hedy „Szarego", który został zorganizowany przez Fundację im. Janusza Kurtyki w ramach III edycji projektu „Rajd Śladami Żołnierzy Wyklętych". Tym razem wydarzenie miało na celu upamiętnienie legendarnego dowódcy podziemia niepodległościowego, który na terenie Kielecczyzny walczył z okupantem niemieckim oraz wojskiem sowieckim. W trakcie rajdu jego uczestnicy odwiedzili miejsca, w których dochodziło do potyczek z oddziałami komunistycznej bezpieki oraz niemieckiego gestapo. Finalnym punktem rajdu było kieleckie więzienie, rozbite przez oddział „Szarego" w sierpniu 1945 r. Pełna trasa przedstawiała się następująco: Warszawa – Iłża – Starachowice – Wąchock – Wykus – Św. Katarzyna – Michniów – Skarbowa Góra – Piekło n. Niekłaniem – Końskie – Radoszyce – Trawniki – Kielce – Warszawa. Współorganizatorem projektu jest Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, a partnerem głównym – PKN Orlen. Wydarzenie odbywało się pod patronatem narodowym prezydenta RP Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości. Patronat honorowy nad wydarzeniem objęły Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej oraz Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych.

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. MAT. PRASOWE

Wokół 101. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego

27 grudnia 2019 r. przypada 101. rocznica wybuchu powstania wielkopolskiego. Z tej okazji planowany jest cały szereg okolicznościowych wydarzeń. Obchody rocznicowe rozpoczną się 26 grudnia o godz. 16 inscenizacją, z udziałem Poznańskiego Chóru Nauczycieli, przyjazdu Ignacego Jana Paderewskiego na Dworzec Letni w Poznaniu. Dzień później, o godz. 11:15, nastąpi uroczyste złożenie wiązanek na mogiłach gen. Stanisława Taczaka i płk. Wincentego Wierzejewskiego na Cmentarzu Zasłużonych Wielkopolan oraz przy tablicach pamiątkowych związanych z bojem o przyłączenie Wielkopolski do Polski. O godz. 12:30 w intencji powstańców zostanie odprawiona msza św. w Farze Poznańskiej przy ul. Gołębiej 1, a o godz. 16:30 odbędą się uroczystości przy pomniku Powstańców Wielkopolskich. O godz. 19 w centrum Poznania rozpocznie się Bieg Powstania Wielkopolskiego, którego start i meta zorganizowane zostaną pomiędzy mostem Jordana a Bramą Poznania. Trasa liczy 10 km. Udział w imprezie mogą wziąć osoby, które mają ukończone 16 lat. Organizatorem wydarzenia jest Stowarzyszenie „Bieg Powstania Wielkopolskiego", a więcej informacji można znaleźć na jego stronie internetowej www.biegpowstaniawlkp.pl. Ostatnim elementem programu rocznicowego tego dnia będzie widowisko multimedialne na pl. Wolności zatytułowane „Światło zwycięstwa". 28 grudnia kolejne obchody odbędą się w Warszawie. O godz. 12 w kościele św. Jacka przy ul. Freta 10 zostanie odprawiona msza św. w intencji powstańców wielkopolskich, a o godz. 13:30 będzie miał miejsce apel pamięci przy Grobie Nieznanego Żołnierza, po którym zebrani przejadą na Cmentarz Wojskowy na Powązkach, gdzie złożą wieńce na grobach osób związanych z powstaniem wielkopolskim.

Wyjaśnienie

Z zainteresowaniem przeczytałam w magazynie „wSieci Historii" nr 11-12/2019 na str. 114 tekst Andrzeja Zawistowskiego pt „Ogarek i świeczka". Niezbędne jest jednak jedno wyjaśnienie. Zwróciło moją uwagę, że w zaprezentowanym materiale zdjęciowym nie podano ani sygnatury, ani nazwy archiwum, w którym materiał jest przechowywany. Zamieszczenie go w rubryce „Ze zbiorów MPW" sugeruje, że w Muzeum Powstania Warszawskiego. Tymczasem jest to materiał archiwalny ze zbiorów Instytutu Pamięci Narodowej z teczki o sygnaturze IPN BU 0827/293.

Z poważaniem,
Marzena Kruk, Dyrektor Archiwum
Instytutu Pamięci Narodowej KŚZpNP

„wSieci Historii" w Radiu dla Ciebie...

21 grudnia (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...w Radiu Warszawa...

19 grudnia (czwartek) o godz. 10.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 23.07.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
wSIECI HISTORII	–	**29 zł** (3 wydania)	**54 zł** (6 wydań)
SIECI	**75 zł**	**139 zł**	**245 zł**
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	**158 zł** (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280 zł** (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 0aa789525f

Dać Polsce skrzydła

Rocznica stulecia polskiej niepodległości zbiega się z setną rocznicą narodzin polskiego lotnictwa. Nie będzie lepszej okazji, by w galerii chwały minionych stu lat dziejów państwa i narodu uwzględnić nierozłączną parę – pilota i inżyniera – której osiągnięcia konstrukcyjne i sportowe zapisały się złotymi zgłoskami w historii nie tylko polskiej, ale i światowej aeronautyki.



Franciszek Żwirko (z prawej) i Stanisław Wigura, 1932 r.

Pierwszy z nich, Franciszek Żwirko – urodzony w 1895 r., oficer armii carskiej, Polskich Korpusów na Wschodzie i armii Denikina, weteran walk z Niemcami i bolszewikami – w niepodległej Polsce wyrobił sobie opinię „asa przestworzy", jako utalentowany lotnik, ale także uznany instruktor pilotażu. Stał się przy tym w międzywojennej Rzeczypospolitej prawdziwą gwiazdą sportu lotniczego, stawiając przed sobą wciąż nowe wyzwania i bijąc coraz to nowe rekordy. W 1926 r. dokonał pierwszego nocnego rajdu nad krajem, inicjując przy tym w Polsce loty nocne. Rok później zdobył II miejsce w wielkich wschodnioeuropejskich międzynarodowych zawodach. Z kolei drugi – młodszy od Żwirki o sześć lat weteran wojny polsko-sowieckiej, Franciszek Wigura (absolwent Politechniki Warszawskiej) szybko dał się poznać jako znakomity konstruktor. Wraz z Rogalskim i Drzewieckim założył słynny zespół konstrukcyjny RWD (nazwany od pierwszych liter nazwisk członków), którego dziełem były kolejne, coraz doskonalsze modele samolotów sportowych, turystycznych i łącznikowych: RWD-1, RWD-2, RWD-3, RWD-4, RWD-5, RWD-6 i RWD-7. Drogi Żwirki i Wigury skrzyżowały się na progu lat 30. Szybko połączyła ich nie tylko wspólna pasja lotnicza, lecz także wielka przyjaźń. Od tego czasu zasłynęli jako nierozłączna para pilot – mechanik, kolekcjonująca kolejne sportowe osiągnięcia: lot wokół Europy, zwycięstwa w krajowych konkursach lotniczych, wreszcie najcenniejszy triumf, czyli zajęcie pierwszego miejsca w międzynarodowych zawodach Challenge 28 sierpnia 1932 r. (na pamiątkę tego wydarzenia Święto Lotnictwa Polskiego jest obchodzone właśnie 28 sierpnia).

Gorzkim ukoronowaniem życia obydwu pasjonatów była ich ikarowa śmierć. Zginęli w wypadku lotniczym w tym samym roku, w którym zdobyli swe najcenniejsze trofeum. Katastrofa wydarzyła się podczas kolejnej podniebnej wyprawy – tym razem do Pragi, gdzie organizowany był międzynarodowy zlot lotniczy. Maszyna Żwirki i Wigury po stracie skrzydła w burzy, spadła w lasach na Śląsku Cieszyńskim. Pozostała pamięć po niezwykłej parze przyjaciół, którzy „dali Polsce skrzydła"...

FOT. NAC (2X)



PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Okno na świat

„Polskie okno na świat" – tą nazwą trafnie podkreślano rolę, jaką Gdynia odegrała w życiu gospodarczym Polski międzywojnia. Jednak jeszcze większym fenomenem były błyskawiczne, niemające precedensu w nowoczesnych dziejach Starego Kontynentu, narodziny portu i miasta oraz ekspresowe tempo, w jakim Gdynia znalazła się w czołówce europejskich portowych metropolii.

Odnotowana po raz pierwszy w dokumentach w połowie XIII w. jako Gdina, jeszcze w 1919 r. była przede wszystkim wioską i popularnym letniskiem. W wielki plac budowy zamieniła się po przyznaniu Rzeczypospolitej na mocy traktatu wersalskiego dostępu do morza. Ponieważ niemieckie władze Wolnego Miasta Gdańska nastawione były do Polski wrogo, utrudniając swobodny handel i organizację bazy dla polskiej Marynarki Wojennej, wybudowanie własnego bezpiecznego portu stało się dla odradzającego się państwa potrzebą chwili. Kalendarium powstawania miasta i portu w Gdyni także dziś budzi podziw. Jego głównym projektantem był inżynier Tadeusz Wenda. Prace nabrały rozpędu w 1926 r., gdy ministrem przemysłu i handlu został inicjator i zdeklarowany orędownik rozbudowy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski. O ile na progu lat 20. osadę zamieszkiwało nieco ponad tysiąc miejscowych Kaszubów, o tyle w 1939 r. gdynian było już 130 tys. Społeczność miasta stanowili przybysze z polskiego Pomorza oraz z różnych stron kraju: inżynierowie, wykwalifikowani specjaliści i robotnicy, lecz także urzędnicy, nauczyciele i ludzie kultury. Otwarcie portu tymczasowego nastąpiło już w 1923 r. Następnie kolejno wybudowano porty towarowy, rybacki i pasażerski oraz stocznię. W 1934 r. Gdynia stała się największym portem na Bałtyku pod względem wielkości przeładunków, dystansując dzierżące prym w tej dziedzinie od kilkuset lat niemieckie, szwedzkie i duńskie ośrodki handlu morskiego. Była również oceniana jako najnowocześniejszy port w Europie. Równolegle powstawało miasto z rozwiniętą infrastrukturą, bogatym życiem kulturalnym i naukowym, będące prawdziwą dumą przedwojennej Rzeczypospolitej.

Po II wojnie światowej, kiedy na blisko sześć lat Gdynia stała się niemieckim Gotenhafen i portem dla hitlerowskiej Kriegsmarine, miasto powróciło do macierzy i ponownie znalazło się wśród najważniejszych i największych miast portowych w Polsce oraz w całym basenie Morza Bałtyckiego.



Gdynia, 1933 r.

eprasa.pl 0aa789525f



Zjazd Komunistycznej Partii Polski, 1928 r.

FOT. PAP/CAF-ARCHIWUM

W SŁUŻBIE MOSKWY PRZECIW POLSCE

16 GRUDNIA 1918 r. W WARSZAWIE PODCZAS TZW. ZJEDNOCZENIOWEGO ZJAZDU SDKPiL ORAZ PPS-LEWICY ZOSTAŁA UTWORZONA KOMUNISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA POLSKI (KPRP), KTÓRA KILKA LAT PÓŹNIEJ NA SWOIM III ZJEŹDZIE (1925 r.), ZGODNIE Z MOSKIEWSKIMI WSKAZANIAMI, PRZEMIANOWAŁA SIĘ NA KOMUNISTYCZNĄ PARTIĘ POLSKI (KPP)



KAROL SACEWICZ

Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, IPN w Olsztynie

Nie była to jednak „zwyczajna" organizacja polityczna. Niemalże od pierwszych dni swojego funkcjonowania stanowiła bezwzględnie posłuszny instrument moskiewskiej polityki wymierzonej w niepodległy, suwerenny byt Rzeczypospolitej oraz jej integralność terytorialną. Oznaczało to, że na polecenie zewnętrznego – wrogiego Polsce i Polakom – ośrodka politycznego realizowała cele i zadania o antypolskim oraz antyniepodległościowym charakterze. Prowadziła wobec państwa polskiego nie tylko wrogą akcję polityczną, publicystyczną i propagandową, lecz także wywiadowczą, dywersyjną i nierzadko terrorystyczną. Była de facto sowiecką agenturą.

Początki...

Związki tzw. polskich komunistów z bolszewicką Rosją i jej włodarzami początkowo nie należały do bardzo ścisłych ani sformalizowanych. Nie oznaczały też

eprasa.pl 0aa789525f

postrzegania partii bolszewickiej jako ośrodka kierowniczego, awangardy ruchu komunistycznego. Działacze byłej PPS-Lewicy i SDKPiL utrzymywali ścisłe kontakty zarówno z socjaldemokratami i komunistami z zachodniej Europy, jak i z rosyjskimi bolszewikami. Nie uznając przy tym hegemonii tych ostatnich. To jednak w ciągu kilku miesięcy uległo całkowitej zmianie.

W pierwszym okresie swojego istnienia KPRP znajdowała się pod wyraźnym wpływem poglądów związanej z niemieckim ruchem komunistycznym Róży Luksemburg, negującej niepodległościowe dążenia Polaków. Paradoksalnie stało to wówczas w sprzeczności z lansowaną przez bolszewików – jedynie taktyczną – ideą prawa narodów do samostanowienia. Trwanie KPRP na pozycjach tzw. luksemburgizmu skierowało ją nie tylko na front walki przeciwko rządowi Jędrzeja Moraczewskiego czy Ignacego Paderewskiego, lecz także do negacji i bojkotu wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Wszystko to odbywało się równolegle do propagandowego wspierania przez KPRP ofensywy armii bolszewickiej na zachód w ramach realizacji założeń strategicznych operacji „Wisła", w wyniku której Armia Czerwona zajęła Wilno, a także do prób przejęcia realnej władzy nad masami robotniczymi w Polsce za pośrednictwem powstałych rad delegatów robotniczych. Największą z nich była warszawska RDR. To na tym forum działająca tam frakcja komunistyczna starała się – we współpracy z frakcjami żydowskich partii lewicowych, poprzez wywołanie fali akcji strajkowych – doprowadzić do powstania w Polsce wrzenia rewolucyjnego. Ono z kolei miało dać fundament do wybuchu buntu mas i urealnienia idei władzy rad w formie dyktatury proletariatu. Rewolucja ta miała mieć charakter krwawej wojny domowej, w której – jak pisał jeden z głównych bolszewickich ideologów Nikołaj Bucharin – gwałt dokonany na burżuazji będzie gwałtem uświęconym.

Paradoksalnie w tychże radach robotniczych istniała bardzo silna i skuteczna antykomunistyczna zapora chroniąca odradzającą się Polskę przed zabójczą dla niej groźbą eksplozji rewolty komunistycznej; byli to polscy socjaliści. To dzięki ich antykomunizmowi udało się odebrać KPRP jedną z istotnych platform jej ideowego i propagandowego oddziaływania na spauperyzowane robotnicze masy. Zapoczątkowało to też trwającą przez większość dwudziestolecia międzywojennego wojnę na lewicy. Nie dotyczyła ona tylko obszaru rad robotniczych, ale w znacznej mierze koncentrowała się na rywalizacji o wpływy w związkach zawodowych. Tych w II RP było ponad tysiąc. Komuniści przyjęli taktykę przejmowania związków socjalistycznych i innych poprzez umieszczanie w nich utajonych „jaczejek", których zadaniem było skryte radykalizowanie w nich nastrojów, przy oficjalnym unikaniu komunistycznej afiliacji. Ponadto zakładano tworzenie w związkach niekomunistycznych tzw. czerwonych frakcji, które w miarę możliwości miały uchwycić w nim władzę i skierować go na tory walki rewolucyjnej, a tu jedynym dostępnym wówczas narzędziem miała być akcja strajkowa. Liczono na wzrost radykalizmu społecznego, na oderwanie mas robotniczych od PPS. KPRP, a następnie KPP, działała według zasady „im gorzej, tym lepiej"; im większe bieda i bezrobocie, tym większy radykalizm. Propagowane przez kompartie strajki – zgodnie z wykładnią płynącą z „Elementarza komunizmu" opracowanego przez członków KC RKP(b) N. Bucharina i E. Preobrażeńskiego – nie miały polepszyć sytuacji robotnika, ale zaogniać stosunki wewnątrzpaństwowe, utrudniać proces stabilizowania gospodarczego Polski, być paliwem napędzającym masy ku rewolucji. Dlatego walka z PPS nie była tylko walką z odmienną programowo formacją polityczną, ale de facto walką o zdobycie instrumentów pozwalających na wywołanie wrzenia rewolucyjnego. Walką, o czym warto pamiętać, zadekretowaną przez VI Kongres Kominternu w 1928 r. Szło w niej również o wyeliminowanie jednej z ważniejszych barier, jaką była PPS uniemożliwiająca KPP wykonywanie kominternowskich nakazów wśród polskich robotników. Nie była to tylko konfrontacja propagandowo-programowa, m.in. podczas starć bojówek partyjnych w trakcie pierwszomajowych manifestacji w 1926 i w 1928 r. padały bowiem śmiertelne ofiary. Zmagania te były bardziej zaciekłe i zajadłe niż walka komunistów z ich naturalnym przeciwnikiem, tj. z ruchem narodowym.

Negatywny stosunek do Rzeczypospolitej, a przede wszystkim do wielkiego wysiłku jej obywateli dążących do utrzymania i rozbudowy państwa, spowodował, że KPRP już w pierwszych tygodniach swojej działalności znalazła się na marginesie ówczesnego życia politycznego. Jej radykalne hasła społeczne i gospodarcze, mimo wielkiej pauperyzacji społeczeństwa, nie uzyskiwały zakładanego poparcia. Wynikało to m.in. z zaangażowania się ogółu społeczeństwa w tak mocno zwalczany przez komunistów czyn państwowotwórczy i niepodległościowy. Mimo to dopiero po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, utrwaleniu się wschodniej granicy RP, okrzepnięciu jej systemu politycznego, w tym tak krytykowanego i zwalczanego parlamentaryzmu, „polscy" komuniści dojrzeli do zmodyfikowania swojej taktyki i zaakceptowania odrodzenia oraz istnienia niepodległej Polski. Jak trudne to było dla nich przewartościowanie, świadczą m.in. słowa członka KC KPRP Franciszka Grzelszczaka-Grzegorzewskiego charakteryzujące stanowisko partii, wypowiedziane podczas obrad II Zjazdu KPRP, który odbył się jesienią 1923 r. pod Moskwą: „Takie wyrazy jak Polska albo sprawy polskie były dla nas niemożliwe do przełknięcia, były niemal płachtą czerwoną na byka".

Sekcja Kominternu

W marcu 1919 r. bolszewicy utworzyli III Międzynarodówkę Komunistyczną – Komintern. Był on oficjalną centralą decyzyjną, organizacyjną, finansową oraz ideową dla ruchu komunistycznego całego świata. Komintern oraz jego sekcje stanowiły faktyczny instrument sowieckiej polityki zagranicznej. To m.in. za jego pomocą kierownictwo RKP(b), a następnie WKP(b), ingerowało i destabilizowało sytuację wewnętrzną w wielu państwach, zmierzając do wywołania w nich rewolucji klasowej, urzeczywistnienia idei dyktatury proletariatu i zaprowadzenia komunizmu.

W tych działaniach szczególną rolę odgrywały sekcje Kominternu. Zgodnie z jego statutem mogła nią być tylko jedna partia komunistyczna działająca na terenie danego państwa. W 1919 r., a więc w okresie wojny polsko-bolszewickiej, stała się nią KPRP. W następnym roku podczas II Kongresu Kominternu przyjęte zostały zapisy statutowe, które dawały Komitetowi Wykonawczemu Międzynarodówki ogromne możliwości faktycznego kierowania każdą kompartią, tj. swoją sekcją. Statut – w pkt. 13 i 14 – podkreślał, że „Uchwały KW MK są obowiązujące dla wszystkich sekcji Międzynarodówki Komunistycznej i powinny być niezwłocznie wprowadzane w życie", jak również, że „Centralne Komitety oddzielnych sekcji Międzynarodówki Komunistycznej są odpowiedzialne przed swoimi zjazdami oraz przed KW MK. »

eprasa.pl 0aa789525f

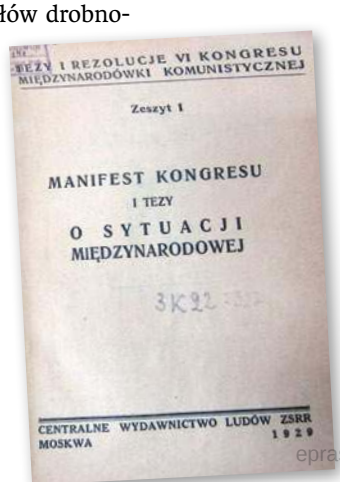
» Ten ma prawo uchylać i zmieniać decyzje zarówno zjazdów sekcji, jak i komitetów centralnych". Ponadto zgodnie ze statutem Komitet Wykonawczy zatwierdzał programy poszczególnych sekcji, miał wyłączne prawo zwoływania zwyczajnych, jak i nadzwyczajnych zjazdów kompartii, które zobowiązane były wypełniać wszystkie polecenia oraz dyrektywy władz Kominternu. Pkt 22 statutu dawał Komitetowi możliwość kierowania do poszczególnych sekcji swoich pełnomocników oraz instruktorów, w celach nadzoru wykonywania uchwał kongresów Kominternu, przy czym odpowiadali oni wyłącznie przed nim. Z kolei według 36 pkt. statutu kompartie miały być przygotowane do przejścia w każdej chwili do formuły pracy nielegalnej.

Jednak nie tylko statut określał formę i zakres zależności sekcji od Kominternu. Tym było bowiem „21 tez Zinowiewa", czyli wymogów przystąpienia oraz funkcjonowania kompartii w strukturach III Międzynarodówki Komunistycznej. W lutym 1921 r. podczas II Konferencji Partyjnej KPRP podjęto uchwałę o ich przyjęciu, a zakładały one m.in. całkowite podporządkowanie partii wszelkiej akcji agitacyjno-informacyjnej, programowi i uchwałom Kominternu, nadanie jej charakteru istotnie komunistycznego wyrażającego się w propagowaniu dyktatury proletariatu, przy jednoczesnym zwalczaniu burżuazji „i jej wspólników – reformistów"; bezwzględne usuwanie tychże reformistów oraz centrowców ze wszystkich stanowisk w ruchu robotniczym, a następnie zastępowanie ich „wypróbowanymi komunistami"; równoległe tworzenie organizacji legalnych i nielegalnych, „któreby w momencie decydującym dopomogły partii do spełnienia jej obowiązku wobec rewolucji"; prowadzenie energicznej propagandy komunistycznej w wojsku; walkę z „socjal-patriotyzmem" oraz „socjal-pacyfizmem"; systematyczne oczyszczanie swoich szeregów z „żywiołów drobnomieszczańskich"; bezapelacyjne wspieranie wszystkich republik sowieckich, przy jednoczesnym podejmowaniu wszelkich działań wobec „sił kontrrewolucyjnych"; uzgadnianie własnych programów partyjnych z władzami Kominternu; uznawanie i wykonywanie wszystkich uchwał jego kongresów oraz postanowień Komitetu Wykonawczego; wyrzucenie ze struktur organizacyjnych wszystkich, którzy kwestionują lub też odrzucają warunki i tezy uczestnictwa w Międzynarodówce.



Zarówno zapisy statutowe, jak i kominternowskie rezolucje oraz przytoczone „tezy Zinowiewa" były formalnymi „ścieżkami" łączącymi kompartie z Międzynarodówką Komunistyczną. Poza nimi istniały znacznie istotniejsze, tajne powiązania z sowieckimi służbami specjalnymi. W konsekwencji czego w przypadku KPRP/KPP mamy do czynienia z działającą na ziemiach polskich organizacją kierowaną, kontrolowaną, finansowaną oraz instruowaną przez obce mocarstwo, de facto z sowiecką agenturą.

Rzeczona protekcja oznaczała bezwzględny i bezdyskusyjny nadzór Kremla nad kompartią w Polsce. Wszelka jego krytyka kończyła się oskarżeniem o renegatyzm, a stąd była już prosta droga do degradacji w strukturach partii, a nawet uwięzienia w ZSRS lub fizycznej eliminacji. Kompartia szczególnie odczuwała to w okresie sekciarskich walk toczonych w jej kierownictwie. Doszło do nich po II Zjeździe KPRP w 1923 r., kiedy w KC większość zdobyła tzw. grupa „3-W" (Maria Koszutska – Wera Kostrzewa, Jerzy Warszawski – Adolf Warski, Maksymilian Horwitz – Henryk Walecki), postrzegana przez Kreml jako nazbyt prawicowa. W konsekwencji Moskwa, wspierając opozycyjną grupę lewicową, tzw. czwórkę berlińską (Julian Leszczyński – „Leński", Henryk Stein-Domski, Zofia Unszlicht – „Osińska", Ludwik Prentki – „Damowski"), doprowadziła do zmian we władzach KPRP. Następnie przez kolejne lata arbitralnie, m.in. za pomocą kierowanej przez Józefa Stalina Komisji Polskiej działającej przy Kominternie, wskazywała, która frakcja jest w danym momencie tą dobrą, a którą należy odsunąć. Przy czym miały tu miejsca liczne i bardzo dynamiczne przewartościowania, które wcześniejszych mianowańców – ulubieńców Moskwy – skazywały na partyjne wykluczenie, a często później na fizyczną eliminację w okresie stalinowskich czystek. Jednym z takich przykładów był los Henryka Steina-Domskiego.



Z Moskwy szły ogromne środki finansowe, miliony rubli w złocie, diamenty, różne kosztowności, które trafiały zarówno do działaczy KPRP/KPP, jak i Czerwonej Pomocy w Polsce, czyli sekcji Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom sterowanej przez sowieckie władze. Oprócz pieniędzy kierowano także konkretne zadania wywiadowcze, dywersyjne i polityczne. W ZSRS szkolono działaczy kompartii w „robocie wojskowej" i przerzucano ich do Polski. To właśnie ludzie wojskówki KPP latem 1925 r., uciekając przed policją w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu i Nowym Świecie, ostrzeliwując się, ranili kilka przypadkowych osób, a dwie zabiły. To osoby nadsyłane z Moskwy planowały zamach na prezydenta Wojciechowskiego, marszałka Piłsudskiego, likwidowały policyjnych informatorów i prowokatorów, przeprowadzały zamachy bombowe, infiltrowały szeregi Wojska Polskiego... – czyniąc to wszystko w służbie Kremla.

Od niego też wychodziły wszelkie wytyczne ideowo-programowe. Kiedy Komintern w 1928 r. na VI Kongresie zadekretował socjalistów jako największego wroga komunizmu, wszystkie kompartie, w tym KPP, zwalczały „socjalzdrajców" i „socjalfaszystów". Kiedy zaś w 1935 r. na VII Kongresie Kominternu z nakazu Kremla Gieorgi Dymitrow przedstawił hasło „nie ma wroga na lewicy", a największym wrogiem jest faszyzm, także KPP wzmocniła swoje ludowofrontowe „antyfaszystowskie" umizgi wobec PPS. Jednocześnie kompartia, walcząc, jak nakazał Komintern, z faszyzmem, zaczęła operować hasłami niepodległościowymi. Publicystka partyjna lansowała KPP na jedyną realną siłę prowadzącą działania w obronie Polski przed faszyzmem... Ten zaś definiowano bardzo dowolnie, utożsamiając z nim każdego swojego przeciwnika. Należy przy tym podkreślić, że niepodległość, o której mówili narodowcy, chadecy, ludowcy, piłsudczycy i socjaliści, nie była tożsama z niepodległością, której rzekomo bronić chcieli komuniści. Ci pozostawali instrumentem antypolskiej, imperialnej polityki ZSRS.

eprasa.pl 0aa789525f

FITNESS W CIENIU GUŁAGU



KRZYSZTOF JASIEWICZ

NIE WIEDZIELIŚMY, ŻE KOLEJNE POKOLENIA SOWIECKIE RODZIŁY SIĘ I TRWAŁY W STANIE PERMANENTNEGO GŁODU

Pamiętam z dzieciństwa następujący obrazek. Do naszej szkoły podstawowej – w ramach obowiązkowej, zadekretowanej przyjaźni polsko-radzieckiej – przybyła wycieczka sowieckich uczniów z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka z głębi Rosji. Jedli oni posiłki w naszej szkolnej stołówce. I jakież było nasze zdziwienie, a nawet rozbawienie, gdy owa dzieciarnia brała chętnie chleb do wszystkiego. Do zupy nie dziwiło, do dania drugiego wywoływało szyderczy uśmiech, przy budyniu i jakimś kremowym cieście, upieczonym przez nasze kucharki z okazji ich wizyty, z trudem tłumiony śmiech. Nie rozumieliśmy, a byliśmy okrutni w swoich wyobrażeniach o normalnym posiłku, że chleb był synonimem sytości, dobrobytu, często nieosiągalnym marzeniem więźniów [zeków; ros. skrót od zakljucionnyj], towarem wymiennym...

Wszechobecny głód

Podobne reminiscencje pojawiły mi się przy lekturze jednej z relacji pochodzącej z wkroczenia wojsk sowieckich na ziemie polskie we wrześniu 1939 r. W nędznych mundurach, przewiązani parcianymi paskami, z karabinami na sznurkach nie wyglądali groźnie, lecz tragikomicznie. Dopełnieniem owego widoku stało się nagłe zatrzymanie kolumny, ustawienie w kozły karabinów, a następnie – ku konsternacji uroczyście ich witających miejscowych komunistów – rzucenie się w pole, na którym rosła marchew pastewna, i gwałtowna jej konsumpcja. Oni też byli głodni...

Dla odmiany w relacji pewnej ziemianki, deportowanej do Kazachstanu 13 kwietnia 1940 r., odnalazłem dość szokujące wyznanie. Otóż, ta bowiem pani, >>

FOT. EAST NEWS



Zesłańcy gułagów byli zmuszani do ciężkich robót. Na zdjęciu więźniowie sowieckich obozów przy budowie kanału łączącego Morze Bałtyckie z Morzem Białym budowanego w latach 1930–1933

» cierpiąca przez całe życie na znaczną nadwagę, „dziękowała" Stalinowi, że za jego sprawą, mimo nieszczęścia, które ją z rodziną spotkało, wreszcie schudła kilkadziesiąt kilogramów. W jej przypadku głód był smaczniejszy od chleba...

W sowieckich więzieniach, łagrach, w obozach jenieckich, w rejonach deportacji i przymusowej zsyłki znalazło się w latach 1939–1941 prawdopodobnie ponad milion osób (dokładna liczba represjonowanych obywateli polskich nadal jest dyskutowana, odkąd prof. Natalia Liebiediewa, zasłużony historyk rosyjski i badaczka zbrodni katyńskiej, upubliczniła odnalezioną w tajnych archiwach notatkę narkoma Berii do Stalina z początków grudnia 1940 r., z której wynika, iż między wrześniem 1939 a 1 grudnia 1940 r. NKWD aresztowało na ziemiach inkorporowanych 409 tys. osób). Stąd tysiące Polaków, Żydów, Białorusinów czy Ukraińców (mniejszości były represjonowane w mniejszym stopniu i w drugiej fazie okupacji) miało okazję zapoznać się z mało wyszukanym menu sowieckich miejsc odosobnienia i resocjalizacji, a później doświadczyć sowieckiej rzeczywistości w drodze do Armii Andersa, pomieszkując po drodze w różnych miejscach i imając się różnych zajęć. Dodajmy, że określenia „zupa" czy „chleb" nie odpowiadały ani naszym wyobrażeniom, ani standardom. Zupa była wodnistą cieczą gotowaną na odpadach warzywnych i obierkach, czasami z nielicznymi odpadami ryb lub mięsa o trudnym do zaakceptowania smaku i wartości kalorycznej zbliżonej do zera. Chleb bywał czerstwy, nadgniły czy spleśniały, robiony z mąk najniższej jakości, często nadpsutych, z dodatkami chlebopodobnymi. Herbata była na ogół wrzątkiem (kipiatok), rzadko z kilkoma listkami herbaty i kilkoma kostkami cukru na kocioł. Pojęcie „kocioł" nie oznacza dużego naczynia do gotowania. Jest jednostką racji żywnościowych, które według regulaminu wyżywienia w danym miejscu przysługują więźniom za konkretną pracę. Oddajmy głos świadkom.

Więzienny jadłospis

Zarobek w kołchozie w obwodzie nowosybirskim w 1941 r. wypłacano w naturze. Było to 250 g pszenicy za dzień pracy od wschodu do zachodu słońca.

W łagrze w Czibju (Komi ASRS) serwowane wyżywienie dzienne wahało się od 300 do 900 g chleba w zależności od wykonanej pracy. Na ogół nikt nie dostawał więcej niż 600 g. Trzy razy dziennie wydawano wodnistą zupę.

W posiółku Diedowska w rejonie gaińskim w obwodzie mołotowskim deportowani dostawali za pracę w lesie trzy posiłki składające się z zupy z margaryną i 0,5 kg chleba na cały dzień. W kołchozie we wsi Piesczanka w obwodzie semipałatyńskim w Kazachstanie, gdzie przebywały osoby z deportacji 13 kwietnia 1940 r., pracujący otrzymywali 500 g chleba, a niezdolni do pracy 200 g dziennie. W więzieniach we Włodzimierzu Wołyńskim i Łucku (zima 1940 r.) więźniowie otrzymywali od 200 do 600 g chleba dziennie. W więzieniu w Grodnie (wiosna 1940 r.; cela 4 mkw. – 35 więźniów) na osadzonego przypadało 0,5 kg chleba dziennie, pół litra gotowanej wody i pół litra zupy (woda i kilka ziaren kaszy). W więzieniu w Białymstoku (cela 20 łóżek – 105 osadzonych) wyżywienie składało się z 400 g chleba; dwa razy dziennie wydawano zupę, „która była wodą". W więzieniu w Przemyślu (1940; cela 150 mkw. – ok. 100 osadzonych) dawano 600 g chleba i pół litra herbaty na śniadania, a na pozostałe „posiłki" po pół litra zupy. W więzieniu w Nadwórnej (cela 12 mkw. – 45 osób) menu było jak dla prawdziwych wegetarian. Serwowano po kromce czarnego chleba, a dodatkowo dwa razy dziennie po liściu kapusty w gorącej wodzie.

Jakby trochę lepiej było w więzieniach już na terytorium właściwego ZSRS. W więzieniu w Odessie (1940) dawano 600 g chleba, herbatę i 20 g cukru na śniadanie, litr zupy i pół litra kaszy na obiad i pół litra zupy na kolację. W więzieniu w Sumach przy śniadaniu wydawano 700 g chleba na cały dzień oraz rybę suszoną i herbatę. Na obiad była zupa rybna, a na kolację herbata i zupa lub kasza. W więzieniu śledczym w Mińsku, zwanym Wieżą Śmierci, rano aresztanci otrzymywali 450 g chleba, 20 g cukru i litr wrzątku; na obiad i kolację dawano po litrze wodnistej, cuchnącej zupy rybnej. Warto nadmienić, iż najczęściej używaną rybą była wobła, tj. wyjątkowo oścista płotka pochodząca z Morza Kaspijskiego. Jeszcze w początkach lat 90. można ją było kupić w sklepach spożywczych w Moskwie. Nie mogąc się oprzeć tej słynnej z różnych relacji rybie, kupiłem ją sobie w wersji suszonej i zasolonej i zjadłem. Na szczęście miałem z sobą spirytualia, bo pewnie nigdy ten tekst by nie powstał.

Menu dla łagiernika

Wyżywienie w łagrach nie odbiegało specjalnie od więziennego. A życie w tych miejscach odosobnienia dodatkowo pogarszały dwa czynniki destrukcyjne – nieprzyjazny człowiekowi klimat i mordercza praca według morderczych norm.

I tak w stosunkowo przyjaznym Samarłagu (nad Samarą niedaleko Kujbyszewa) były następujące regulacje wedle kotłów:

1. kocioł do 99 proc. normy – dwa razy dziennie zupa albo kasza i chleb w zależności od proc. wyrobionej normy: 40 proc. normy = 400 g, 50 proc. = 500 g itd. do 900 g – otrzymuje się na to dwa talony.

2. kocioł 100 proc. do 125 proc. wykonania normy; otrzymują go też wszyscy pracownicy kancelaryjni: 700 lub 900 g chleba i cztery talony: na śniadanie, obiad i na tzw. prembludę, czyli białą bułkę 80-gramową oraz 200 g chleba, który można kupić w obozowym sklepiku.

3. kocioł od 126 proc. normy – jest jak drugi, z tym że „prembluda" waży 110 g, a dokupić można 300 g chleba.

4. kocioł specjalny był dla naczalstwa.

5. kocioł był też dla małoletnich.

7 i 8. kotły szpitalne.

9. kocioł był dla tzw. słabskomandy, to jest tych, którzy orzeczeniem komisji nie mogą pracować.

10. kocioł dla tych, co nie mogą wyrobić normy.

11. kocioł dla tych, co wyrabiają mniej niż 30 proc. normy lub w ogóle nie chcą pracować – 300 g chleba i nic więcej.

W łagrze w północno-wschodniej europejskiej części ZSRS (1940–1941) relacja między normą a „kotłem" wyglądała następująco:

- 100 proc. normy – 2–3 razy dziennie porcja kaszy, trochę ryby i 900 g chleba;
- 50–90 proc. – 450 g chleba i zupa dwa razy dziennie;
- poniżej 50 proc. – 300 g chleba, raz zupa, ewentualnie kara aresztu.

Gdy łagiernik wyrobił ponad 100 proc. normy, przysługiwała nagroda. Był nią chleb w ilości 1–2 kg, czasami drugie danie, czasem dwa ruble. Rekordzista łagru dał radę wyrobić 175 proc. normy. Z kolei w łagrze Turgieniewo w centralnej części ZSRS (1940–1941) na cały dzień pracy wydawano 300 g chleba, na śniadania i kolacje, bo obiad nie był przewidziany, dawano wodę zabieloną mąką, a czasami owsiankę. Trochę przypominało to fragment frazy okupacyjnego lwowskiego powiedzonka: „Rano – woda, w południe »

eprasa.pl 0aa789525f


MIEJSCA OSIEDLENIA
I OBOZY PRACY POLAKÓW
DEPORTOWANYCH
DO ZSRR (1939–1943 R.)
1 Karelo-Fińska SRR
2 Estońska SRR
3 Łotewska SRR
4 Litewska SRR
5 Gruzińska SRR
6 Azerbejdżańska SRR
7 Armeńska SRR
ZWIĄZEK SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH
Rosyjska Federacyjna SRR
Kazachska SRR
Ukraińska SRR
Białoruska SRR
Mołdawska SRR
Turkmeńska SRR
Uzbecka SRR
Tadżycka SRR
Kirgiska SRR
OCEAN ARKTYCZNY
MORZE BARENTSA
MORZE KARSKIE
MORZE ŁAPTIEWÓW
MORZE WSCHODNIOSYBERYJSKIE
MORZE OCHOCKIE
MORZE JAPOŃSKIE
MORZE CZARNE
MORZE KASPIJSKIE
MORZE BAŁTYCKIE
SZWECJA
FINLANDIA
NIEMCY
REP. TURECKA
IRAK
IRAN
REP. CHIŃSKA
CES. MANDŻUKUO
CES. JAPONII
MOSKWA
Leningrad
Archangielsk
Murmańsk
Workuta
Swierdłowsk
Czelabińsk
Kujbyszew
Omsk
Tomsk
Nowosybirsk
Karaganda
Ałma-Ata
Krasnojarsk
Irkuck
Jakuck
Magadan
Chabarowsk
Władywostok
400 0 400 800 km
Granica II Rzeczpospolitej 1 IX 1939 r.
Granice republik radzieckich (w 1940 r.)
Obozy Głównego Zarządu Poprawczych Obozów i Kolonii Pracy NKWD ZSRR (tzw. Gułagu)
Obozy pracy i obozy przejściowe Gułagu, w których przetrzymywano obywateli polskich (1939–1943 r.)
Kierunki przemieszczeń deportowanej ludności polskiej po tzw. amnestii w VIII 1941 r.
Miejsca przymusowego osiedlenia polskich zesłańców w:
II 1940 r.
IV 1940 r.
VI–VII 1940 r.
V–VI 1941 r.


OBOZY NKWD DLA JEŃCÓW
POLSKICH W ZSRR
(IX 1939–1941 r.)
DEMART
ZWIĄZEK SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH
ROSYJSKA FSRR
UKRAIŃSKA SRR
BIAŁORUSKA SRR
ESTOŃSKA SRR
ŁOTEWSKA SRR
LITEWSKA SRR
REP. FINLANDII
KRÓL. SZWECJI
KRÓL. NORWEGII
RZESZA NIEMIECKA
Generalne Gubernatorstwo
SŁOWACJA
KRÓL. WĘGIER
RUMUNIA
MOŁDAWSKA SRR
MORZE BIAŁE
Ponoj
Północny Obóz Kolejowy
Kotłas
Wołogda
Griazowiec
Ostaszków
Miednoje
Twer
Juża
Suzdal
Oranki
Katyń
Smoleńsk
Juchnow (Pawliszczew Bor)
Kozielsk
Obóz Równe (Lwów)
Równe
Lwów
Putywl
Piatichatki
Charków
Starobielsk
Kozielszczyzna
Krzywy Róg
Zaporoże
Jelenowka (obóz jeleno-karakubski)
MOSKWA
Radzieckie obozy jenieckie (internowanych) przetrzymywania pierwszej grupy (17 IX 1939 – V 1940 r.)
specjalne
jenieckie rozdzielne, przejściowe i zbiorcze
pracy przymusowej
Radzieckie obozy jenieckie (internowanych) przetrzymywania drugiej grupy (VI 1940 – VIII 1941 r.)
przejściowe
poamnestyjne
pracy przymusowej
Miejsca masowych egzekucji dokonanych przez NKWD wiosną 1940 r. oraz miejsca pochówku polskich jeńców z obozów specjalnych
Granica między Estonią i Łotwą a ZSRR przed VII 1940 r.
Granica między Finlandią a ZSRR przed 12 III 1940 r.
Granica II Rzeczpospolitej przed 1 IX 1939 r.
100 0 100 200 300 km

» – swoboda, w wieczór – miting". W ciężkim łagrze w miejscowości Norylsk (1940–1941) w Kraju Krasnojarskim, (kryptonim Cz, kod telegraficzny „Jantar") osadzony rano otrzymywał pół litra zupy i ćwierć litra kaszy, na obiad – ćwierć litra kaszy, wieczorem pół litra zupy, ćwierć litra kaszy oraz 600 g chleba na cały dzień.

W Sorokłagu, k. Białomorska w Karelsko-Fińskiej SRR (ok. 1941), gdzie więźniowie budowali drugi tor linii kolejowej Soroka-Murmańsk, na wszystkie trzy posiłki były kluski żytnie lub jęczmienne bez soli i omasty oraz 900 g chleba na dzień.

W łagrze Suchobiezwodnoje (1941) przy stacji kolejowej o tej samej nazwie w obwodzie gorkowskim, należącym do kompleksu Unżeński ITŁ, kryptonim AŁ, kod telegraficzny „Unża" obowiązywała norma 4,5 m sześc. drzewa do wycięcia na dzień przy użyciu prymitywnych narzędzi. Za to przysługiwały trzy „kotły" identycznie serwowane rano i wieczorem:

1. kocioł – 800 g chleba, miska zupy i trochę kaszy bez tłuszczu;
2. kocioł – 900 g chleba, zupa, kasza, kawałek ryby;
3. kocioł – 900 g chleba, zupa miska trzy czwarte litra, kasza, ryba lub śledź.

Jenieckie „luksusy"

Nie należy sądzić, iż ochrona i kierownictwo obozów miały dużo lepsze życie. Wyżywienie było podobne, bo na odludziu niczego szczególnego nie dowożono. Oni tylko zjadali więcej, niekoniecznie do syta. Służbę tę można było traktować jako rodzaj kary. Ten sam klimat ich wykańczał, a życie w pustce dobijało.

Poziom życia w ZSRS był bardzo niski – poza wąską garstką elity i ludzi do zadań specjalnych wszystkim żyło się nędznie. Nawet w wojsku normy wyżywieniowe zbliżone były do łagiernych. I tak w jednostce stacjonującej w Kuncewie pod Moskwą (1940) żołnierze otrzymywali dziennie 750 g chleba i dwa razy herbatę i rybę. Można odnieść wrażenie, że lepiej żyło się w obozach jenieckich dla szeregowców, nie wspominając o oficerskich. W obozie Jaryczów Stary (1939–1941) na śniadanie była zupa lub kasza, a na obiadokolację kartofle „przeplatane" mięsem i zupa. Chleb wydawano według wyrobionej normy: za 60–80 proc. przysługiwało 600 g, za 80–100 proc. dostawało się 800 g, a po przekroczeniu 100 proc. przysługiwało 1000 g.

W obozie Kozłów pod Buskiem (1940) dla tych, co przekraczali normę dzienną w całym miesiącu, płacono 60–70 rb, wtedy 1 kg masła kosztował 20 rb. Wyżywienie dzienne:

1. kocioł za 100 proc. normy – 800 g chleba czarnego,
2. kocioł za wykonanie od 40 proc. do poniżej 100 proc. – 600 g,
3. kocioł karny dla poniżej 40 proc. normy – 400 g. Za wykonanie 110 proc. normy dostawało się 1. kocioł plus 1 kg chleba czarnego.

Różnice w kotłach uwidaczniały się bardziej w obiadach. 2. kocioł dostawał gorsze lub mniejsze danie, a 3. kocioł tylko zupę.

Przekraczanie granic

Jednak to głód był permanentnym stanem każdego obywatela tego państwa, zwłaszcza obywatela represjonowanego. Doskonale to oddaje Aleksander Sołżenicyn, były więzień (zek), we wstępie do jednego z najbardziej wstrząsających świadectw tamtej rzeczywistości:

„W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym trafiliśmy z przyjaciółmi – czytamy w »Archipelagu Gułag« – na zastanawiającą notkę w czasopiśmie Akademii Nauk »Przyroda«. Pisano tam drobną

W ŁAGRZE TURGIENIEWO NA CAŁY DZIEŃ PRACY WYDAWANO 300 G CHLEBA, NA ŚNIADANIA I KOLACJE, BO OBIAD NIE BYŁ PRZEWIDZIANY, DAWANO WODĘ ZABIELONĄ MĄKĄ, A CZASAMI OWSIANKĘ

Rano dawano rzadką kaszę, a wieczorem kawę lub herbatę, ale to było nieregularne.

W oficerskim Kozielsku warunki były niemal pensjonatowe. Ppor. Dobiesław Jakubowicz: „Zaprowadzono nas do jedzenia. Kapuśniak, chleb, herbata. Najadłem się do syta. [...]. Kolacja zupa z makaronem, kartofle, makaron". Ppor. Augustyn Dyjas: „Ciepłe jedzenie w stołowni. Kapuśniak z chlebem i kaszą". Słynny z powodu swego notatnika mjr Adam Solski: „Na śniadanie gęsta kasza manna na oliwie". Mjr Kazimierz Szczekowski: „Podstawą jedzenia jest 800 g chleba, 30 g cukru poza tym rano śledzik lub kawałek dorsza, na obiad miska grochówki lub kapuśniak". Kpt. Józef Trepiak: „Obiad zupa kapuśniak i kotlet z kluskami". Kpt. Włodzimierz Wajda: „Na obiad będzie zupa i gulasz".

W moskiewskich archiwach odnalazłem dokument potwierdzający „troskę" władz sowieckich o jeńców wojennych. Na okres od września do końca 1939 r. obozom przydzielono m.in. 3825 t mąki, 639,5 t kaszy, 382 t mięsa, 491 t ryb, 162,5 t cukru, 3389 t warzyw i ziemniaków oraz ponad 10 t herbaty i 50 ton tytoniu. Gdyby to jednak przeliczyć na jednego jeńca, to statystyka nie byłaby zbyt pożywna. Dlaczego to robili? Zwyciężyła obłuda i chęć pokazania, że życie w ZSRS jest zupełnie znośne.

czcionką, że nad rzeką Kołymą, w trakcie prac wykopaliskowych została znaleziona podziemna tafla lodu – zamarły, prehistoryczny potok – a w niej zamarznięte (kilkadziesiąt tysięcy lat temu) okazy fauny kopalnej. Ryby te, czy może płazy, zachowały się tak dobrze, wydawały się tak świeże – informował uczony korespondent – że obecni przy tym, po rozbiciu lodu, zjedli je zaraz z OCHOTĄ.

Nielicznych swoich czytelników pismo zapewne wprawiło w niemałe zdziwienie wiadomością o tym, jak długo można rybie mięso trzymać w lodzie. Ale tylko niewielu z nich mogło wniknąć w iście epicki sens ryzykownej notatki.

Myśmy zrozumieli od razu. Cała scena zarysowała się nam ostro, do najdrobniejszych szczegółów: jak owi o b e c n i z pospieszną zawziętością rąbali lód, jak mając za nic szlachetne cele ichtiologii i roztrącając się łokciami, wyrywali sobie wzajem kęsy tysiącletniego ścierwa, wlekli je do ogniska, aby tam odtajało, i aby można było się nim nasycić.

Zrozumieliśmy to od razu, ponieważ sami należeliśmy do tych OBECNYCH, do tego jedynego w świecie, niezliczonego plemienia z e k ó w, które samo jedno tylko było zdolne zjeść z OCHOTĄ płaza" [wersaliki, kursywa i druk rozproszony zgodne z oryginałem – K.J.].

eprasa.pl 0aa789525f

PRZECIW ANDERSOWI

POWOJENNA KOMUNISTYCZNA KAMPANIA WE WŁOSZECH

WYDANY W 1945 r. W WARSZAWIE PROPAGANDOWY „SŁOWNICZEK POLITYCZNY DLA ŻOŁNIERZY" TYMI SŁOWY DEFINIOWAŁ WŁADYSŁAWA ANDERSA: „GENERAŁ ZWIĄZANY Z KLIKĄ PIŁSUDCZYKOWSKĄ. NA STANOWISKU DOWÓDCY DYWIZJI POLSKIEJ W ZSRR WSKRZESIŁ NAJGORSZE PRAKTYKI SANACYJNE. PRZEŚLADOWAŁ DEMOKRATYCZNYCH ŻOŁNIERZY I OFICERÓW. [...] HANIEBNIE WYPROWADZIŁ DYWIZJE POLSKIE NA PIASKI PERSJI NA BEZUŻYTECZNĄ TUŁACZKĘ..."



MARIA RADOŻYCKA

Władysław Anders był jedną z osób najbardziej szkalowanych i zwalczanych po wojnie przez komunistów. Używano wszelkich metod: od oszczerczych i absurdalnych zarzutów i kłamliwego przeinaczania faktów po wrogie 2 Korpusowi akcje podejmowane w kraju i za granicą. Nasiloną działalność przeciwko 2 Korpusowi prowadzono w latach 1945–1946 na terenie Włoch, gdzie armia Andersa stacjonowała po wojnie.

Włoscy komuniści

Nazajutrz po zakończeniu wojny Włoska Partia Komunistyczna, pod dyktando Moskwy, rozpoczęła szeroko zakrojoną akcję szkalującą 2 Korpus i jego dowódcę. Nasiliła się ona zwłaszcza po wizycie jej przywódcy Palmiro Togliattiego w Moskwie w lecie 1945 r. WłPK miała dyskredytować 2 Korpus w oczach opinii publicznej, a także wojsk sojuszniczych we Włoszech, przedstawiać polskich żołnierzy w jak najgorszym świetle, podważać samą celowość stacjonowania na terenie Włoch. W tym celu nie przebierano w środkach, od agresywnych w tonie, wymierzonych przeciwko Polakom artykułów prasowych i ulotek, po organizowane przez lewicowe bojówki akty prowokacji. Wydawane przez WłPK broszury przedstawiały w sposób wypaczony – i w sowieckiej interpretacji – sytuację w ówczesnej Polsce: prawicowe podziemie i jego dążenia, przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, określanych jako „polscy faszyści" itd. Na łamach lewicowej prasy, od »



FOT. NAC

eprasa.pl 0aa789525f

» naczelnego organu WłPK „Unità" po dzienniki lokalne, pojawiały się artykuły oskarżające żołnierzy Korpusu o „gwałty" w stosunku do ludności. „Akty brutalności i skandalicznego zachowania się wojsk polskich stacjonujących na terenie regionu Marche rosną w sposób niepokojący", czytamy w jednej z gazet w lipcu 1945 r. Cytowany przykład nie był we włoskiej prasie odosobniony. Artykuły szkalowały polskich żołnierzy, przytaczając rzekome liczne przykłady tej „brutalności" z ich strony i domagając się niezwłocznego usunięcia 2 Korpusu z Włoch. Pijani polscy żołnierze, „polskie faszystowskie bojówki", mieli jakoby wywoływać liczne zatargi z ludnością cywilną, zachowywać się arogancko, dopuszczać się aktów wandalizmu, zaczepiać kobiety, poniżać włoskich rzemieślników. Artykuły opisywały zmyślone czy wyolbrzymione zajścia. Zarzucano żołnierzom Andersa ingerencję w wewnętrzne sprawy Włoch. Miało to na celu wzbudzenie wśród ludności włoskiej uczuć niechęci w stosunku do wojsk 2 Korpusu. Temu samemu celowi służyły ulotki i rozlepiane nocą afisze oraz celowo prowokowane incydenty.

Organy Warszawy

Oprócz WłPK wrogą Korpusowi działalność prowadzili na terenie Włoch ambasador Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, S. Kot, oraz szef Polskiej Misji Wojskowej (PMW) w Rzymie, płk Sidor. Obie te placówki stawiały sobie za cel dyskredytowanie 2 Korpusu w oczach władz sojuszniczych we Włoszech, przekonanie Brytyjczyków o bezużyteczności dalszego stacjonowania 2 Korpusu w tym kraju, o konieczności jego podporządkowania władzom warszawskim i doprowadzenia do jego likwidacji. Starały się też przekonać żołnierzy Korpusu do repatriacji. Choć ambasador Kot i płk Sidor służyli w gruncie rzeczy tej samej sprawie, prowadzili swą działalność na różnych płaszczyznach, a nawet w sposób nacechowany wzajemną nieufnością. Ambasador Kot podejmował antykorpuśne działania głównie na płaszczyźnie dyplomatycznej, dosłownie zasypując władze brytyjskie we Włoszech, którym podlegał 2 Korpus, nieustannymi – prawdziwymi i kłamliwymi – zarzutami, jakie Brytyjczycy zmuszeni byli wyjaśniać. Oskarżał Korpus o antyradzieckie wystąpienia, o prowadzenie na łamach prasy Korpusu propagandy wrogiej TRJN, ambasadzie i misji wojskowej. Domagał się zlikwidowania korpuśnej prasy i wydawnictw, a nawet ograniczenia obecności żołnierzy Korpusu w Rzymie. Zarzucał gen. Andersowi stosowanie „przymusu" w stosunku do żołnierzy, którzy chcieli wrócić do Polski, finansowanie „terrorystycznych band" działających na terenie kraju oraz zniechęcanie do powrotu tzw. polskich dipisów – ludności cywilnej czasowo przebywającej w obozach we Włoszech.

Głównym zadaniem PMW w Rzymie było natomiast rozbicie jedności Korpusu i nakłonienie jak największej liczby żołnierzy do powrotu. W tym celu płk Sidor prowadził agresywną akcję propagandową na łamach polskiej i zagranicznej prasy, a także wśród żołnierzy. Odmalowywał 2 Korpus jako jednostkę złożoną w dwóch trzecich ze zbrodniarzy wojennych, w której rzekomo całe oddziały mówić miały wyłącznie po niemiecku, a jej dowódcę gen. Andersa – jako odpowiedzialnego za gwałty i mordy (!) wobec tych, którzy wyrazili chęć repatriacji. Jednocześnie Sidor prowadził agitację wśród żołnierzy 2 Korpusu (pisma, ulotki itp.), namawiając ich do powrotu do Polski, a także do buntu przeciwko ich „faszystowskim dowódcom".

TYLKO NIEWIELKA LICZBA ŻOŁNIERZY 2 KORPUSU ZDECYDOWAŁA SIĘ NA POWRÓT DO KRAJU, A I TO WCALE NIE W WYNIKU KOMUNISTYCZNEJ PROPAGANDY

Działalność wymierzoną przeciwko 2 Korpusowi we Włoszech prowadził też rząd komunistycznej Jugosławii. Postulował konieczność jego usunięcia z Italii, gdyż polskie oddziały w pobliżu północnej granicy Włoch miały stanowić zagrożenie dla suwerenności Jugosławii. „Armia polskich emigrantów" – jak określa 2 Korpus rząd jugosłowiański – miała ponadto wcielać do swych szeregów byłych kolaborantów faszystowskich, finansować przeciwników Tity, prowadzić manewry przygotowujące do przyszłej wojny przeciw Rosji i Jugosławii. Wystąpienia te tak wzmogły się w ciągu 1946 r., że zmusiło to rząd brytyjski do przeprowadzenia inspekcji oddziałów Korpusu i rozpatrzenia oskarżeń jugosłowiańskich, co zresztą wykazało całkowitą bezpodstawność tych zarzutów.

Marne skutki

Zauważmy, że te podejmowane na terenie Włoch antykorpuśne działania odnosiły – w początkowym okresie postoju 2 Korpusu w Italii – raczej mierne skutki. Akcja propagandowa płk. Sidora prowadzona była „tak nieumiejętnie, że odstręczała wszystkich chętnych". Żołnierze żywili uczucia szacunku do swych dowódców, z którymi dzielili „ten sam frontowy los, poniewierkę i tułactwo" (ze wspomnień por. T.M. Czerkawskiego). Tylko niewielka liczba żołnierzy zdecydowała się na powrót do kraju, i to wcale nie w wyniku komunistycznej propagandy, lecz z innych względów, głównie rodzinnych. Również działania S. Kota napotkały we Włoszech na znaczne trudności, co on sam przyznaje w swoich raportach. Władze włoskie nie czyniły nic, by ułatwić ambasadzie zadanie. Brytyjscy dyplomaci i władze wojskowe byli wręcz poirytowani ciągłymi zarzutami ambasadora Kota, uważanego za intryganta, który przyjechał do Włoch z zamiarem wywołania niesnasek i rozbicia 2 Korpusu i prowadził „prywatną wojnę przeciw gen. Andersowi".

Ze swej strony dowództwo Korpusu nie pozostawało bierne. W specjalnym raporcie przeanalizowano zasadnicze formy wrogich Korpusowi akcji oraz proponowano możliwe przeciwdziałania. Dowództwo Korpusu dbało, by żołnierze zachowywali się poprawnie w stosunku do włoskiej ludności cywilnej. Specjalne pogadanki zorganizowano w tym celu w oddziałach jeszcze pod koniec 1943 r. w przededniu wyjazdu 2 Korpusu do Italii. W czasie stacjonowania we Włoszech w latach 1944–1946 gen. Anders w różnych publicznych wystąpieniach podkreślał wieloletnie polsko-włoskie tradycje i braterstwo broni. „Nasza przyjaźń z narodem włoskim

eprasa.pl 0aa789525f

zapoczątkowała się od pierwszej chwili, gdyśmy wylądowali na słonecznej ziemi Italii. Przyjaźń ta umacniała się w miarę przedłużania się naszego pobytu na Waszej ziemi i jesteśmy dumni, że mamy tam miliony przyjaciół" – powiedział np. w czasie uroczystości nadania mu honorowego obywatelstwa miasta Ankony (grudzień 1945). Dowództwo 2 Korpusu interweniowało też w tej sprawie u władz wojsk sojuszniczych, a za ich pośrednictwem u rządu włoskiego. Starano się podtrzymać dobre imię żołnierza polskiego, bronić go przed szkalowaniem i zarzutami o faszyzm. Jednocześnie prowadzono akcję wychowawczą w oddziałach, uczulając żołnierzy, by unikali prowokacji i nie mieszali się do włoskich „rozgrywek społecznych i politycznych", gdyż wszelkie tego rodzaju incydenty odbijały się niekorzystnie na sytuacji całego 2 Korpusu Polskiego.

Reakcje Włochów

A włoskie społeczeństwo? W oczach miejscowej ludności żołnierze polscy cieszyli się ogólnie dużą sympatią. Polacy zyskiwali sobie uznanie swym poprawnym, pozbawionym wyższości postępowaniem, serdecznością wobec dzieci, pomocą materialną dla cywilów, dżentelmeństwem wobec kobiet, a także swym niekłamanym katolicyzmem. Polacy nie traktowali Włoch jak kraju okupowanego, lecz jak kraj gościnny i przyjazny, w którym wypadło im czasowo przebywać i który łączyły z Polską więzy wspólnej historii. Proste zabiedzone rodziny włoskie przywodziły im na myśl ich własne rodziny w uciemiężonym kraju. Dzielili się z Włochami własnymi racjami żywnościowymi, obdarowywali dzieci czekoladą. Były to reakcje spontaniczne, prawdziwy „odruch serca".

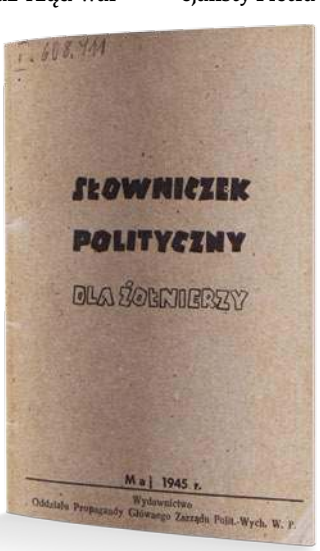
Stacjonując we włoskich miasteczkach, Polacy nakręcali też koniunkturę wyniszczonych gospodarczo terenów. A sami odnajdywali przy włoskich rodzinach namiastkę rodzinnego ciepła, do którego po tylu latach tułaczki tak bardzo tęsknili. W ten sposób spontanicznie, na poziomie międzyludzkich kontaktów, rodziła się polsko-włoska więź. Ani agitacja WłPK, ani propaganda ambasadora Kota nie były w stanie długo podważyć w poważniejszym stopniu tych włosko-polskich relacji, zarówno na szczeblu międzyludzkim, jak i instytucjonalnym. 2 Korpus i jego dowództwo cieszyli się we Włoszech dużym prestiżem, jak świadczą m.in. dedykowane jednostkom Korpusu ulice i tablice pamiątkowe oraz nadawane gen. Andersowi obywatelstwa honorowe różnych miast.

Również nielewicowa prasa włoska zachowywała ogólnie propolską postawę i na jej łamach pojawiały się artykuły w obronie Polaków. Np. na łamach dziennika „Libertà" (październik 1945) czytamy: „Z dużym zdziwieniem czytało się wczoraj rozlepiony na rogach w porze nocnej anonimowy manifest, protestujący przeciw pozostaniu w Ankonie oddziałów polskich. Słowa tekstu niesłusznie skierowane są przeciw jednostce, która czynnie i bohatersko wzięła udział w oswobodzeniu naszego miasta [...]. Uczucie wdzięczności, sympatii i gościnności [...] wobec bohaterskich Polaków nie zmalało". W pewnej broszurze „Dlaczego Polacy nie wracają do ojczyzny?" (1946) autor (Włoch) wyjaśnia swym rodakom tragiczną sytuację powojennej Polski, w rzeczywistości okupowanej przez Rosję, i wzywa do okazania Polakom „przyjaźni, życzliwości i zrozumienia". W oczach włoskiej opinii publicznej, włoskich polityków i władz lokalnych, a także dowódców wojsk sojuszniczych w Italii, gen. Anders i 2 Korpus, dzięki swej przeszłości wojennej i swym szerokim kontaktom osobistym, uchodził za swego rodzaju wyrocznię w sprawach polskich i reprezentował dążenia i aspiracje Polski.

Smutne zakończenie

W miarę upływu czasu jednak, w zmieniającej się sytuacji politycznej, obecność 2 Korpusu Polskiego we Włoszech stopniowo stawała się coraz bardziej „niezręczna" i „niewygodna" zarówno dla Brytyjczyków, jak i dla Włochów. Drażniła sowieckiego sojusznika oraz rząd warszawski, mający uznanie międzynarodowe (przez Włochy uznany 6 lipca 1945 r.). Z punktu widzenia powojennych Włoch stacjonowanie na terenie Italii ponad stutysięcznej armii polskiej o zdecydowanie antysowieckich nastrojach komplikowało w poważnym stopniu zarówno międzynarodową, jak i wewnętrzną sytuację tego kraju. Rząd włoski starał się prowadzić politykę unikania zadrażnień z Rosją, a więc i z Warszawą, gdyż zaniepokojony był rozwojem sprawy włoskiej na arenie międzynarodowej w kwestiach uważanych przez Włochy za priorytetowe (reparacje wojenne, granica z Jugosławią, przynależność Górnej Adygi). Zdając sobie z tego sprawę, Moskwa oraz TRJN, wywierały silne naciski na rząd włoski, by zajął na arenie międzynarodowej stanowisko zdecydowanie wrogie 2 Korpusowi. Także sytuacja wewnętrzna w samych Włoszech zmieniała się stopniowo na niekorzyść Polaków, nie tylko ze względu na duże wpływy, jakimi w latach 1944–1947 cieszyli się w życiu społeczno-politycznym tego kraju komuniści i socjaliści. Również nastroje ludności, wycieńczonej wskutek fatalnej sytuacji gospodarczej, stawały się coraz bardziej niechętne Polakom. Włosi, zmęczeni długotrwałym przebywaniem wojsk sojuszniczych na terenie ich kraju, pragnęli powrotu do normalnego życia. Gwoli prawdy przyznać też trzeba, że w miarę przedłużania się pobytu Korpusu we Włoszech coraz częstsze stawały się różne incydenty. Z jednej strony żołnierze usuwali we włoskich miasteczkach wszelkie komunistyczne flagi i symbole i zdarzały się scysje na tym tle, z drugiej zaś szeregi Korpusu powiększyły się o liczny element napływowy, w tym ludzi o rozluźnionej dyscyplinie czy zdemoralizowanych.

W tych okolicznościach jesienią 1946 roku 2 Korpus opuścił Włochy – gen. Anders 31 października. Wyjazd polskich żołnierzy, zaledwie dwa lata wcześniej witanych radośnie przez ludność jako „liberatori", odbył się bez parady. Aby nie drażnić Rosji i rządu warszawskiego, władze włoskie – głównie z inicjatywy ówczesnego ministra spraw zagranicznych socjalisty Pietro Nenniego – ograniczyły do minimum uroczystości pożegnalne. Nie zezwolono na odbycie defilady wojsk 2 Korpusu w Rzymie. W pożegnaniu nie wzięli udziału przedstawiciele rządu włoskiego. Tylko nieliczni zdemobilizowani żołnierze Korpusu otrzymali prawo – i to nie bez trudności – pozostania na stałe w Italii. W tej atmosferze smutku i goryczy dobiegła końca epopeja Korpusu Polskiego na ziemi włoskiej.



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 0aa789525f


Natalia Piekarska z uczniami

O SWOICH PRZEŻYCIACH Z 1953 r. PANI NATALIA PIEKARSKA NIE MÓWIŁA NIKOMU PRZEZ PONAD 40 LAT

SIEDZIAŁA ZA KATOWICE



JERZY DĄBROWSKI

Tuż po utworzeniu Instytutu Pamięci Narodowej 26 listopada 2003 r. z panią Natalią Piekarską skontaktowali się pracownicy oddziału katowickiego IPN. Powiadomili ją, że znaleziono teczki z dokumentami dotyczącymi sprawy rozrzucania przez nią antypaństwowych ulotek na ulicach Chorzowa.

Odżyły wspomnienia sprzed pół wieku. Pamiętnego 6 marca 1953 r. Natalia Piekarska po przyjściu ze szkoły świętowała z mamą śmierć Józefa Stalina, który – jak oficjalnie podano – zmarł nagle poprzedniego dnia. To przez niego do domu nie wrócił ojciec, walczący w armii Andersa. To za sprawą sowieckiego tyrana w 1947 r. uciekł do Francji przez zieloną granicę najstarszy brat Edward. To przez generalissimusa miliony ludzi cierpiały nie tylko w naszym kraju, ale również w Rosji i całej Europie Wschodniej. „Teraz wszystko się zmieni" – zapewniała wtedy mama. Jednak były to daremne oczekiwania. W oficjalnej propagandzie ani drgnęło: w gazetach i programach radiowych ludzie kultury dawali upust swej rozpaczy po śmierci „Wielkiego Przywódcy". M.in. późniejsza noblistka Wisława Szymborska drżącym głosem recytowała w radiu swój nowy wiersz „Ten dzień":

„Póki nikt z was nie wypowie
pierwszych słów,
brak pewności jest nadzieją,
towarzysze...
Milczę. Wiedza, że to czego nie chcę
słyszeć –
muszę czytać z pochylonych głów".

W grodzie Stalina

Rządzący Polską komuniści stalinowcy nie dawali za wygraną. Mimo śmierci Stalina ani przez chwilę nie myśleli o pozwoleniu społeczeństwu na większe swobody. Dla upamiętnienia sowieckiego satrapy postanowili zmienić nazwę jednego z miast wojewódzkich na Stalinogród. Początkowo myślano o robotniczej Łodzi lub Częstochowie. Wybór padł jednak na Katowice. Dla zachowania pozorów rządów proletariatu potrzebna była inspirowana inicjatywa oddolna. Na posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR towarzysze przyjęli jednogłośnie uchwałę, w której „w imieniu śląskich mas pracujących" zwrócono się z prośbą do władz centralnych o nadanie miastu nazwy Stalinogród.


Gustaw Morcinek

Na to wezwanie odpowiedziała Rada Państwa już 7 marca dekretem datowanym na 9 marca, w której czytamy: „Dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela mas pracujących i Jego wiekopomnych zasług dla Polski, Rada Państwa i Rada Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej uchwalają, co następuje: miasto Katowice przemianować na miasto Stalinogród, a województwo katowickie na województwo stalinogrodzkie". Z trybuny sejmowej 28 kwietnia uchwałę tę odczytał znany i ceniony pisarz, piewca Śląska Gustaw Morcinek, wówczas człowiek ponad 60-letni, schorowany i złamany prawie sześcioletnim pobytem w obozie koncentracyjnym. Nie czekając jednak na zatwierdzenie dekretu w Sejmie, już od dnia pogrzebu Józefa Stalina 9 marca 1953 r. starej nazwy miasta nie można było wymawiać. Kiedy ktoś na dworcu kolejowym chciał kupić bilet do Katowic, informowano go, że takiego miasta w Polsce nie ma. W nocy z 8 na 9 marca zaczęto zmieniać drogowskazy i tablice informacyjne. W ekspresowym tempie wymieniano pieczęcie i formularze. Do 25 marca po nazwie „Katowice" miał nie zostać nawet ślad...

Zbrodnia i kara

16-letnia Natalia Piekarska postanowiła zaprotestować. Już kilka dni po śmierci Stalina do wywrotowej działalności namówiła dwie koleżanki Barbarę Galas i Zofię Klimondę. Dziewczyny pisały piórem ulotki następującej treści: „Komuna to zaraza", „Śmierć komunie", „Górnicy, nie dajcie wyciskać z siebie

FOT. ONS/ JERZY DĄBROWSKI

eprasa.pl 0aa789525f



potu". Kartki z antysocjalistycznymi hasłami rozrzucały w tramwaju, przyklejały na drzwiach sklepu, w którym pracowała mama Barbary Galas, oraz na drzwiach... Urzędu Bezpieczeństwa w Chorzowie. Nie miały pojęcia, że ubecy bardzo szybko wpadli na ich trop.

Dom, w którym mieszkała Natalia, był od dłuższego czasu pod obserwacją. Starszy referent Sekcji III Ryszard Olszówka donosił w ściśle tajnym meldunku: „Z okien budynku nr 37 zauważyłem lecące w powietrzu jakieś kartki papieru w większej ilości [...]. Udałem się na ulicę w celu stwierdzenia, co za kartki zostały wyrzucone. Przy czym stwierdziłem, że wyrzucone papierki przez wspomnianą oknową to ulotki pisane na białym papierze ręcznie drukowane atramentem o treści antypaństwowej" (pisownia oryginalna).

18 marca ubecy dokonali rewizji w rodzinnym domu. Natalia i jej koleżanki znalazły się w więzieniu. Pierwsze godziny Natalia zapamiętała tak: w ciemnym korytarzu pod ścianą stali odwróceni do ściany aresztowani ludzie. Przed wejściem do celi dziewczyna dostała w twarz od ubeka. Pamiętała przejmujące piwniczne zimno i wilgoć nieogrzewanych pomieszczeń, śmierdzące koce i sienniki. Przede wszystkim jednak przesłuchania przez funkcjonariusza o silnym rosyjskim akcencie. Wmawiano jej, że w czasie wojny była w Hitlerjugend. Wyprowadzano ją z piwnicy na przesłuchania kilka razy dziennie. Była bita, zmuszana do robienia przysiadów. Straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, czy to dzień, czy noc. Nikomu z przesłuchujących i pilnujących nie przeszkadzało, że chorowała na otwartą gruźlicę. Przetrzymywano ją nago w karcerze czasem całą dobę. Starała się stać na wystającym z wody kamieniu. Bała się szczurów kłębiących się w rogu pomieszczenia. Gdy wracała z przesłuchania do celi, współtowarzyszka niedoli, „Fredzia", jak mówiła: „też polityczna", opatrywała jej rany. Po latach w stercie dokumentów przekazanych pani Natalii przez pracowników IPN znalazł się raport „Fredzi", jak się okazało, funkcjonariuszki bezpieki: „O śmierci J. Stalina Piekarska mówi, że najwyższy czas, iż ten morderca zdechł, który swoją własną rodzinę ma na sumieniu i tyle tysięcy ludzi kazał mordować". Natalia była na granicy wytrzymałości, by znieść ciągłe bicie, przesłuchania i poniżenia. Trzymała się dzielnie do momentu, kiedy powiedziano jej, że koleżanki konspiratorki przyznały się do winy. Wtedy podpisała podsunięte jej sfabrykowane zeznania.

Na mocy wyroku Sądu Wojewódzkiego 8 czerwca 1953 r. Natalię Piekarską i Zofię Klimondę umieszczono w zakładzie poprawczym, a 18-letnia Barbara Galas została skazana na cztery lata więzienia. Koleżanki straciły ze sobą kontakt na prawie 40 lat.

Zza krat na wolność

W Zakładzie Poprawczym w Wodzisławiu Śląskim Natalia zetknęła się z rówieśnikami z innego świata. Ciężka praca, samosądy, nocne „kocówki" to była jej codzienność. Nic więc dziwnego, że chętnie przystała na propozycję ucieczki. Po wieczornym apelu wraz z koleżanką przeskoczyły ogrodzenie. Pod osłoną nocy doszła do stacji kolejowej Nędza k. Raciborza. Stamtąd dojechała pociągiem, na gapę, do Żywca, gdzie ukryła się u znajomych mamy Natalii z czasów wojny, byłych akowców. Przyjaciele w Żywcu szybko wyperswadowali jej pomysł nielegalnego przekroczenia granicy. Dali pieniądze i wysłali do Gdańska. Tam Natalia zdała egzamin do Technikum Wychowania Fizycznego. Po kilku miesiącach jednak ubecy byli już na jej tropie. Została aresztowana 1 czerwca 1955 r. w Dniu Dziecka. Tego samego dnia funkcjonariusze UB zawieźli ją w kajdankach pociągiem do Stalinogrodu. Natalia znowu znalazła się za kratami – tym razem w dobrze strzeżonym zakładzie karnym w Zabrzu.


Podarki urodzinowe
dla towarzysza STALINA
wyrazem miłości i przywiązania
klasy robotniczej Śląska

Jedną z form manifestacji serdecznych uczuć dla Wodza mas pracujących całego świata — Generalissimusa Józefa STALINA — są podarunki, jakie ludzie pracy z całego serca Mu ofiarowują.

A 68-217
STALINOGRÓD

Od dalszej odsiadki wybawiły ją wydarzenia Października 1956 r. Natalia odzyskała wolność dwa miesiące przed ponowną zmianą nazwy Stalinogród na Katowice, która dokonała się na mocy dekretu Rady Państwa 21 października 1956 r. Mogła nawet skończyć Uniwersytet Ludowy w Błotnicy Strzeleckiej i zostać nauczycielką wiejskiej szkoły podstawowej. Była pedagogiem z powołania. Miała dobry kontakt z uczniami. Kiedy była już na emeryturze, prowadziła lekcje dla młodzieży na temat mrocznych czasów stalinizmu. Nawet trudna młodzież ze szkół specjalnych siedziała zasłuchana na jej zajęciach.

17 maja 2004 r. Rada Miasta przyznała Natalii Piekarskiej tytuł Honorowego Obywatela Katowic. Swoje wspomnienia opisała w książce „Siedziałam za Katowice". Zawsze lubiła pisać. Publikowała książki dla dzieci, wydała dwa tomy wierszy: „Taniec motyli" i „Bańki mydlane". Była bardzo energiczna, pełna życia. Potrafiła wiele rzeczy załatwić. To ona była duszą Związku Więźniów Stalinowskich w Katowicach (rozpadł się po jej śmierci). Natalia odeszła nagle 18 października 2013 r. w wieku 76 lat. Została pochowana z wojskową asystą w grobie rodzinnym w Katowicach.


TOWARZYSTWO PRZYJAŹNI POLSKO-RADZIECKIEJ
KOŁO W GLIWICACH
urządza w niedzielę dnia 23 lutego 1947 r. o godz. 10-ej w sali kina „BAJKA"
UROCZYSTĄ AKADEMIĘ
z okazji XXIX rocznicy powstania Armii Czerwonej, na którą zaprasza się Społeczeństwo miasta Gliwic
PRZEMÓWIENIE: prof. Piotra Ehrlicha
W CZĘŚCI ARTYSTYCZNEJ UDZIAŁ BIORĄ:
Orkiestra ZZK pod batutą Stanisława Milasa
Dyr. Edward Radwan (śpiew)
dyr. Marcin Kamiński (fortepian)
Taneczny Zespół Świetlicowy Pracowników Tramwajowych
Remiza Gliwice, pod kier. Zofii Mirek.
W programie:

eprasa.pl



WOZIŁEM BERLINGA

Generał Zygmunt Berling w latach 60. Wtedy woził go po Bieszczadach i wysłuchiwał wojennych wspomnień wojskowy szofer Wojciech Pawlus

Łukasz Zaranek rozmawia z WOJCIECHEM PAWLUSEM, byłym szoferem wojskowym

Najpierw był pan poborowym?

Wojciech Pawlus: [w całym tekście użyto oryginalnej stylistyki rozmówcy – przyp. red.]. W latach 1966–1967 odbywałem zasadniczą służbę wojskową. Służyłem w jednostce w Sanoku. To był 32 Pułk Czołgów Średnich, numer jednostki 1404. Jeździłem samochodem z dowódcą pułku. Zara po przysiędze, pierwszego dnia dali mi samochód, warszawę M-20, garbuskę, dowódcy takimi jeździli.

Sam pan się zgłosił, „kierowcy, wystąp"?

Nie. Ja przed przysięgą miałem strzelanie na strzelnicy, akurat przyszedł ten pułkownik Komski i pyta tego oficera, to chyba był porucznik, jak żołnierze strzelają. To on pokazuje, że jeden miał trzy dziesiątki. Pyta się, czy jest tu nazwisko Pawlus. No jest. Podszedłem do niego i on mówi: „Zaraz po przysiędze będzie jeździł ze mną".

Nie pytał, czy ma pan w ogóle prawo jazdy?

Oni wiedzieli. Ten pułkownik Komski to chyba mnie lubiał, bo mnie często zapra-

FOT. NAC

eprasa.pl 0aa789525f

szał do domu. Ja tam nie lubiałem iść, bo on dowódca, a ja co tam? Ale lubiałem, jak jego żona opowiadała o powstaniu warszawskim. Dużo opowiadała, ale ja już tego wszystkiego nie pamiętam.

Zdarzyło się, że dowódca, pułkownik Stanisław Komski, zadzwonił na pododdział, żebym przyszedł do parku maszyn, bo pojedziemy. Nie mówił gdzie, na jak długo. Pojedziemy. Przyszedłem, wyjechałem samochodem z parku i patrzę, idzie dowódca pułku z generałem Berlingiem.

Rozpoznał pan, że to generał Berling?
Tak. Okazało się, że jemu kierowca rozbił auto w Bieszczadach. Przyjeżdżał tu, bo mu tu w Rajskiem jednostka wojskowa budowała willę. Pociągiem do Zagórza, a my go z dowódcą tam odebraliśmy i zawoziliśmy na osiedle w Sanoku, gdzie mieszkał przez tydzień. Kazali mi jechać w stronę Leska. Jedziemy do Leska, oni siedzieli z tyłu i se rozmawiali obydwa. Patrzę w lusterko, a mój dowódca już za Zagórzem zaczął się rozglądać. Zobaczył takie droge polne. Kazał mi skręcić w nią. Jechali my nią jakieś 300, 500 metrów, nie? Wtedy kazali mi się zatrzymać.

Miał pan pietra?
Nie, dlaczego? To ja jechał samochodem. Ja nie wiem, czy oni umieli jeździć nawet. Komski ani razu nie usiadł za kierownicą, tylko ja zawsze.

Pułkownik Komski był w armii Berlinga, znali się od czasów II wojny światowej, to był bardzo porządny facet, dbał o żołnierzy. Żem zajechał na to pole. Kazali mi się zatrzymać, ja się zatrzymałem, generał Berling kiwnął ręką, żeby ja wysiadł. Ja chciał wysiąść, ale pułkownik Komski mówi: „Panie generale, ja za niego gwarantuję". On przychodził do mnie niera, bo też nieraz do niego przychodziłem do mieszkania, i tam jego żona, Wanda Komska [przed ślubem nosiła nazwisko Kaczkiewicz – Ł.Z.], ona była łączniczką podczas powstania warszawskiego i mi nieraz o nim opowiadała. My siedzieli wieczorami i ona opowiadała, jak dzieci ginęły, jak rzucali butelkami w te czołgi. Oni oboje w Sanoku leżą. Pułkownik mówi, że on by chciał usłyszeć, jak było naprawdę, tak powiedział ten Komski.

Pułkownik z generałem rozmawiali o powstaniu i mój dowódca poprosił, żebym został, mówi Berlingowi, że jestem ciekawy powstania i on by chciał, żeby ja to usłyszał. Oni rozmawiają i generał Berling mówi, że powstanie nie miało wtedy wybuchnąć [1 sierpnia – Ł.Z.], ono miało wybuchnąć, ale później, dopiero było przygotowywane. Im pasowało, żeby wzniecić to powstanie, bo oni stali na brzegu [od połowy lipca 1944 roku I Armia Wojska Polskiego miała stanowiska na prawym brzegu Wisły – Ł.Z.]. Gdy powstanie wybuchło, oni mieli tylko przeskoczyć Wisłę i minimalne straty by były.

Generał Berling mówi, że zgłosiło się do niego dwóch kurierów od dowództwa powstania.

Od generała Bora-Komorowskiego?
Mówili o Komorowskim, o jakimś Monterze, teraz to ja dokładnie nie pamiętam wszystkich nazwisk, tam było tych nazwisk zatrzęsienie. Wie pan, oni wysłali tych dwóch kurierów, oni się zgodzili na ochotnika. Jeden zdążył się przeprawić, drugiego Niemcy zabili podczas przeprawy przez Wisłę. Dostał się tam do dowództwa i było ustalone, żeby oni wzniecili to powstanie. Miało się odbyć koło wieczora albo po południu, a oni mieli o czwartej rano przekroczyć Wisłę. Mówi, wszystko było przygotowane, łodzie, że żołnierze się cieszyli, bo jutro Warszawa bedzie wolna. O godz. 2 artyleria miała ogłuszyć lotnictwo niemieckie, a o 4 one miały przeskoczyć Wisłę i zdobyć Warszawę. Było mówione, po ilu dniach oni mieli zdobyć. Mi się wydaje, że w trzech dniach, ale nie powiem dokładnie, czy w tygodniu czy w trzech dniach.

Generał mówił, ile jednostek miało być przeprawionych w pierwszym rzucie?
Oni se tam mówili, ale ja już nie pamiętam tego wszystkiego. I on mówi tak – tylko nie pamiętam, czy o 11 czy o 12 godzinie – wpadły te czerwone psy i zazgrzytał zębami. Mówi, te psy czerwone, dwa razy se powtórzył i, mówi, aresztowali mnie – mówił na jak długo, ale już nie pamiętam – i szefa sztabu, i wydaje mi się też dowódcę do spraw technicznych, a prawdopodobnie, że coś im zaszkodził polityczny.

Pewnie politruk doniósł NKWD.
No na pewno. I Berling mówi: minimalne straty by były i Warszawa w ogóle nie byłaby zniszczona, tylko tak zrobili i już. A tu gadają, że niepotrzebne było to powstanie, jak było uzgodnione (z dowództwem I Armii WP), to ono miało sens. Niemcy by się nimi zajęli tu w środku, a ci by wyskoczyli i już.

Berlingowcy samodzielnie przeprawiali się przez Wisłę. Wielu zginęło zastrzelonych przez Niemców, ale i przez Rosjan. Jak generał komentował tę formalną dezercję?
Mówił, że oni chcieli iść na to powstanie, że takie oni wszyscy byli zadowolone, że wyzwolą Warszawę. Mówił, że dużo Niemcy zabijali tych, co się przeprawiali.

Pański dowódca nie brał w tym udziału?
Nie. Oni się znali, może z ZSRR, ale nie wiem. Pułkownik Komski pochodził stąd, z Izdebek. On przeszedł do Rosji i z Rosji z powrotem i z Berlina, jak wrócili, to on został dowódcą pułku, tu, w Sanoku. Bardzo porządny gość. Ja z nim jeździł rok czasu, po roku on poszedł do powiatowego sztabu [do Rejonowej Komendy Uzupełnień – Ł.Z.]. Później jeździłem z drugim dowódcą Eugeniuszem Bagińskim, ten już dla mnie był super, ale dla innych żołnierzy to już nie. On miał pochodzenie z Rosji. Bo raz mi dał dowód, bo jemu brakło pieniędzy na... [uśmiecha i się gestem pokazuje, jak się pije].

Ee, a ja myślałem, że oni tego mieli pod dostatkiem...
No i on dał mnie książeczkę i dowód, żebym ja mu z poczty wybrał pieniądze. Ja mu mówię: mi nie dadzą. A on, że: jak ja ci dał dowód, to ci dadzą. Patrzę, a tam obywatelstwo ZSRR.

Raz tylko przyjechał Berling na tydzień czy on tu częściej przyjeżdżał?
On częściej musiał przyjeżdżać, ale swoim samochodem, bo on w Rajskim miał wille. Tam i rodzina była cały czas. Ale wtedy, co mu kierowca rozbił samochód, to na ten tydzień był w Sanoku i w niedzielę też żem go woził do Powiatowego Domu Kultury, tam on miał wykład.

Jaki był Berling?
To był wysoki mężczyzna, taki tęgi chłop. Jak siadły mi obydwa z tyłu, bo obydwa były tęgie, to miałem co wieźć. Przez ten tydzień, jak go woziłem, to zawsze jechali oba. Raz my pojechali do Krosna do domu Gomułki, taki stary był, drewniany.

Ale czy był ideowym komunistą?
Nie, raczej nie. On niby był prorosyjski, ale z ich rozmowy wynikało zupełnie co inne. Jakby wtedy miał człowiek telefon, toby to nagrał, rozmowę warto było nagrać. »

eprasa.pl 0aa789525f



1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki w rejonie Dworca Wschodniego i Wileńskiego, 1944 r.

FOT. EAST NEWS/LASKI DIFFUSION

» ***O czym jeszcze rozmawiali generał z pułkownikiem?***
Oni dużo rozmawiali, ale, wie pan, ja już nie pamiętam. Mnie tylko najbardziej ciekawiło to powstanie. Mnie to denerwuje, jak się mówi, że to było niepotrzebne i Warszawa zniszczona. Tak było, ale jak oni mówili, to powstanie miało sens. Dwa, trzy dni, minimalne straty w ludziach i sprzęcie.

Ale Niemcy mieli odwody, dwa dni i już ściągali dywizje pancerne, zaczęła się rzeź Woli. Berling coś mówił o przedwojennej służbie? Tuż przed wojną został zwolniony przez sąd oficerski, bo chciał wyłudzić pieniądze od żony, z którą się rozwodził.
Może coś mówił, ale mnie to nie interesowało. Berling służył, ale z tego, co mówił, to słyszałem, że on jest za Polską. Żałował tego powstania, mówił: te psy czerwone – aż zgrzytał zębami – przyszły i mnie aresztowały.

A o Starobielsku opowiadał? Berling był tam więźniem, uratował się dzięki temu, że został agentem NKWD.
Takich nie było. Na te najważniejsze tematy rozmawiali tam w polu, my tam stali z półtorej, ze dwie godziny. Nie wiem, czemu kazali mi w pole wyjechać, a nie chcieli gdzieś tam w sztabie rozmawiać, w jednostce, czy tam na tym osiedlu, gdzie przez tydzień generał mieszkał. Może się bali, że kto podsłucha, doniesie.

Czy Berling opowiadał, dlaczego nie chciał wyjść z Rosji razem z gen. Władysławem Andersem? Został za to ukarany wyrokiem śmierci za dezercję, wprawdzie nieprawomocnym.
Nie, ale mówili o Andersie. Że on uciekł. Ale jak mógł uciec, jak ich ruskie wywiozły dwoma statkami, żeby oni otworzyli drugi front na Bliskim Wschodzie, żeby ich tu odciążyć.

Andersa Rosjanie wypuścili, ale Berling wolał zostać.
Może o tym mówili, nie pamiętam. Dużo opowiadali o bitwach, pod Budziszynem. Opowiadali też dużo o Ukraińcach w Bieszczadach.

No tak, jesteśmy na Podkarpaciu. A co mówili o akcji „Wisła”?
Opowiadali, że ci Ukraińcy mieli tam swoje szpitale, młyny nawet po lasach. Tak tam było uzbrojone to wszystko, że ich nie szło wytępić. Tak też mówili oficerowie Sztabu Generalnego, jak przyjechał wizytować, też żem ich woził. Ja wtedy byłem na izbie chorych, miałem dwa zastrzały, tu i tu [pokazuje mały palec i kość przedramienia – Ł.Z.], w szpitalu miałem to cięte i przyszedł do mnie pułkownik Komski i pyta, ty byś nie dał rady pojechać dzisiaj? Ja mówię, może jedną ręką, jak tak, to pojadę. To, mówi, wstań, bo oni chcą tylko, żeby kierowca dowódcy jechał z nimi. Pojechali my wtedy na wesele, blisko Leska. Stoimy, ja piszę kartę, oni wysiadają, wkładam do skrytki, wysiadaj, chodź, mówią. Ja tam nie mogę. Poszedłem z nimi, ale nie piję, bo mam samochód. My za ciebie odpowiadamy, zachęcają. Wylewałem pod stół, ale coś tam wypiłem. To chyba musiały być Ukraińce, bo tak po ukraińsku śpiewali. Potem my pojechali jeszcze do Uherc, to była wioska ukraińska. Tam też jakieś rodziny mieli, też gorzała się lała. Potem jeszcze na Olchowce chcieli jechać, ale to rano było i zrezygnowali.

Jak wyglądała służba wojskowa pod koniec lat 60.? Wkrótce miało dojść do interwencji w Czechosłowacji. Nie baliście się, że was wyślą gdzieś na wojnę?
Mówiło się wtedy o Wietnamie. Kilku nawet się zgłaszało.

Na ochotnika, żeby bić amerykańskich imperialistów?
Tak, ale ci dowódcy, żeby oni się nie zgłaszali, bo jeszcze by musieli iść.

Wybierał pan pieniądze dla płk. Bagińskiego. Było więcej podobnych przygód?
Raz pojechali my do Zagórza, żeby mu pokazać stację ładowania czołgów. Pojechali my tam oba, to była pierwsza jazda, on mówi, że dowódca zawsze sobie zmienia kierowcę, ale, mówi, ja słyszał, że ty fajny chłop, i mnie nie chciał zmieniać. Tak było, że my potem pojechali do takiej ciotki albo znajomej i on tam, no lubił wypić. Ale tego już nie mogę opowiedzieć.

Dlaczego przez ponad pół wieku milczał pan o tej historii?
Wtedy to było tajne, nikomu nie mogłem opowiedzieć o tym, co słyszałem. Niestety, sporo już zapomniałem, ale staram się, żeby to nie wypadło z pamięci.

Myślę o tym, jak jadę traktorem na pole, tak jak teraz, jak jest tak sucho, to zawsze się zbierają przy mnie bociany.

eprasa.pl 0aa789525f



PAWEŁ SKIBIŃSKI

1946 rok Juana Perón

W lutym 1946 r. odbyły się w Argentynie wybory prezydenckie, w wyniku których doszedł do władzy płk. Juan Domingo Perón Sosa. Startował on z poparciem własnej partii – Partido Laborista – nawiązującej formalnie do labourzystowskiego ruchu w Wielkiej Brytanii. Podobnie jak brytyjska Partia Pracy miała poparcie i współpracowała ze związkami zawodowymi, choć adaptując wiele z wzorców włoskiego faszyzmu, zwłaszcza jeśli chodzi o propagandę i sposoby mobilizacji mas. Perón korzystał także z poparcia rozłamowych organizacji w tradycyjnych partiach establishmentu argentyńskiego – części radykałów i konserwatystów.

Główne partie tradycyjne wspierały natomiast jego wyborczego kontrkandydata – José Tamboriniego, popieranego również przez komunistów. Perón uzyskał w tych wyborach 53 proc. głosów, Tamborini natomiast 43 proc. Popierające Peróna partie otrzymały w sumie 109 głosów w 158-osobowej izbie niższej parlamentu. Kontrolowały także Senat. W ten sposób Juan Perón objął władzę, którą będzie sprawował w Argentynie przez kolejne niemal 10 lat.

Juan Domingo Perón w 1946 r. był zawodowym wojskowym, który od 1930 do 1945 r. wykładał historię wojskowości w argentyńskiej szkole oficerskiej. W latach 1939–1941 przebywał na studiach we Włoszech, przy czym odbył wówczas podróż po całej proniemieckiej Europie, ze Związkiem Sowieckim włącznie.

Karierę polityczną rozpoczął w 1943 r., gdy zaangażował się w działalność loży oficerskiej GUO (Grupo de Oficiales Unidos – Grupa Zjednoczonych Oficerów), która zainspirowała wojskowy zamach stanu w 1943 r. Sam Perón był tam jednak raczej postacią drugiego planu.

Część historyków mówi o tym lobby jako o ośrodku wpływów niemieckich, jednak GUO była raczej grupą argentyńskich nacjonalistów, którzy starali się w trakcie II wojny światowej utrzymać kraj w ramach polityki zachowania neutralności i dystansowania się od hegemonii USA na kontynencie amerykańskim. Polityka neutralności była zaś szansą rozwoju gospodarczego kraju i źródłem argentyńskiego bogactwa – pozwalała bowiem Argentyńczykom handlować, głównie żywnością, z obiema stronami konfliktu. Dodajmy, że 70 proc. argentyńskiej produkcji trafiało do państw alianckich.



Juan Perón, nowo wybrany prezydent Argentyny, 4 czerwca 1946 r.

W rządach wojskowych prezydentów – generałów Pedra Ramireza oraz Edelmira Farrella – Perón został ministrem pracy i opieki społecznej. Użył tego stanowiska jako narzędzia zmiany społecznej w Argentynie i podstawy własnej, gwałtownie rosnącej popularności. Na wniosek Peróna rząd wojskowy wprowadził bowiem m.in. emerytury dla pracowników, sądownictwo pracy i płatne urlopy. Za rządów prezydenta Farrella Perón został także ministrem wojska oraz wiceprezydentem.

Wojskowi z konkurencyjnej frakcji, zazdrośni o rosnące wpływy ministra, w październiku 1945 r. doprowadzili do politycznego przesilenia, w wyniku którego Perón trafił do więzienia. W reakcji na jego aresztowanie w ciągu tygodnia na ulice większych miast w całym kraju wyległy tłumy robotników popierających uwięzionego polityka. Zmusiło to wojskowych do zwolnienia Peróna z aresztu, a dzień jego zwolnienia – 17 października – stał się symboliczną datą powstania ruchu peronistowskiego.

W tym samym roku Perón ożenił się z Evą Duarte – słynną Evitą Perón – argentyńską aktorką, która stała się w kolejnych latach jedną z wizerunkowych podpór autorytarnego przywódcy. Evita prowadziła własną fundację, która specjalizowała się w działalności charytatywnej, prowadzonej zwłaszcza w biedniejszych dzielnicach Buenos Aires.

Perón, zostawszy głową państwa, dokonał w 1949 r. zmiany konstytucji. Nowa argentyńska ustawa zasadnicza pozwalała mu na osobiste i autorytarne rządy, znacząco bowiem zwiększała kompetencje prezydenta kraju. Dokonał również nacjonalizacji kluczowych gałęzi produkcji, kolei, banków, telefonii oraz floty handlowej. Doprowadził do wzrostu uposażeń robotników, a także zwalczał bezrobocie poprzez system finansowanych ze środków państwowych robót publicznych. W 1951 r. ponownie wygrał wybory prezydenckie.

W trakcie drugiej kadencji zniósł swobody zrzeszania się oraz wszedł w otwarty konflikt z Kościołem katolickim, co doprowadziło nawet do ekskomuniki prezydenta. W 1955 r. coraz bardziej izolowanego Peróna obalił zamach stanu konserwatywnych wojskowych. Lider udał się wówczas na wygnanie, najpierw do Paragwaju, a następnie do Hiszpanii.

Peronizm, jako ruch polityczny, pozostał jednak trwałym elementem polityki argentyńskiej – różnicując się z upływem lat na kilka odrębnych, często zwalczających się wzajemnie kierunków: od konserwatywno-korporacyjnego, poprzez syndykalistyczny, po lewicowo-rewolucyjny, skupiony w ruchu Monteneros.

Sam Juan Domingo Perón zaś wrócił do kraju po zwycięstwie wyborczym peronistów w 1973 r. i po kilku miesiącach wygrał kolejne wybory prezydenckie. Zmarł jednak w lipcu 1974 r., po niecałym roku rządów.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 0aa789525f

BOLSZEWICY I OFICEROWIE

NA ZAPROSZENIE „wSIECI HISTORII" MAM PRZYJEMNOŚĆ ZACZĄĆ NOWĄ KOLUMNĘ PUBLICYSTYCZNĄ, POŚWIĘCONĄ PRZESZŁOŚCI, POD OGÓLNĄ NAZWĄ „NARRACJA.USPL" – CZYLI USA–POLSKA. BĘDĘ SIĘ STARAŁ PRZYBLIŻYĆ ANGLOJĘZYCZNE INTERPRETACJE DZIEJÓW. MAM NADZIEJĘ, ŻE TEN PUNKT WIDZENIA PAŃSTWA ZACIEKAWI



FOT. EAST NEWS

Generał kawalerii Piotr Wrangel wybrał walkę z bolszewikami. Na zdjęciu z oddziałem kozaków na Kaukazie, 1918 r.



MAREK JAN CHODAKIEWICZ

Przed I wojną światową w Rosji zagraniczni obserwatorzy dziwili się, że wyżsi stopniem przełożeni bezkarnie wyzywali i w rozmaity sposób upokarzali niższych od siebie stopniem oficerów armii rosyjskiej. Wyglądało na to, że w tych kręgach nie funkcjonował honor oficerski – odwrotnie niż na Zachodzie. Łatwo byłoby odwołać się do tego przykrego zjawiska, aby wytłumaczyć powód, dlaczego większość rosyjskich oficerów nie poparła antykomunistycznych Białych, a znalazła się w szeregach Czerwonych. Powody tak tragicznego rozwoju sytuacji są dużo bardziej złożone.

Przed 1914 r. korpus oficerski armii imperialnej Rosji był podzielony na dwie główne części: tradycyjną i nową. Tradycyjna wywodziła się ze szlachty, a nowa – z mieszczaństwa i gminu. Ich przedstawiciele szkolili się zwykle w osobnych akademiach wojskowych. I dostawali osobne przydziały. Tradycyjni zwykle trafiali do pułków gwardyjskich, przybocznych cara, szczególnie do kawalerii, a reszta do pozostałych jednostek. Naturalnie były wyjątki, bo szczególnie uzdolnieni trafiali do najlepszych szkół junkierskich (podchorążackich), a potem do najlepszych pułków.

eprasa.pl 0aa789525f

Patrząc neomarksistowsko

Marksistowski historyk Norman Stone w pracy „The Eastern Front 1914–1917" (New York: Penguin Books, 2004 [1972]) zawarł pogląd, że rosyjski establishment militarny dzieli się na „patrycjuszy" i „pretorian". Obie grupy wywodziły się z dwóch głównych tradycyjnych środowisk – rosyjskich bojarów i baronów bałtyckich. Obie grupy tradycyjnie służyły carowi, szczególnie Niemcy bałtyccy, a nie Rosji. „Pretorianie" jednak pozostawali głównie w związku personalnym z carem aż do końca imperium w 1917 r., podczas gdy „patrycjusze," przekształcając się do końca XIX w. w coraz bardziej europejską arystokrację, stopniowo mocniej identyfikowali się nie tylko z władcą, lecz przede wszystkim z Rosją. Byli więc patriotami, czyli – jak się mówi na Zachodzie – „nacjonalistami" rosyjskimi.

„Patrycjusze" to głównie kawalerzyści. „Pretorianie" to także inne rodzaje broni, ale wszystkie również elitarne. Co więcej, z obu grup zaczęli wynurzać się reformatorzy, przeważnie służący w wojskach technicznych – artylerii, kwatermistrzostwie i in. Część z nich identyfikowano z „reformatorami", którzy zawdzięczali swoje promocje długoletniemu ministrowi wojny generałowi Władimirowi Suchomlinowi (1848–1926). Wielu „reformatorów" to właśnie ludzie nowi, z warstwy średniej i gminu.

Otóż Stone twierdzi, że to właśnie „reformatorzy" zwykle trafiali do wojska bolszewickiego. Ich przeciwnicy walczyli w szeregach Białych: „Badania nad tymi oficerami carskimi, którzy poszli do Armii Czerwonej, pokazują znaczne pokrewieństwo ze starymi suchomlinowcami. Technicy bez pretensji, skromnego pochodzenia, młodsi oficerowie zniecierpliwieni trąbkami kawalerii, kadry Sztabu Generalnego – znaleźli swą drogę do Armii Czerwonej. A kawalerzyści i bardziej staroświeccy artylerzyści podążyli do Białej Armii".

Patrząc inaczej

Skutkiem tego Armia Czerwona miała lepszych oficerów. Zbija takie argumenty świetny Richard Pipes w pracach „The Russian Revolution" (New York: Vintage Books, A Division of Random House, Inc., 1991) oraz szczególnie w „Russia Under the Bolshevik Regime" (New York: Vintage Books, 1995). Pokazuje, że to Biali byli lepszymi dowódcami i bardziej idealistycznymi. Czerwoni wygrali, bo byli zjednoczeni i zajmowali centrum geograficzne Rosji z niemal wszystkimi jej arsenałami i ośrodkami przemysłowymi. Biali byli podzieleni i rozrzuceni po całym imperium. Pipes podkreśla, że większość białych ochotników – ok. 10 tys. – to oficerowie, którzy przed I wojną światową i rewolucją ciężką pracą wywindowali się po średnich szczeblach kariery. To oni stanowili większość aktywnych antykomunistów. Niekoniecznie popierali monarchię czy republikę, ale z patriotycznych powodów walczyli przeciw komunistom, których uważali za zdrajców. Naturalnie „patrycjusze" też byli tam proporcjonalnie reprezentowani.

Pipes przyznaje, że większość rosyjskich oficerów była podczas rewolucji i wojny domowej pasywna. Ustala, że na 250 tys. ekscarskich oficerów, którzy przeżyli do jesieni 1917 r., 75 tys. służyło Czerwonym. Jednak trzeba pamiętać, że większość zawodowych oficerów rosyjskich zginęła na początku wojny w czasie rzezi lat 1914 i 1915. Na 220 tys. nowych oficerów, promowanych podczas wojny, 80 proc. pochodziło z gminu. Większość miała przynajmniej jedną klasę gimnazjum (ok. 50 proc. gimnazjum ukończyło), co powodowało, że wywodzący się z ludu prości żołnierze rosyjscy uważali ich za „panów" – barin. Część z nich padła na polach bitwy I wojny, ale większość przeżyła.

Możemy zgadywać, że oficerowi ci byli proporcjonalnie reprezentowani w szeregach zarówno wojsk Białych, jak i Czerwonych. Nie ma jeszcze niestety solidnych studiów na ten temat, a więc musimy stosować dedukcję i ekstrapolację.

Jednak terror

Z punktu widzenia doraźnego rozwoju sytuacji podczas rewolucji i wojny domowej najważniejszym elementem wpędzającym oficerów w szeregi bolszewickie był czerwony terror. We wrześniu 1918 r. Lew Trocki wydał dekret, na podstawie którego ponad 8 tys. oficerów wzięto jako zakładników. Dekret również straszył represjami rodziny oficerskie: „ojców, matki, siostry, braci, żony i dzieci". Im także groziła kara śmierci. To właśnie bolszewicki terror (branie na zakładników oficerów i ich rodzin) wymusił na większości służbę w Armii Czerwonej. Trocki dalej rozkazał stworzenie teczek na każdego carskiego oficera, w których zapisywano wszelkie informacje na ich temat. Rozstrzeliwano ich pod najbłahszym pozorem.

Ponadto eksoficerowie i ich rodziny zwykle cierpieli głód. Nie mieli pracy, a więc także państwowych przydziałów żywności. Wyprzedawali się, ale jeśli chcieli jeść, musieli znaleźć jakąś pracę. Jako „panowie", czyli wrogowie klasowi, nie byli do pracy przyjmowani. Chyba że w wojsku jako „burżuazyjni specjaliści". Duża część z nich w związku z tym wróciła do wojska, niestety czerwonego. W rezultacie „75 tys. eksimperialnych oficerów służyło w Armii Czerwonej, a wśród nich 775 generałów oraz 1726 innych wyższych oficerów z carskiego Sztabu Generalnego".

Pipes uważa za najważniejsze, że zgodnie z tradycją większość oficerów była apolityczna i służyła po prostu państwu i „władzy", ktokolwiek ją sprawował. Dotyczyło to również bolszewików po przewrocie, którym oficerowie zaczęli służyć. „Tak długo jak walka o władzę była niezdecydowana, wyczekiwali. Jak bolszewicy zdobyli władzę, wielu z nich zaczęło im służyć, bowiem to oni stali się »władzą«, której uczono ich posłuszeństwa". Pipes podkreśla, że zgodnie z moskiewską tradycją polityczną oficerom było łatwiej słuchać, niż dowodzić.

Mimo wielkiej przewagi w ludziach i materiale Armia Czerwona przegrywała systematycznie z siłami Białych. Gdyby nie łotewscy czerwoni strzelcy, bolszewicka władza nie utrzymałaby się. Po pewnym czasie komunistyczny „reżim zdecydował, że nie miał wyboru innego niż w swoje szeregi wciągnąć dziesiątki tysięcy byłych oficerów carskich uznanych za bezwzględnie wrogich komunizmowi, oficerów, których utrzymywano w ryzach za pomocą politycznej kontroli i terroru... Niewielu oficerów posłuchało swego sumienia i – ryzykując życiem – współpracowało z Białymi. Ale starzy oficerowie, jak tylko włożyli na siebie [bolszewickie] mundury, w większości wykazali się jako profesjonaliści i to właśnie oni wygrali wojnę domową dla komunistów".

* * *

I to jest właśnie tragedia Rosjan. Nawet jeśli jest to dla nich samobójcze, są posłuszni i służą tyranom. Zupełnie bez honoru. Oprócz białych oficerów, którzy ocalili honor swój i antykomunistycznej Rosji.

eprasa.pl 0aa789525f

RADZIECKI CZY SOWIECKI?

AKSJOLOGICZNA WIZYTÓWKA

UŻYWANIE NAPRZEMIENNIE OBU TYCH OKREŚLEŃ, WEDŁUG JĘZYKOZNAWCÓW, NIE JEST BŁĘDEM, JEST JAK NAJBARDZIEJ DOPUSZCZALNE. CZY JEDNAK SFERA POJĘĆ, COŚ, CO JEST NA CO DZIEŃ NIEDOSTRZEGALNE, A JEDNAK MA OGROMNY WPŁYW NA NASZ SPOSÓB WIDZENIA ŚWIATA, NA NAJPROSTSZE WYBIERANIE DOBRA I ZŁA, NIE POWINNA BYĆ TAK WYCZYSZCZONA, ŻEBY TE PODSTAWOWE ŻELAZNE ZASADY BYŁY RAZ NA ZAWSZE USTALONE?



ADAM HLEBOWICZ

dyrektor Biura Edukacji Narodowej IPN

To pewnego rodzaju utopia, choć szlachetna w swoim zamiarze. Historia używania pojęć „radziecki" i „sowiecki" jest mocno naznaczona piętnem ideologii XX w. Warto choć tyle wiedzieć, żeby używając danego określenia, mieć świadomość, że bierze się udział w ideologicznym planie, który dziś nie jest aktualny, jednak pewne znaczenie posiada.

Jak pisała Janina Hera w artykule o początkach cenzury w Polsce powojennej, celem władzy było stworzenie „Człowieka Ziemi Nowej", o którym na zaproszenie KW PPR opowiadał w 1947 r. w Szczecinie Kazimierz Koźniewski: „Pozbawionego pamięci, nieznającego historii, niezdolnego do samodzielnego myślenia, powolnego narzędzia propagandy, niemającego nigdy wątpliwości i znajdującego zawsze oczekiwaną przez partię odpowiedź". Jak słusznie w tym samym roku 1947 zauważał żyjący na emigracji Józef Mackiewicz: „Sowieckie działania wobec podbitego narodu przypominały operację chirurgiczną polegającą na wyjmowaniu pacjentowi jego mózgu i serca narodowego".

Język a ideologia

Czy prawidłowe językowo jest sformułowanie Związek Sowiecki? Niegdyś uczono, że nie wolno mieszać różnych języków w sformułowaniach tego typu, a sowiecki nie jest przecież słowem polskim. Wiktor Sukiennicki, wybitny sowietolog z Wilna, już w 1934 r. zaproponował, żeby nie kalać polskiego języka rusycyzmem i zamienić sowiecki na radziecki, jednak ten apel osoby, którą trudno podejrzewać o sprzyjanie ideologii komunistycznej, pozostał właściwie bez echa. Słowo „sowiecki" rzeczywiście nie jest polskie, ale o to właśnie chodzi. Jego obcość miała być sygnałem obcości zjawisk, które oznacza. Tak w każdym razie było przed wojną, gdy przymiotnik ten budził wyraźnie negatywne skojarzenia.

Jest wiele opinii, że słowo „sowiecki" ma tę przewagę nad swoim synonimem, iż występuje zarówno w formie przymiotnika „sowiecki", jak i rzeczowników w liczbie pojedynczej „Sowiet" i mnogiej „Sowieci", podczas gdy słowo „radziecki" takich cech nie wykazuje. Z pewnością ułatwia to posługiwanie się nim w różnych kontekstach. Co ciekawe, w czasach PRL, co prawda rzadko, używane było też określenie „Radzianie", zwłaszcza przez funkcjonariuszy partyjnych, ewidentnie nacechowane pozytywnie, odgórną presją ideologiczną.

Zdaniem językoznawcy prof. Jana Miodka określenie „sowiecki" jest obciążone oceną pejoratywną, a „radziecki" ma wydźwięk bardziej neutralny. To nieprawdziwe twierdzenie wynikające z nieznajomości faktów historycznych. Jeśli już, to oba te określenia posiadają konkretny wymiar ideologiczny, z tą różnicą, że słowa „sowiecki" nikt nam nie narzucał, a słowo „radziecki" zdecydowanie tak. Czy Kraj Rad nie był ideologicznym a sympatycznym zastępstwem dla Sowietów? Dodajmy, że w latach 1958–1990 ukazywało się w Polsce pismo o takiej nazwie, drukowane na eleganckim papierze,

eprasa.pl 0aa789525f

w dużym nakładzie, a skład redakcji stanowili zarówno Rosjanie, jak i Polacy, wierni ideologii komunistycznej. Wydawcą pisma była Agencja Prasowa „Nowosti" z Moskwy.

Na emigracji

Językoznawczą analizę problemu przedstawił wnikliwie w 1950 r. Stanisław Westfal, wybitny językoznawca, przebywający, co ważne, na emigracji w Londynie. Ukazał on pewien paradoks, że utworzony od polskiej podstawy rzeczownikowej „rada" przymiotnik „radziecki" odczuwany może być jako sztuczny, obcy. Wskazywał Westfal, że istniejący już w okresie staropolskim przymiotnik „radziecki" był zwykle odnoszony do radźcy, radcy, dziś byśmy powiedzieli radnego, a nie do samej rady. Ocenił przy tym negatywnie dopuszczalne formy: radzki i radziański. Należy zaznaczyć, że formę sowiecki oficjalnie stosowano do 1947 r. w Polsce Ludowej. Także w Manifeście PKWN. Forma „radziecki" jeszcze w średniowieczu była używana w Polsce, ale w odniesieniu do rad miejskich i sądów. Pamiętam moje i moich kolegów ze studiów na KUL zdziwienie, gdy na drugim roku dostaliśmy do analizy „akta radzieckie miejskie miasta Kazimierza". Rozwiązanie trudnej sytuacji słowotwórczej doprowadziło więc do utworzenia przymiotnika o szczupłym i dwoistym uzasadnieniu strukturalnym, o niepochlebnych skojarzeniach, częściowo wzorowanego na rosyjskim. Trudno o lepszy przykład błędnych i w pewnym stopniu wewnętrznie sprzecznych dróg puryzmu, z którym stowarzyszył się dodatkowo nacisk i przymus ideologiczny. Westfal konkludował: pozostańmy przy Sowietach i sowieckim. »



Powitanie delegacji Centralnego Zarządu Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na Rzeszowszczyźnie, 5 listopada 1974 r.

FOT. PAP

» Oddajmy głos Zbigniewowi S. Siemaszce, wybitnemu historykowi polskiej emigracji. Na łamach „Zeszytów Historycznych" pisał on: „Warto przypomnieć, że terminologia radziecka została zainicjowana przez środowisko, na czele którego stali Marchlewski i Dzierżyński w 1919 roku, a potem była używana przez Komunistyczną Partię Polski, »Nowe Widnokręgi« Wandy Wasilewskiej, Związek Patriotów Polskich, PZPR i PRL. Natomiast środowiska, w których ja się obracałem podczas swego życia (w okresie pobytu w Sowietach włącznie), używały terminologii sowieckiej. Choć i na emigracji bywało z używaniem tych słów różnie".

Tak spór o przymiotniki wspomina w książce „Prawą stroną labiryntu" Wojciech Wasiutyński, emigracyjny publicysta Stronnictwa Narodowego: „Przez dwanaście lat pracy w nowojorskiej redakcji RWE miałem z Janem Nowakiem tylko jeden groźny konflikt. Było to w okresie, gdy Departament Stanu naciskał na łagodzenie kursu RWE. W tym czasie Voice of America w swoich audycjach polskich przeszedł z używania słowa »sowiecki« na »radziecki«. Niedługo potem Nowak, bez wyjaśnienia, polecił listownie zrobić to samo w naszych audycjach. Napisałem do niego prywatny list, że się nie podporządkuję temu poleceniu, ponieważ uważam sprawę za zasadniczą. Propagandę robi się słowami i mają one wagę. Wszystkie narody używają słowa »sowiecki«, nawet Czesi i Węgrzy, nie mówiąc o Niemcach i Zachodzie. Tylko tym, których uważali za swoich, tj. Ukraińcom i Polakom, bolszewicy narzucili tłumaczenie dosłowne (radianskyj, radziecki), w polskim wypadku zupełnie błędne gramatycznie (radziecki od radca, a nie rada). Przez okres niepodległości wszyscy Polacy mówili »sowiecki«, a tylko komuniści czołobitnie »radziecki«. Jeżeli inicjatywa jest amerykańska, trzeba się jej oprzeć. Nowak wpadł w pasję, pobiegł z moim listem do Amerykanów i zażądał usunięcia mnie. Jakoś z tego nic nie wyszło, ale był obrażony i stwierdził potem, że zmiany nazewnictwa dokonał na życzenie prymasa Wyszyńskiego i generała Andersa. Generał Anders powiedział w radio, że sam mówi zawsze »sowiecki« i nie doradzał zmiany tego słowa. Nieco później w Rzymie prymas również twierdził w rozmowie z prezesem emigracyjnego Stronnictwa Narodowego Tadeuszem Bieleckim, że żadnych poleceń nie wydawał, że w Polsce jedni mówią »sowiecki«, inni »radziecki«, a „my [biskupi] najczęściej mówimy po prostu »moskiewski«".

W CZASACH PRL, CO PRAWDA RZADKO, UŻYWANE BYŁO TEŻ OKREŚLENIE „RADZIANIE", ZWŁASZCZA PRZEZ FUNKCJONARIUSZY PARTYJNYCH, EWIDENTNIE NACECHOWANE POZYTYWNIE, ODGÓRNĄ PRESJĄ IDEOLOGICZNĄ

Jak u innych?

Jak słusznie zauważył Wojciech Wasiutyński, okazuje się, że wszystkie narody, z wyjątkiem polskiego i ukraińskiego, używają słowa „sowiecki". Tak mówią Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Niemcy, cały wolny świat. Wszędzie jest Soviet Union, a nie Counsil Union, Sowjetunion, a nie Ratunion. Co więcej, również wszystkie narody, których państwa należały do bloku wschodniego, Bułgarzy, Czesi, Niemcy z NRD, Rumuni i Węgrzy, z wyjątkiem Polaków i Ukraińców, używały właśnie terminu „sowiecki" bez jego tłumaczenia. Pod tym względem po wojnie tylko my de facto naśladowaliśmy sowiecką republikę, Ukrainę, tam używano słowa „radiański", ale już Białorusini i Litwini używali i dotąd używają słowa „sowiecki". Niektórzy próbowali to tłumaczyć naszymi wspólnymi słowiańskimi korzeniami, bliskością języków i koniecznością odnalezienia właściwych słów, ale przykład Białorusi przeczył tym wymuszonym teoriom.

Wprowadzenie przez bolszewików przymiotnika „sowiecki" i nazwy państwa „Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich" od początku ukrywało i fałszowało istotę tego państwa, w którym sowiety (rady robotnicze i chłopskie) stanowiły jedynie fasadę, a istotą systemu były struktury partii komunistycznej i bezpieki, niemające nic wspólnego z jakąkolwiek demokracją, czyli wspólnym radzeniem. „Sowiety" to pojęcie polityczno-propagandowe, w swej istocie nieprzetłumaczalne i w takiej postaci powinno funkcjonować.

Po wojnie słowo „radziecki" zostało narzucone przez władze komunistyczne i przyjęte oficjalnie w Polsce Ludowej jako obowiązujące, z określonym celem propagandowo-politycznym, którym miała być zmiana nastawienia Polaków do Związku Sowieckiego, na pozytywne. Jest to przykład komunistycznej logokracji, czyli narzucania swojej władzy za pomocą słów. Podobnie w 1949 r. cenzura w Polsce nakazała wykreślanie słowa „niemiecki" odnośnie do II wojny światowej, w to miejsce pojawili się „naziści" („hitlerowcy"). 7 października 1949 r. została utworzona Niemiecka Republika Demokratyczna (tzw. dobrzy Niemcy), która w żaden sposób nie miała się kojarzyć ze zbrodniami przedstawicieli tego narodu w czasie najkrwawszej z wojen.

Ponieważ cenzura po trwałym zdobyciu władzy przez komunistów w 1947 r. nie dopuszczała terminu „sowiecki", określenie to było stosowane tylko w prasie emigracyjnej oraz w wydawnictwach podziemnych. Ponad 40 lat używania w polskiej przestrzeni publicznej wyłącznie słowa „radziecki" spowodowało utrwalenie się tego terminu. Jedynie nieliczni naukowcy i publicyści po 1989 r. powrócili do terminologii okresu międzywojennego, a w środkach masowego przekazu po dziś dzień zdecydowanie dominuje przymiotnik „radziecki".

Sedno sprawy, o której mowa, to spór o wartości, pogląd na świat i historię Polski. Poza ludźmi nieświadomie używającymi jednej lub drugiej nazwy, tych raczej sytuowałbym przy używaniu słowa „radziecki", wybór i użytkowanie jednej z nazw jest swoistą aksjologiczną wizytówką, w jaki sposób traktujemy ideologię, ustrój i historię ważnej części komunizmu, jakim były istnienie i zbrodnicza działalność Związku Sowieckiego.

eprasa.pl 0aa789525f



Władysław IV u szczytu potęgi. Zwycięstwo pod Smoleńskiem w 1634 r. (obraz nieznanego malarza polskiego z XVII w.) doprowadziło do stabilizacji stosunków Rzeczypospolitej z Moskwą po dwóch dekadach wojen

FOT. ARCHIWUM (2X)

MŁODSI WAZOWIE

WŁADYSŁAW IV I JAN KAZIMIERZ – DWAJ OSTATNI KRÓLOWIE POLSCY Z DYNASTII WAZÓW – W OPINII WIĘKSZOŚCI HISTORYKÓW WYPADAJĄ ODMIENNIE



HENRYK LITWIN

Władysław jest najczęściej uważany za monarchę zdolnego i ambitnego, który nie zdołał zrealizować swych imponujących planów ze względu na opór konserwatywnej szlachty niechętnej śmiałym przedsięwzięciom. Kojarzy się z militarnymi zwycięstwami i potęgą Rzeczypospolitej. Z kolei Jan Kazimierz jest przede wszystkim symbolem klęsk, które dotknęły państwo w okresie jego panowania: nieszczęśliwe wojny kozackie, moskiewskie i szwedzkie, pierwszy sejm zerwany przez weto jednego posła, rokosz Lubomirskiego, abdykacja. Można by uznać, że ostatni z Wazów miał na trzecie imię „Porażka". Czy rzeczywiście tak wiele różniło tych przyrodnich braci, którzy kolejno poślubili tę samą kobietę?

Władysław zwycięzca

Dzieje obu panowań były rzeczywiście różne. Władysław został wybrany na tron w czasie najspokojniejszej i najszybszej elekcji w dziejach Rzeczypospolitej (1632). Początek królowania był błyskotliwy. Władysław odniósł świetne zwycięstwo nad Moskwą, która jeszcze w czasie bezkrólewia zaatakowała Smoleńsk. Prowadzona przez króla odsiecz pokonała główne siły najeźdźcy, uwolniła twierdzę od oblężenia i doprowadziła do zawarcia pokoju wieczystego w Polanowie (1634), który stabilizował stosunki Rzeczypospolitej z Moskwą po ponad 20-letnim okresie wojen i ustanawiał korzystną dla państwa polsko-litewskiego granicę. Jednocześnie inna armia koronna udaremniła próbę najazdu tureckiego. Po tych dwóch »

eprasa.pl 0aa789525f

» sukcesach nastąpiła mobilizacja do kolejnej wojny, która mogła wybuchnąć w związku z upływającym terminem rozejmu ze Szwedami, zawartego w 1629 r. W rezultacie zawarto z północnymi najeźdźcami rozejm w Sztumskiej Wsi (1635), znacznie korzystniejszy od poprzedniego, bo uwalniający kilka twierdz Rzeczypospolitej w Prusach od Szwedów oraz od szwedzkich ceł morskich. W ten sposób w czasie pierwszych dwóch lat panowania Władysława doszło do korzystnego uregulowania sytuacji na trzech gorących od wielu lat frontach, co obiecywało okres stabilnego pokoju. W latach 1635–1638 została z kolei zdławiona seria kozackich buntów. Nie ma wątpliwości, że otworzyło to okres wzmożonego ruchu osiedleńczego na południowo-wschodnich kresach Korony i gospodarczego ożywienia. Postępy osadnictwa na kresach były równoznaczne z tworzeniem infrastruktury obronnej, jaka pozwalała na coraz efektywniejszą ochronę od niszczycielskich najazdów tatarskich, jakie od stulecia były zmorą nie tylko pogranicza, ale i ziem ruskich położonych w głębi kraju. W efekcie w 1644 r. w trakcie tzw. kampanii ochmatowskiej po raz pierwszy w historii wielki najazd tatarski został zatrzymany, rozbity i zmuszony do odwrotu jeszcze na pograniczu, zanim zdołał dotrzeć do ziem gęściej zaludnionych. Stabilizacji w południowo-wschodniej części państwa sprzyjało także uregulowanie sytuacji prawosławia. Król Władysław doprowadził bowiem do reaktywowania legalnej hierarchii cerkiewnej i przywrócił jej znaczną część beneficjów. Okres jego panowania był dla prawosławia czasem odnowy dokonywanej pod przewodnictwem metropolity kijowskiego Petra Mohyły. Powstała szansa na stworzenie trwałego systemu kohabitacji katolicyzmu i prawosławia w państwie. Powstała koncepcja stworzenia w Rzeczypospolitej prawosławnego patriarchatu, który mógłby doprowadzić do pojednania z papiestwem.

Lepsze wrogiem dobrego

Władysław nie był jednak zainteresowany doskonaleniem modelu ustrojowego i systemu państwowego. Miał ambicje wielkiego władcy i chciał zmieniać rzeczywistość na miarę całego kontynentu. Niepowodzenie planów zaistnienia w polityce europejskiej w roli mediatora toczącego się wówczas wielkiego konfliktu, który przeszedł potem do historii pod nazwą wojny trzydziestoletniej, spowodowało rozbudzenie innych wielkich marzeń. Władysław rozpoczął przygotowania do ofensywnej wojny z Turcją, która miała doprowadzić do oswobodzenia Konstantynopola i wyparcia imperium omańskiego z Europy. Prowadził pertraktacje ze Stolicą Apostolską, Wenecją i Moskwą w celu stworzenia antytureckiej koalicji, ale nie poradził sobie z oporem szlachty w Rzeczypospolitej. W państwie, w którym funkcjonował parlamentarny system, zbudowanym na silnych lokalnych samorządach, idea wojny ofensywnej nie mogła znaleźć silnego wsparcia. Król nie chciał jednak dać za wygraną i próbował doprowadzić do sprowokowania konfliktu, działając za pomocą pozaustrojowych instrumentów oddziaływania. Konstruowanie tej prowokacji miało w istocie charakter swoistego zamachu stanu. Władysław zamierzał wykorzystać wybranych magnatów i Kozaków, rozbudzając oczekiwania tych ostatnich. W efekcie rozpętał burzę kozackiego powstania, które zyskało pomoc zagrożonych wojną Tatarów i przerodziło się w masowy bunt chłopski, który totalnie zdestabilizował ziemie ukrainne Rzeczypospolitej i otworzył drogę do zaprowadzenia moskiewskiej dominacji w tej części kontynentu. Kiedy ta groźna burza zaczęła się rodzić, Władysław zmarł i konsekwencjom jego politycznych rojeń musiała stawić czoła cała Rzeczpospolita i wybrany na jej króla Jan Kazimierz.

Tragiczne dziedzictwo

Jego elekcja była z kolei może najdramatyczniejsza w historii państwa. Swoją kandydaturę wysunął wówczas także młodszy brat – cieszący się znaczną popularnością Karol Ferdynand. Kiedy szlachta zbierała się pod Warszawą, żeby dokonać wyboru, potężne kozacko-tatarskie wojska oblegały Zamość i mogły się znaleźć na polu elekcyjnym w ciągu kilku dni. W efekcie o wyborze Jana Kazimierza zadecydował jeden głos oddany listownie przez wodza Kozaków Bohdana Chmielnickiego. Karol Ferdynand na takie dictum zrezygnował z ubiegania się o Koronę i na tronie zasiadł jego starszy brat.

Dla Jana Kazimierza przez pierwsze lata panowania największym wyzwaniem była kwestia kozacka. Pozostając pod wpływem politycznych koncepcji kanclerza Jerzego Ossolińskiego, usiłował początkowo prowadzić wobec Kozaków politykę ugodową. Potem ulegał wojennym planom podkanclerzego Andrzeja Leszczyńskiego. Odniósł nad połączonymi oddziałami kozacko-tatarskimi świetne zwycięstwo pod Beresteczkiem (1652), kiedy zabłysnął talentami dowódczymi. Przyszły jednak kolejne klęski wojsk Rzeczypospolitej (Batoh, 1653), które otworzyły drogę do moskiewskiej interwencji na Ukrainie i niekorzystnej zmiany układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej. Porażki w wojnie z Moskwą osłabiły Rzeczpospolitą, co skusiło do ekspansji Szwedów. Ich atak w 1655 r. zastał kraj podzielony głębokim kryzysem wewnętrznym wywołanym w znacznej mierze przez nieudolną politykę króla. W rezultacie w pierwszym okresie wojny większość społeczeństwa szlacheckiego zdecydowała się na ugodę z najeźdźcami i wypowiedzenie posłuszeństwa Janowi Kazimierzowi (1655). Dopiero zbójeckie i rabunkowe działania Szwedów w kraju doprowadziły do zmiany nastrojów społecznych. Także król zmobilizował się do odważnych i przemyślanych działań, wzniecając wojnę partyzancką w całym kraju i nadając konfliktowi charakter wojny w obronie zagrożonego przez protestanckich agresorów katolicyzmu.

Okres szwedzkiego potopu był zapewne szczytowym okresem monarszej działalności. W niezwykle trudnej sytuacji, w obliczu odradzającego się wciąż zagrożenia kozackiego, okupacji znacznych połaci kraju przez Moskwę i Szwecję, ponawiających się tendencji odśrodkowych i aktywizacji nowych wrogów (najazd siedmiogrodzki w 1657 r.) Jan Kazimierz potrafił się wykazać odwagą, determinacją i zręczną polityką, neutralizując czasowo Moskwę obietnicą wyboru cara na tron polski (pokój w Niemieży, 1656) a Kozaków – poprzez zawarcie unii hadziackiej (1658). Siedmiogrodzian udało się pokonać na polu bitew, a siły szwedzkie osłabić poprzez włączenie się do szerszej koalicji z udziałem cesarstwa i Danii. W 1660 r. został zawarty pokój ze Szwecją w Oliwie, który uwalniał Rzeczpospolitą od szwedzkich wojsk, a w kolejnych latach (1661–1663) odzyskano znaczną część ziem okupowanych uprzednio przez Moskwę.

Zabójcze vivente rege

Jan Kazimierz odbudował w ten sposób swoją pozycję w kraju i przystąpił do realizacji programu zmian ustrojowych, który początkowo był obliczony na

eprasa.pl 0aa789525f



Jan II Kazimierz oddał 1 kwietnia 1656 r. we Lwowie Rzeczpospolitą pod opiekę Matki Bożej. Wpływu tego aktu zawierzenia na dzieje Polaków nie sposób przecenić, co wskazał choćby Jan Matejko, malując obraz w 1893 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

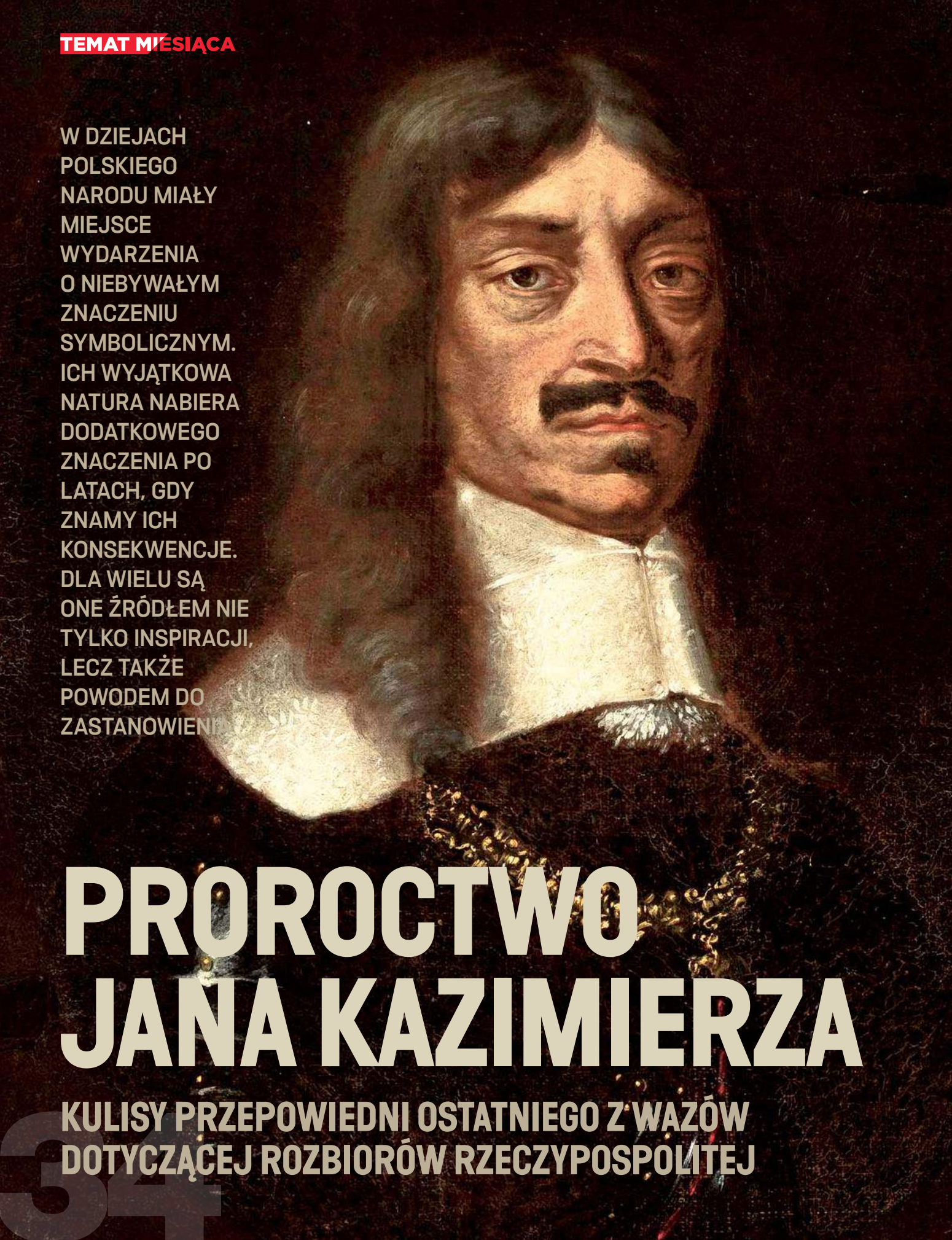
usprawnienie działania sejmu poprzez wyeliminowanie liberum veto i reformę wolnej elekcji. Niestety logikę reform wewnętrznych zarzucono szybko na rzecz wpisania się w strukturę europejskiego konfliktu politycznego między Francją Burbonów a Habsburgami austriackimi. Z ambitnego planu „poprawy Rzeczypospolitej" pozostał jedynie projekt elekcji „vivente rege" francuskiego kandydata do tronu. Na skutek tego łatwo było zmobilizować większość społeczeństwa szlacheckiego do oporu wobec planów króla. Doszło do rokoszu Lubomirskiego (1665–1666), w trakcie którego wojska królewskie dwukrotnie poniosły dotkliwe porażki, ale zachowały zdolność do stawiania oporu. W efekcie rokosz zakończył się porażką obu stron. Lubomirski ukorzył się przed królem, ale Jan Kazimierz zrezygnował z planów elekcji „vivente rege". Rychło potem zrezygnował także z tronu (1668), stając się jedynym polskim królem, który dokonał aktu dobrowolnej abdykacji (abdykację Stanisława Augusta Poniatowskiego trudno bowiem nazwać dobrowolną). Ostatnie lata życia spędził we Francji jako opat klasztoru Saint Germain des Pres. Zmarł w 1672 r.

A jednak podobni

Choć Władysław odznaczył się licznymi sukcesami, a okres jego panowania jest uznawany za epokę wielkości w dziejach Rzeczypospolitej, królowanie Jana Kazimierza zaś było prawie nieprzerwanym pasmem klęsk, to w istocie trudno orzec, który z braci bardziej zasłużył się dla Rzeczypospolitej. Władysławowi przypadło korzystać z efektów stabilizacyjnych długiego panowania Zygmunta III. Roztrwonił jednak ten zapas i pozostawił kraj następcy w stanie całkowitego rozkładu. Jan Kazimierz nie wykazał się specjalnymi zdolnościami, ale przyznać trzeba, że postawiono przed nim zadania przerastające zapewne każdego władcę tej epoki. Konflikt z Kozakami „odziedziczył", najazdy Szwedów i Moskwy wynikały przede wszystkim z agresywnego charakteru tych państw. W sumie trzeba powiedzieć, że stawił czoła tym wyzwaniom i wyprowadził Rzeczpospolitą z najgłębszego kryzysu w jej dotychczasowej historii.

Historycy ulegają często pokusie tworzenia portretów psychologicznych historycznych postaci. W istocie mamy jednak bardzo mało danych, by odważyć się na jakieś konkretne diagnozy. Na charakter obu monarchów na pewno wielki wpływ miało długie oczekiwanie na objęcie tronu. Władysławowi przydarzyło się to w wieku 37, Janowi Kazimierzowi zaś w wieku 39 lat. W XVII stuleciu był to już wiek zaawansowany, a w każdym razie odległy od młodości. Pamiętajmy, że w elekcyjnej Rzeczypospolitej nie istniała instytucja następcy tronu, a synowie królewscy nie mieli tytułu do uczestnictwa w życiu publicznym. Musiało to powodować nagromadzenie się ambicji, które długo nie znajdowały ujścia. Bracia byli też do siebie podobni w sferze aktywności erotycznej. Obaj późno zawarli związki małżeńskie (odpowiednio w wieku 42 i 40 lat) i prowadzili bardzo intensywne oraz nieuporządkowane życie intymne, co doprowadziło obu do chorób wenerycznych. Potrafili okazać wielkoduszność, a jednocześnie zdarzały im się zachowania małostkowe i mściwe. Najprawdopodobniej nie lubili się wzajemnie. Zachowały się świadectwa o złośliwościach młodziutkiego Jana Kazimierza pod adresem brata po wyprawie na Moskwę podjętej w 1617 r. „Wolałbym nie wrócić, niż wracać z takim wstydem" – miał wówczas powiedzieć. Władysław zapewne to bratu zapamiętał i będąc królem, traktował go jak uciążliwy bagaż. Raczej nie dopuszczał do siebie myśli, że Jan Kazimierz może być jego następcą. Los zrządził jednak inaczej. Dwaj bracia kolejno rządzili Rzecząpospolitą – pierwszy od wzlotu do upadku; drugi w chronicznym kryzysie. Władysław odszedł w atmosferze żalu i przerażenia przyszłością, Jan Kazimierz – zniechęcenia i rozczarowania. Obaj powinni mieć poczucie klęski.

eprasa.pl 0aa789525f



W DZIEJACH POLSKIEGO NARODU MIAŁY MIEJSCE WYDARZENIA O NIEBYWAŁYM ZNACZENIU SYMBOLICZNYM. ICH WYJĄTKOWA NATURA NABIERA DODATKOWEGO ZNACZENIA PO LATACH, GDY ZNAMY ICH KONSEKWENCJE. DLA WIELU SĄ ONE ŹRÓDŁEM NIE TYLKO INSPIRACJI, LECZ TAKŻE POWODEM DO ZASTANOWIENIA

PROROCTWO JANA KAZIMIERZA

KULISY PRZEPOWIEDNI OSTATNIEGO Z WAZÓW DOTYCZĄCEJ ROZBIORÓW RZECZYPOSPOLITEJ



BARTOSZ STARĘGOWSKI

Takim wydarzeniem była przepowiednia Jana Kazimierza, stanowiąca część mowy wygłoszonej podczas sejmu walnego obradującego od 2 do 17 lipca 1661 r. Wówczas ostatni z Wazów w zaskakująco trafny sposób przewidział scenariusz, który urzeczywistni się dopiero 111 lat później. Silny przekaz zawarty we wspomnianym wystąpieniu wywołał głębokie poruszenie wśród zebranej szlachty, jednak – jak pokaże przebieg wydarzeń – nie wywarł na tyle dużego wpływu, by zgodzono się przeprowadzić gruntowne reformy. Prześledźmy zatem wydarzenia, które odbyły się przed samym sejmem, w jego trakcie, jak również po jego zakończeniu.

Sytuacja Rzeczypospolitej przed sejmem 1661 r.

Sejm w tym roku został zwołany po trwających 12 lat konfliktach, które trapiły Rzeczpospolitą. Krwawa wojna domowa z Kozakami, najazdy Tatarów, wojna z Rosją, a następnie szwedzka inwazja doprowadziły do niepowetowanych zniszczeń gospodarczych oraz ogromnych strat społecznych, politycznych i kulturowych. Liczba ludności znacząco się zmniejszyła, wiele folwarków szlacheckich zostało zdewastowanych w wyniku działań okupantów i grabieżczych działań różnych armii; dodatkowo nałożył się na to kryzys monetarny związany z psuciem monety, o który oskarżono dzierżawcę mennic królewskich, Włocha Tytusa Liwiusza Burattiniego. Sytuację pogarszała niemożność spłacenia wobec wojska długu, nie tylko z okresu walk ze Szwedami, lecz jeszcze z czasu rebelii na Ukrainie. Sejm miał podjąć postanowienia w sprawie reform i zmiany tego stanu rzeczy.

W grudniu i styczniu król rozesłał uniwersały wzywające szlachtę na sejmiki ziemskie. W legacji do sejmików wspomniał również o sytuacji politycznej i swoich zamiarach elekcji vivente rege, która w jego mniemaniu uspokoiłaby kraj przed burzliwym przebiegiem kolejnej elekcji i niepokojami podczas bezkrólewia. Jako pozytywny przykład podał elekcję swojego brata Władysława, która miała bardzo spokojny przebieg. Zauważył, że rozrastające się problemy wewnętrzne powodowały chaos nie tylko w samym kraju, ale były też na rękę państwom ościennym, które chciały powiększyć swój stan posiadania kosztem państwa polskiego „... i bez pochyby na tę samą tylko interregni nawalność oczekiwaną". Obrady sejmików odbyły się w marcu, za wyjątkiem sejmików generalnych mazowieckiego i pruskiego, które zebrały się w kwietniu. W instrukcjach sejmikowych danych posłom znalazło się wiele postulatów, które dotyczyły głownie spłaty długów wobec wojska i uregulowania stosunków z państwami, z którymi jeszcze niedawno Rzeczpospolita była w stanie konfliktu. Żaden postulat nie dotyczył planów elekcji zaproponowanej przez króla.

MONARCHA POSTANOWIŁ POSTAWIĆ WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTĘ I PODJĄŁ PRÓBĘ PRZEMÓWIENIA DO OBU IZB

Przebieg obrad sejmu

Sejm rozpoczął swoje posiedzenia 2 maja mszą wotywną do Ducha Świętego. Homilię wygłosił jezuita Seweryn Karwat. Zawarł w niej zarówno pochwałę władzy królewskiej oraz pomysłów reform Jana Kazimierza, jak i wskazanie na niebezpieczeństwo elekcji vivente rege dla polskiej racji stanu. Ostatecznie jednak kazanie miało wydźwięk przychylny wobec niej, jednak nie miało wpływu na nastroje szlacheckie. Następnie zgodnie z tradycją obrad wybrano marszałka oraz dokonano rugów poselskich, podczas których doszło do awantury. Jej przyczyną była chęć wykluczenia z obrad Bogusława Radziwiłła za jego antypolską działalność w okresie inwazji szwedzkiej oraz za wysługiwanie się obcym mocarstwom. Ostatecznie jednak część posłów przyjęła stanowisko, aby nie pozbawiać go mandatu i pozwolić mu wziąć udział w obradach. Bogusław Radziwiłł został na sejmie.

Pierwsza część, w której obradowały stany połączone, przebiegała dość spokojnie (oczywiście jak na warunki polskiego sejmu). Senatorowie wygłosili swoje wota (mowy), rozdano wakanse (wakujące urzędy, królewszczyzny, przywileje) i nie stwierdzono większych awantur. Wśród senatorów można było wymienić zarówno zwolenników (kanclerz wielki koronny Mikołaj Prażmowski, wojewoda poznański Jan Leszczyński, Jan Franciszek Lubowiecki), przeciwników elekcji vivente rege (biskup chełmiński Andrzej Olszowski), jak i osoby, które ustosunkowały się do niej neutralnie (Hieronim Wierzbowski, Andrzej Grudziński).

Druga część, czyli sesje obrad rozłączonych, wyglądały już nieco inaczej. W izbie poselskiej poruszano głównie sprawy gospodarcze i wojskowe. Dużo emocji wzbudziła sprawa braci polskich, czyli antytrynitarzy, których oskarżano o współpracę ze Szwedami i domagano się ich ukarania. Projekt ewentualnej elekcji vivente rege nie był dyskutowany i włączony do innych projektów izby poselskiej. Sam pomysł wywołał różne reakcje, zarówno te skrajnie negatywne, jak i pozytywne. W pewnym momencie wśród części posłów można było zauważyć niezadowolenie z polityki królewskiej. Królowi zarzucano łamanie wolności szlacheckich, nakładanie nowych podatków bez zgody szlachty, naruszanie autorytetu Trybunału Koronnego i próby desygnowania nowego władcy. Ponadto oskarżano go o wprowadzanie mody francuskiej i osób obcego pochodzenia w swoje otoczenie. W ich mniemaniu te dążenia prowadziły do zrujnowania wolności szlacheckich. Sytuację nieco rozładował marszałek poselski, proponując dalsze dyskusje w sesjach prowincjonalnych. Jedynie Litwini otwarcie poparli pomysł, stanowisko województw Korony było niepewne. Do rozwiązania najbardziej palących problemów i do ułożenia projektu konstytucji powołano 13 komisji sejmowych. Podczas obrad senatu z królem, które miały spokojniejszy przebieg, bardziej wyczerpująco poruszono sprawy reform państwowych, a przede wszystkim planowany przez króla pomysł elekcji vivente rege. Król 3 czerwca wygłosił mowę, która nie była jeszcze tą właściwą, ale była jej pierwotną wersją i wywarła znaczny »

FOT. KRZYSZTOF WILCZYŃSKI/ MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 0aa789525f

Proroctwo Jana Kazimierza, wersja 1	Proroctwo Jana Kazimierza, wersja 2
„...Moskwa i Ruś odwołają się do ludów jednego z niemi języka i Litwę do siebie przeznaczą: granice wielkopolski staną otworem dla Brandenburczyka, a przypuszczać należy, że o całe Prusy certować zechce..., wreszcie Dom Austryjacki spoglądający łakomie na Kraków nie opuści dogodnej dla siebie sposobności i przy powszechnym rozrywaniu państwa nie wstrzyma się od zaboru..."	„...Moskal y Rus przy swem języka krajach opowiedzą się i Wielkie Księstwo Litewskie sobie destinabunt. Brandenburczyk... pogranicze wielgopolskie i o Prusy ze Szwedami albo się zgodzi albo naszym teatrum sigla diabitur. Dom Rakuski choćby miał największe intentie przy takiej szarpaninie od Krakowa sobie... abderit bo każdy będzie wolał mieć część Polski armis quisitam niż z całą dawnemi wolnościami..."
Źródło: M. Markiewicz, „Historia Polski 1492–1795", wyd. 2, Kraków 2009, s. 546.	*Źródło: Archiwum Główne Akt Dawnych, Archiwum Radziwiłłów, Księga II, sygn. 20, s. 553–554.*

» wpływ na senatorów. Większość zgodziła się z zaproponowanymi przez króla pomysłami.

9 czerwca rozpoczął się trzeci etap obrad sejmu, czyli połączenie obu izb, by mogły wypracować wspólną konkluzję. Podczas niego podjęto próbę debaty na temat elekcji, jednak ostatecznie zeszła ona na plan dalszy wobec kwestii religijnych (sprawa braci polskich i awantura z Bogusławem Radziwiłłem, w wyniku której opuścił on obrady), finansowych (sąd nad Tytusem Burattinim, dzierżawcą mennicy) oraz sporów pomiędzy magnatami a szlachtą. Plany królewskiej polityki elekcyjnej paraliżował dodatkowo także ambasador Franciszek Paweł Lisola, będący ekspozyturą interesów habsburskich w Rzeczypospolitej. W sytuacji przedłużania się obrad, braku konkretnych terminów jego zakończenia i co najgorsze braku przedłożenia sprawy reform królewskich, monarcha postanowił postawić wszystko na jedną szalę i podjął próbę przemówienia do obu izb.

Mowa Jana Kazimierza 4 lipca

W trakcie trwającego trzeciego etapu obrad sejmu odbyło się kilka sesji tajnych, na których zdecydowano, że mowa w sprawie elekcji króla do obu izb ma nastąpić 4 lipca i do samego końca ma pozostać w utajnieniu. Wprowadzono nawet w tym celu odpowiednie środki zaradcze. Z senatu usunięto arbitrów pochodzących z państw ościennych, a wszystkich posłów wyproszono. Następnie wzywano ich imiennie, by wykluczyć przypadki niepowołanego dostania się do środka. Treść mowy miała przede wszystkim wyjaśnić zamiary i okoliczności elekcji za życia króla. Monarcha miał świadomość, że owa wiadomość może wywołać konsternację wśród szlachty i „...podziwienie jakie pobudziła w waszmościach...". Tłumaczył to jednak tym, że decyzja nie jest nieprzemyślana i zapadła w 1655 r. „...zaraz po śmierci ostatniego brata mego..." Karola Ferdynanda. Jako ostatni z rodu, a zarazem osoba, która nie doczekała się potomka, chciał poprzez elekcję vivente rege zabezpieczyć Rzeczpospolitą przed niebezpieczeństwem kolejnego bezkrólewia. Odwoływał się też do swoich przodków Jagiellonów i casusu Zygmunta Augusta, który został królem za życia swojego ojca. Deklarował: „...z mojej strony... obiecuję nie mieszać się w tę elekcję, zostawić waszmościom liberrime electionis...". Dodał, że ostatnie lata pokazały, iż Rzeczpospolita ma bardzo potężnych wrogów, którzy tylko czekają na jej potknięcia.

W pewnym momencie swojego przemówienia Jan Kazimierz wygłosił zaskakująco trafną przepowiednię dotyczącą rozbiorów Rzeczypospolitej, które rozpoczną się 111 lat później. Jej treść podana jest w okienku powyżej.

Choć obie wersje nieco różnią się od siebie, ich wymowa pozostaje taka sama, podobnie jak wskazanie przyszłych zaborców. W dalszej części mowy król przedstawiał swoje warunki dla kandydata, który musiał być katolikiem, wywodzić się z jednej z panujących dynastii, nie być niczyim wasalem ani nowo mianowanym księciem i, co najważniejsze, młodszym od samego Jana Kazimierza. Nawiązywał też do dawnych czasów, kiedy nie było tyle negatywnych cech w społeczeństwie szlacheckim, wojsku nie groziły konfederacje, a państwu rosnący w siłę sąsiedzi. Na sam koniec zaapelował do szlachty, by zmieniła swój stosunek do tradycji, nie tkwiła w niewoli własnych zgubnych przyzwyczajeń i nie odkładała elekcji.

Echo wystąpienia królewskiego i zakończenie obrad sejmu

Sama mowa króla zrobiła wielkie wrażenie na wszystkich biorących udział w obradach. Nastała wręcz „chwila dłuższego milczenia". Wykorzystując moment, marszałek sejmu chciał odczytać projekt konstytucji, jednak nie udały mu się te zamiary. Jak się okazało, przemówienie, choć wywarło spore wrażenie na zebranych, ostatecznie nie wpłynęło na ich postawy. Szlachta zorientowała się, że przedstawiony projekt oraz warunki królewskie sprzyjają jednemu z ewentualnych kandydatów, a mianowicie Francuzowi. Strona opozycyjna wobec króla natychmiast przeszła do ataku, kontestując całkowicie pomysł elekcji. Kolejne dni obrad nie przyniosły rozstrzygnięcia, a nawet pogłębiły nieprzychylne nastroje wobec pomysłu królewskiego. Po jego stronie stali jedynie posłowie litewscy. Pomimo licznie ponawianych przez króla i przychylnej mu części środowiska szlacheckiego prób przekonywania opozycja pozostawała niewzruszona. Problem elekcji ostatecznie upadł, a izby zajęły się innymi palącymi sprawami, jak zapłata wojsku, które po raz kolejny groziło konfederacją. W końcu sejm zakończył swoją działalność, po czym spisano konstytucję. Nie znalazła się w niej sprawa elekcji.

Następstwa pamiętnego sejmu

Pomimo odrzucenia pomysłu elekcji vivente rege dwór nie zrezygnował z niego całkowicie. W późniejszych latach problem ten powracał, co rzutowało na wiele niekorzystnych wydarzeń. Sejm nie rozwiązał najważniejszych problemów, również w kwestii zapłaty wojska. Jeszcze w trakcie obrad sejmu wojsko zawiązało kolejną konfederację, pod laską marszałka Samuela Świderskiego trwającą dwa lata, a w 1665 r. przyłączyło się do rokoszu Lubomirskiego. Sama mowa, zawierając trafne diagnozy i słynną przepowiednię, choć mogła wywrzeć silne pierwsze wrażenie, nie zmieniła postaw szlacheckich. Kryzys w państwie nie tylko nie został zażegnany, ale się pogłębił, co w efekcie poskutkowało, mającą dramatyczny przebieg wojną domową. Ostatecznie projekt elekcji vivente rege przepadł, natomiast smutne przywidywania Jana Kazimierza spełniły się wiek później.

eprasa.pl 0aa789525f

NA BOŻĄ I KRÓLEWSKĄ CHWAŁĘ

PO WYSTAWIE „RZĄDZIĆ I OLŚNIEWAĆ. KLEJNOTY I JUBILERSTWO W POLSCE W XVI I XVII w.”



JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Dziesiątki wojen, przemarszów obcych wojsk, grabieżczych najazdów i zaborów, wreszcie dramatycznych powstań narodowych nie pozwoliły na ciągłość trwania polskiej substancji zabytkowej. Imponująca prezentacja uratowanych i przez wieki zachowanych drogocennych skarbów polskiego złotnictwa i jubilerstwa pokazana w komnatach Zamku Królewskiego w Warszawie wzbudziła więc ogromne zainteresowanie. Tłumy zwiedzających wystawę pt. „Rządzić i olśniewać. Klejnoty i jubilerstwo w Polsce w XVI i XVII w.” podziwiały królewskie klejnoty, cudem uratowane i przechowane kościelne skarby sakralne oraz drogocenne świętości, które nigdy nie opuszczały klasztornych skarbców.



Korona z monstrancji z Jasnej Góry, 1672 r.

FOT. MAT. PRASOWE Z WYSTAWY „RZĄDZIĆ I OLŚNIEWAĆ”

BEZ SKRUPUŁÓW GRABIONO WSZELKIE POLSKIE RUCHOME DZIEŁA SZTUKI, PALONO I NISZCZONO ZAMKI, PAŁACE, DWORY, WYSADZANO W POWIETRZE KOŚCIOŁY I KLASZTORY

Cenne inwentarze

„Ma wielkie upodobanie do klejnotów i pewnego dnia pokazywał mi je potajemnie. Ma w swojej komnacie stół od ściany do ściany, na którym stoi szesnaście szkatułek długich na dwie dłonie i szerokich na półtora wypełnionych ››

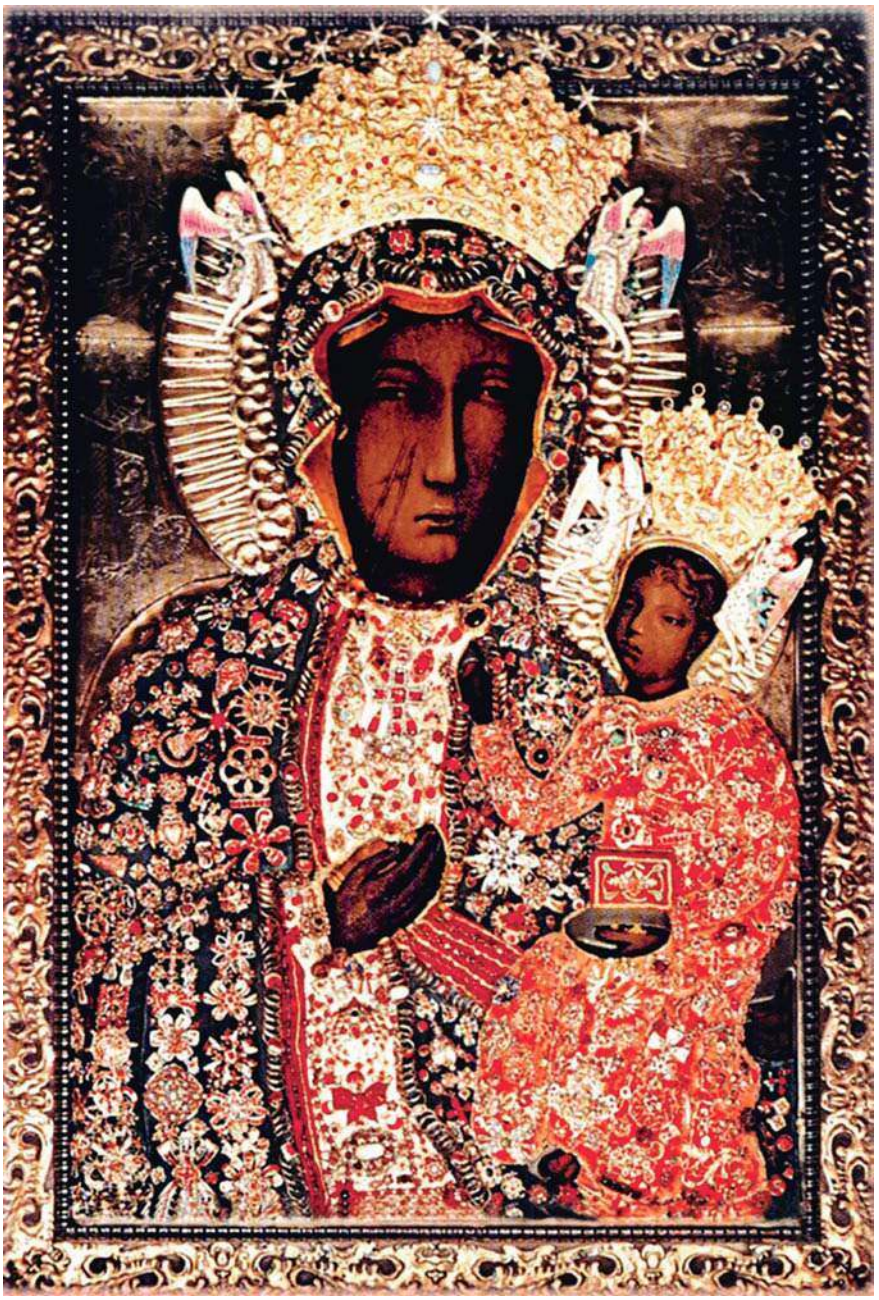
» klejnotami" – pisał w liście do Watykanu w listopadzie 1560 roku nuncjusz papieski Bernardo Bongiovanni, donosząc o swojej wizycie w prywatnych komnatach króla Zygmunta Augusta w zamku w Wilnie.

„Cztery z nich – czytamy dalej – wartości po 200 tysięcy skudów są po matce i z Neapolu zostały odesłane. Cztery inne kupił sam król za 550 tysięcy złotych skudów, wśród nich znajduje się m.in. spinel Karola V, wart 80 tysięcy złotych skudów oraz jego medal (zawieszenie) diamentowy wielkości »Agnus Dei«, mający z jednej strony Orła z herbem Hiszpanii z drugiej dwie kolumny z napisem: »Plus Ultra« (dewiza Karola V), ponadto wiele rubinów i szmaragdów o szlifie kwadratowym (płaskim) i ostrym (piramidalnym). Osiem dalszych szkatułek było starszych, pomiędzy nimi, w czapce pełnej szmaragdów, rubinów i diamentów były monety o wartości 300 tysięcy złotych skudów. W sumie widziałem tyle klejnotów, których nie spodziewałem się znaleźć w jednym miejscu, a z którymi weneckie (jakie też widziałem) i papieskie nie mogą się równać".

Korespondencja watykańskiego hierarchy nie tylko zdumiewa skrupulatnością opisu królewskich klejnotów i świetną znajomością ich materialnej wartości, lecz także pozwala nam dziś ocenić prywatny skarbiec, jakim dysponował polski monarcha. Również nielicznie zachowane inwentarze królewskich skarbców przynosiły dość dokładne opisy przechowywanych tam precjozów i złotych monet. Bardzo interesujący jest spis przedmiotów wywiezionych przez królową Bonę z Polski do Italii w lutym 1556 roku. Rok później Bonę otruto na zamku w Bari, a jej testament sfałszowano, spadkobiercą skarbu czyniąc króla Hiszpanii Filipa II. Na skutek zabiegów dyplomatycznych spadek powrócił do prawowitego dziedzica, króla Zygmunta Augusta. Najwartościowszą częścią owego cennego spadku oprócz sztabek złota i złotych monet były właśnie misternej roboty precjoza i klejnoty wiernie opisane w inwentarzu.

Klejnoty Jagiellonów, donacje Wazów

Na zamkowej wystawie, prezentowanym w wysokich, prostokątnych, szklanych gablotach drogocennym precjozom towarzyszyły portrety ich właścicieli, a czasem fundatorów. Wśród drobnych kosztowności można było dostrzec kameę z portretem Barbary Radziwiłłówny z roku 1505, kameę z wizerunkiem króla Zygmunta Augusta oraz intaglio z wizerunkiem królowej Bony Sforzy. To dzieła włoskiego złotnika Giana Jacopa Cavaglio (1520–1572). Namalowany po roku 1586 przez Marcina Kobera (1550–1598) znany portret Anny Jagiellonki pozwolił zaobserwować sposób noszenia klejnotów w epoce jagiellońskiej. Królowa ubrana jest na nim w czarną suknię, na tle której wyraźnie rysuje się złoty łańcuch z ozdobnym krzyżem oraz

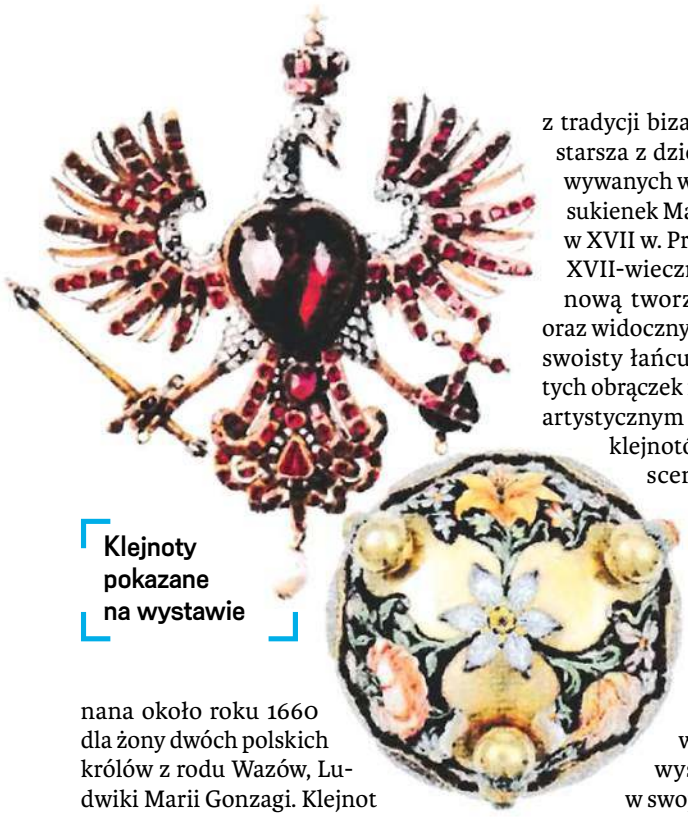


FOT. MAT. PRASOWE Z WYSTAWY „RZADZIĆ I OLŚNIEWAĆ"

Matka Boska Jasnogórska w rubinowej sukience

medalion z przedstawieniem św. Anny Samotrzeć. Taka sama koncepcja przyświecała twórcom wystawy przy eksponowaniu w kolejnych salach wizerunków Stefana Batorego, Zygmunta III Wazy, Władysława IV i Jana Kazimierza, których szaty bogato zdobiono biżuterią, a towarzyszyły im także atrybuty królewskiej władzy. Zwraca uwagę pokazana w osobnej szklanej gablocie przepiękna brosza w formie polskiego orła, wyko-

eprasa.pl 0aa789525f



Klejnoty pokazane na wystawie

nana około roku 1660 dla żony dwóch polskich królów z rodu Wazów, Ludwiki Marii Gonzagi. Klejnot ten odnotowany był w zbiorach Francji wśród kosztowności, które po abdykacji zabrał ze sobą Jan Kazimierz.

Można było również obejrzeć rzadko pokazywane wspaniałe wytwory rzemiosła artystycznego przeznaczone dla kościołów, kaplic, klasztorów. Widzieliśmy tam datowane na rok 1600 tzw. sztuczki z korony Matki Boskiej z Dzieciątkiem z kaplicy Loretańskiej kościoła Mariackiego w Krakowie, a także drogocenne skarby odkryte w 2018 r. w Bydgoszczy pod posadzką katedry pw. św. Marcina i Mikołaja.

Była też imponująca monstrancja z roku 1668 z kościoła OO. Dominikanów w Podkamieniu. Jej bogatą dekorację zdominowała kwiatowa ornamentyka z kokardami i wtopionymi w nią postaciami patronów zakonu.

Sukienki Matki Boskiej Częstochowskiej

Na najbardziej znanym wizerunku Czarnej Madonny z Jasnej Góry ozdobne sukienki, składające się z drogocennych klejnotów i drobnych złotych oraz srebrnych jubilerskich wytworów, przykrywają Jej malowany płaszcz, suknie i maforion (welon sięgający od głowy po stopy Maryi). Odsłonięte są natomiast Jej głowa i prawa ręka oraz główka maleńkiego Jezusa. Zwyczaj przyozdabiania świętego wizerunku klejnotami i cennymi wotami pochodzi z tradycji bizantyjskiej, natomiast najstarsza z dziesięciu obecnie przechowywanych w Jasnogórskim klasztorze sukienek Madonny wykonana została w XVII w. Prezentowaną na wystawie XVII-wieczną sukienkę zwaną rubinową tworzy zespół 819 klejnotów oraz widoczny na krawędziach płaszcza swoisty łańcuch z naszytych 203 złotych obrączek i 32 pierścieni. O kunszcie artystycznym twórców świadczą grupy klejnotów układające się w różne sceny figuralne. Uzupełnia je o sto lat późniejszy krzyż pektoralny, dość widoczny wśród bogactwa sukienki. Równie bogato i efektownie prezentuje się sukienka diamentowa. Wykonana także w XVII w., w związku z zamkową wystawą po raz pierwszy w swojej historii opuściła klasztor Jasnogórski i została udostępniona szerokiej publiczności. Niezmierny podziw budziła ponad metrowej wysokości monstrancja, na konstrukcję której użyto 22 funty złota oraz 2366 brylantów, 2238 rubinów, 81 szmaragdów, 30 szafirów i 214 pereł. To wspaniałe dzieło sakralnego złotnictwa powstało w roku 1672 w pracowni warszawskiego złotnika Wacława Grodki. Zwane jest monstrancją o. Augustyna Kordeckiego, gdyż powstało jako wotum wdzięczności za ocalenie Jasnej Góry w czasie najazdu szwedzkiego na Polskę.

Fragment monstrancji z 1672 r.



Polskie regalia

„Dużą część obiektów – mówił na otwarciu wystawy dyrektor Zamku Królewskiego prof. dr hab. Wojciech Fałkowski – stanowią przedmioty liturgiczne, które są pokazywane podczas obrządków religijnych, ale nigdy nie można przyjrzeć się im z bliska i dokładnie. W przestrzeni zamkowej nabierają nieco innego znaczenia, ponieważ zostały pokazane jako piękne i drogie przedmioty. Jednocześnie widzimy w nich instrumenty władzy i majestatu króla, gdyż pozwalały demonstrować potęgę i bogactwo oraz pochwalić się sprawowaniem kosztownego mecenatu. Chcemy, by wystawa umożliwiła odpowiedź na pytanie, czy w XVI i XVII w. istniał polski styl jubilerski, który charakteryzował klejnoty wytwarzane na terenach Rzeczypospolitej”.

Przechowywane w Skarbcu Koronnym na Wawelu insygnia były wielokrotnie wywożone i ukrywane przed wrogimi wojskami. Podczas ostatniego spisu znajdujących się tam obiektów, dokonanego w roku 1792, odnotowano m.in. kilka królewskich koron (choćby koronę Chrobrego), berła i jabłka królewskie, miecze ceremonialne oraz regalia Augusta II i Augusta III Sasa, także insygnia królewskie Stanisława Augusta Poniatowskiego. Trzy lata później, po zajęciu Wawelu przez wojska pruskie, w nocy z 3 na 4 października 1795 r. na rozkaz króla Prus Fryderyka Wilhelma II włamano się do Skarbca Koronnego i znajdujące się tam drogocenne precjoza wywieziono do Berlina. Zbankrutowany kolejny król Prus Fryderyk Wilhelm III w roku 1809 rozkazał skradzione polskie złote regalia przetopić na monety, a szlachetne kamienie sprzedać. Tak więc koronę polskich królów znamy dziś tylko z przekazów ikonograficznych powstałych już w czasach stanisławowskich.

Wystawa „Rządzić i olśniewać”, która zgromadziła blisko 500 wspaniałych eksponatów wypożyczonych z licznych muzeów, skarbców i świątyń w Polsce oraz na Litwie, była pierwszą w historii polskiego muzealnictwa prezentacją poświęconą ocalałym zabytkom polskiego jubilerstwa i złotnictwa XVI i XVII w.


1.


2.

WAZOWIE WRÓCILI

ROK WAZOWSKI NA ZAMKU KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE

RÓWNO 400 LAT TEMU ZAKOŃCZYŁA SIĘ BUDOWA NOWEGO ZAMKU W WARSZAWIE



WOJCIECH FAŁKOWSKI

dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie

W końcu XVI w. król Zygmunt III Waza podjął decyzję o przeniesieniu swojej głównej rezydencji z Krakowa do Warszawy. Realizacja tego zamierzenia zajęła ponad 20 lat i na początku 1619 r. gmach był na tyle gotowy, że można było triumfalnie ogłosić koniec inwestycji. Na wysokiej skarpie wiślanej w stosunkowo krótkim czasie powstał duży kompleks pałacowy, który potwierdzał wielkie aspiracje dynastii i potęgę Rzeczypospolitej. Wraz z przeprowadzką króla i dworu przenosiło się także centrum administracyjne i polityczne, które zyskiwało okazałą siedzibę i lepszy kontakt z obszarem wokół Bałtyku, tak drogim sercu władcy. Odtąd ambitne plany dynastyczne były omawiane w gmachu zbudowanym i wyposażonym zgodnie z gustami nowego rodu królewskiego, który od niedawna rządził Polską.

Nowe miasto

Stąd było bliżej do macierzystej Szwecji, łatwiej było śledzić przebieg wydarzeń na pograniczu wschodnim, w Moskwie, Nowogrodzie i Pskowie, szybciej dochodziły wieści z Gdańska i Prus, które pozostawały bramą do kontaktów z całą zachodnią Europą. Jednocześnie wokół tętniło życie, Warszawa stawała się niekwestionowaną metropolią i punktem spotkań zarówno arystokracji, jak i braci szlacheckiej zjeżdżającej ze wszystkich stron na sejmy, audiencje i posłuchania. Wyjazdy do „pańskiej klamki", żeby zdobyć dzierżawę dóbr lub posadę dla syna na magnackim dworze, szły w parze z długimi pobytami na sejmikach i tłumnym uczestnictwem w posiedzeniach sejmu walnego.

Osobną atrakcją było samo miasto, które imponowało rozmachem, gwarną gawiedzią na ulicach i wszędzie widocznym przepychem. Christian Melich w 1625 r., niedługo po przenosinach dworu, malował Warszawę z drugiego brzegu Wisły, ze strony praskiej, pokazując panoramę dachów i wież szybko rozbudowującej się metropolii. W rzędzie budynków na skarpie centralnym punktem był zamek. Obecnie można porównać tę panoramę z inną, namalo-

eprasa.pl 0aa789525f





Fragmenty „Rolki sztokholmskiej”
1. Husarz z godłem Polski na tarczy oraz chorąży koronny Sebastian Sobieski z chorągwią Rzeczypospolitej
2. Królewska chorągiew husarska, na czele dobosz i sześciu trębaczy
3. Zagraniczni dostojnicy
4. Poselstwo szacha perskiego oraz ośmiu jeźdźców austriackich

waną 150 lat później przez królewskiego malarza nadwornego Bernarda Bellotta, który stanął niemal w tym samym miejscu i przedstawił Warszawę u schyłku XVIII w. Miasto bardzo się zmieniło, rozrosło, dojrzało, nabrało charakteru stolicy na miarę europejską, ale zamek z białą fasadą nadal jaśniał pośrodku tak, jak go posadowił król Zygmunt III.

Nowa dynastia

Ród Wazów nie pozostawał na polskim tronie równie długo, jak dwie inne dynastie wcześniej rządzące królestwem. Tylko nieco ponad 80 lat trwało panowanie trzech władców, którzy wywodzili się ze Szwecji, niemniej już po kilku dekadach byli uważani za Jagiellonów, w takim samym znaczeniu określenia, jak brać szlachecka zwykła nazywać niektórych królów elekcyjnych Piastami. Bardzo szybko stali się bliscy i swojscy, od razu przyjęli punkt widzenia nowych poddanych i weszli w świat Rzeczypospolitej, którą natychmiast potraktowali jak dom i pewne oparcie. W ten oto sposób panowanie Zygmunta III i jego synów Władysława IV oraz Jana Kazimierza nie było tylko epizodem w długich dziejach polskiej monarchii, ale stało się znaczącym okresem całej epoki nowożytnej. Polska musiała wtedy sprostać wielu niezwykłym wyzwaniom cywilizacyjnym i politycznym, licznym przemianom społecznym na dużą skalę i zagrożeniom militarnym z niemal wszystkich kierunków. Rzadko się bowiem zdarza, by władcy musieli stawiać czoła tak trudnym próbom, tak ciężkim sprawdzianom ich charakteru, zdolności i przywództwa w czasie całego panowania. Egzamin był niezwykle wymagający i Wazowie musieli go zdawać wielokrotnie z różnym powodzeniem i nie zawsze z dobrym skutkiem dla państwa i poddanych.

Film dokumentalny z epoki

W dniu 4 grudnia 1605 r. w Krakowie odbył się uroczysty wjazd ślubny króla Zygmunta III Wazy i arcyksiężniczki Konstancji Habsburżanki, która kilka dni wcześniej przybyła do Balic. Ponieważ orszak panny młodej spóźnił się nieco, wejście do miasta odbyło się już po południu, przy pochodniach i świecach. Zapewne wjazd nie był tak efektowny i nie zrobił oczekiwanego wrażenia. Dlatego po dwóch dniach ponowiono ceremonię w pobliżu murów. Jednak nawet ta druga defilada nie zadowoliła władcy, który kolejną decyzją polecił przygotować »

Chrystian Melich, Panorama Warszawy, Warszawa, ok. 1625 r., olej na płótnie, Stara Pinakoteka w Monachium



FOT. MAT. PRASOWE ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

eprasa.pl 0aa789525f


5.


6.

» swoistą dokumentację tego wydarzenia, zamierzając ją wykorzystywać do promocji całej monarchii i swojej dynastii. W ten sposób powstał długi na ponad 15 m i szeroki na 27 cm fryz na papierze naklejonym na płótnie nazywany najpierw „Rolką polską", a potem, po wywiezieniu podczas potopu szwedzkiego, dzieło zyskało nazwę „Rolki sztokholmskiej". Barwny korowód postaci, koni, powozów i chorągwi został namalowany akwarelą i gwaszem, a złocenia i podrysowania nadały mu charakter wiernego przedstawienia w postaci niemal filmu dokumentalnego. Otrzymaliśmy dokładną ilustrację wjazdu i atmosfery mu towarzyszącej z dającymi się zidentyfikować postaciami, znakami i symbolami oraz wyraźnie widocznym porządkiem ceremonii. Możemy sprawdzić, kto szedł za kim, jak był ubrany i co czynił podczas przejścia. Widzimy nie tylko stroje i uzbrojenie, ale także zachowanie, gesty i emocje, które udzielały się uczestnikom. Otrzymaliśmy unikatowy wgląd w świat dawno miniony, a teraz dzięki „Rolce" na nowo odkrywany i podziwiany.

Przepych epoki

Wystawą, która świetnie korespondowała z obrazem królewskich zaślubin, był pokaz polskich wyrobów jubilerskich z XVI i XVII w. Klejnoty zawsze wzbudzały emocje. Niekiedy prowokowały skrajne zachowania, począwszy od euforii i pychy, aż po głęboki smutek i depresję, zawsze pozostając w centrum uwagi i dając podstawę do barwnych opowieści. Pożądanie szło w parze z chęcią posiadania i dumą, a okazywanie bogactwa było częścią stylu bycia i publicznych zachowań. Klejnoty, kosztowne stroje i paradne sprzęty, powozy, końskie rzędy i uzbrojenie dodawały szyku i prestiżu, miały świadczyć o pozycji społecznej i powadze sprawowanego urzędu. Były niezbędne przy czynnościach urzędowych i oficjalnych ceremoniach, konieczne w trakcie dyplomatycznych negocjacji i zagranicznych wyjazdów, nieodzowne podczas posłuchań i specjalnych misji. Klejnoty bowiem miały olśniewać i pomagać w rządzeniu. Stąd tytuł wystawy „Rządzić i olśniewać. Klejnoty i jubilerstwo w Polsce w XVI i XVII w." i dlatego oprócz ekspozycji pięknych i rzadkich precjozów

I. Ogniwo łańcucha królowej Konstancji Austriaczki, północne Niemcy, koniec XVI w., złoto dukatowe, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius
II. Pierścionek, tzw. rączka w rączkę, Polska, 1604, Muzeum Okręgowe w Koninie
III. Pierścionek, Polska, ok. poł. XVII w., Muzeum Narodowe w Krakowie


I.


II.


III.



Tzw. wieniec Bony – fragment monstrancji z Podkamienia, przed 1668 r., Kraków, klasztor oo. Dominikanów

FOT. MAT. PRASOWE ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

eprasa.pl 0aa789525f





5. Jerzy Mniszech, Lew Sapieha, czterej biskupi w niebieskich strojach i duchowny z krzyżem procesyjnym
6. Zygmunt III Waza w otoczeniu lokajów, paziów i halabardników
7. Konie w zaprzęgu, lokaje i halabardnicy
8. Karoca królewskiej narzeczonej – Konstancji Austriaczki

prezentacja ta miała w pewnym stopniu ujawniać kulisy sprawowania władzy oraz pokazywać sposoby zdobywania dla monarchii poparcia wśród wszystkich stanów: duchowieństwa, szlachty, mieszczaństwa, a nawet chłopstwa, które również potrafiło podrywać autorytet panującego. Zgromadzony skarb stanowił zabezpieczenie na czas kryzysu i wojny, dawał podstawę finansową do działań na terenie kraju i za granicą, a także umożliwiał prowadzenie zręcznej polityki matrymonialnej. Złoto i klejnoty miały olśniewać poddanych, zniewalać konkurentów i wpływać na rywali. Stanowiły potężny oręż w dyplomacji, budowały wizerunek władcy i pozwalały na skuteczne pozyskiwanie zwolenników. Ale nade wszystko tworzyły splendor monarchii i wzmacniały jej pozycję.

Przedstawiony zbiór klejnotów nie miał sobie równych – ani pod względem wartości materialnej, ani jakości artystycznej. Chcieliśmy, by umożliwił odpowiedź na pytanie, czy w okresie panowania ostatnich Jagiellonów i trzech królów z dynastii Wazów istniał polski styl jubilerski, który charakteryzował klejnoty wytwarzane na terenach Rzeczypospolitej. Wprawdzie terytorium było bardzo rozległe i zróżnicowane, ale mecenas w osobie króla i jego dworu był jeden. Bez wątpienia moda i wzory przychodziły z Włoch, także z monarchii Habsburgów i z zamożnych miast niemieckich, ale warsztaty Krakowa, Lwowa, Poznania i Gdańska uwzględniały gust miejscowych klientów. Sztuka baroku oraz wcześniejszy renesans i manieryzm wpływały na stylistykę wykonywanych prac, ale lokalne odmiany stylistyczne i atrakcyjne zamówienia z sąsiedztwa decydowały o ostatecznym kształcie wyrobów.

Czasy piękne, acz burzliwe

Złoty wiek Rzeczypospolitej, okres potęgi i prosperity, nie zakończył się wraz z odejściem dynastii Jagiellonów i śmiercią króla Zygmunta Augusta, ale trwał do połowy XVII w. i dopiero potop szwedzki doprowadził Polskę do ruiny oraz trwałego osłabienia. Wielka ekspansja terytorialna i śmiała polityka w całym regionie Europy północnej i wschodniej, finezyjna gra dyplomacji i kontakty z najprzedniejszymi dworami cesarsko-królewskimi przez trzy pokolenia były udziałem Wazów. Czas panowania wszystkich królów z tej dynastii jest wypełniony zdarzeniami nie tylko ciekawymi i ważnymi w perspektywie następnych dziesięcioleci, ale także niezwykle dramatycznymi, które wstrząsnęły podstawami państwa. Polityka w tym czasie działa się w kilku planach, które nie współgrały ze sobą i wymagały wielkiej pracy ustrojowej oraz zręcznej ręki w układach ze szlachecką bracią, rosnącą w siłę arystokracją i zewnętrznymi potęgami coraz chętniej ingerującymi w sprawy wewnętrzne monarchii. Okres spokojnej dominacji i realizacji długofalowych celów na ogromnym terytorium państwa i bezkresnych obszarach ościennych minął bezpowrotnie. Przyszły czasy powtarzających się wojen i konfliktów wewnętrznych, nagłych precedensów prawnych i ustrojowych, zaskakujących aliansów między państwami i przełomowych zmian geopolitycznych, a nade wszystko fundamentalnych przeobrażeń społecznych i gospodarczych. Zmiany cywilizacyjne i kulturowe docierające z zagranicy i wynikające z procesów wewnętrznych przyspieszyły, nabrały tempa i odbywały się w skali i w stopniu znacznie większym niż w wiekach minionych. Czas uciekał, a przyszłość stała się niepewna. Rzeczpospolita była jak ciężki i wspaniały okręt, który na wzburzonych falach, przy niepewnych prognozach, z dala od portu i z kończącym się zaopatrzeniem stara się utrzymać wcześniej wytyczony kurs, nie zważając na przechyły i przeciekające poszycie.

Wystawa „Świat polskich Wazów”, którą można jeszcze oglądać na Zamku Królewskim w Warszawie, ma stanowić swego rodzaju przewodnik po czasach pełnych zamętu i wstrząsów, a jednocześnie wielokrotnie bardzo szczęśliwych, dostatnich i wypełnionych obiecującymi planami. Pokazujemy wielkie wizje polityczne i bogaty mecenat artystyczny, dobrze przemyślane projekty z życia dworskiego i z kampanii wojennych, wysoką pozycję królewskiego rodu i ambicje arystokracji, skomplikowaną grę ze szlachecką bracią i z europejskimi dynastiami. Obrazujemy świat królów i stan Rzeczypospolitej. Odwołujemy się do znakomitego dziedzictwa, które stworzyło warszawski Zamek i podwaliny nowoczesnego ustroju Polski. Nawiązujemy do stale obecnego pytania o przyczyny słabości i brak remedium, które mogło im zaradzić.

Ale nade wszystko przywołujemy tamte czasy w całej ich okazałości i bogactwie.

eprasa.pl 0aa789525f

Styczeń



MICHAŁ KOMUDA



1 I 1860 Władze znajdującego się pod rosyjskim zaborem Królestwa Polskiego wprowadziły do obiegu pierwszy polski znaczek pocztowy.

3 I 1949 Funkcjonariusze Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali byłego żołnierza Batalionu „Zośka", Andrzeja Wolskiego „Jura". Po śledztwie na Koszykowej oraz Rakowieckiej, jako niewinna osoba, został skazany na karę aż 10 lat więzienia.

5 I 1950 Siedemdziesiąt lat temu urodził się wybitny polski himalaista, zdobywca Korony Himalajów i Karakorum, Krzysztof Wielicki. W przypadku ośmiotysięczników Mount Everest oraz Lhotse był wspinaczem, który dokonał pierwszego wejścia zimowego, przy czym na drugim ze szczytów stanął samotnie.



13 I 1870 Sto pięćdziesiąt lat temu przyszedł na świat premier oraz minister w rządach II Rzeczypospolitej, Jędrzej Moraczewski.

18 I 1520 Polskie siły oblegające Pasłęk z powodzeniem odparły wypad wojsk dowodzonych przez wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego Albrechta Hohenzollerna.

20 I 1320 Siedemset lat temu Władysław Łokietek został królem Polski. Koronacja ta została nie tylko uznana za symboliczną datę zakończenia rozbicia dzielnicowego, lecz była również pierwszą, która miała miejsce w katedrze wawelskiej.



21 I 1940 W nocy polscy konspiratorzy podjęli nieudaną próbę wzniecenia zrywu powstańczego na terenie okupowanego przez Sowietów Czortkowa. Powstanie czortkowskie miało się rozpocząć w rocznicę insurekcji z 1863 r.

26 I 1980 W Zakopanem odbyły się po raz pierwszy zawody pucharu świata. W konkursie na Średniej Krokwi zwyciężył pochodzący z Zębu Stanisław Bobak. Dzień później triumfował również Polak, Piotr Fijas z Bielska-Białej.

eprasa.pl 0aa789525f



a zwłaszcza masowych grabieży, podpaleń i wyburzeń dokonanych przez Niemców po upadku powstania, była zniszczona w ponad 80 proc. Mimo to 19 stycznia w specjalnie uprzątniętych w tym celu Alejach Jerozolimskich zorganizowano propagandową defiladę oddziałów 1 Armii WP. Żołnierze maszerowali między skutymi mrozem ruinami wymarłego miasta. Przez lata wyczekiwana przez warszawiaków chwila stała się ponurym przedstawieniem dla stojących na trybunie przed hotelem Polonia przedstawicieli nowej komunistycznej władzy.

17 I 1945

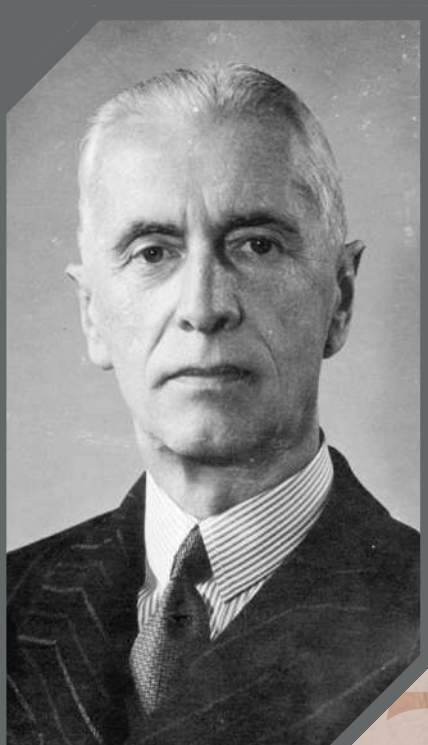
Do opuszczonej w nocy przez Wehrmacht Warszawy wkroczyły oddziały 1 Armii Wojska Polskiego. Po ponad pięcioletniej niemieckiej okupacji lewy brzeg dużego europejskiego miasta był już tylko wyludnioną ruiną.

Trzy miesiące po zakończeniu powstańczych walk w stolicy i wypędzeniu jej mieszkańców przez wojska niemieckie 12 stycznia Armia Czerwona rozpoczęła wielką ofensywę siłami aż czterech frontów. Dwa dni później podjęto działania zmierzające bezpośrednio do okrążenia i zajęcia niezdobytej dotąd lewobrzeżnej części Warszawy. W tym celu od północy prowadziła natarcie 47 Armia, z kierunku południowego 61 Armia i 2 Armia Pancerna, a do ataku na samo miasto parła 1 Armia WP. Według planu Adolfa Hitlera Warszawa jako „Festung Warschau" miała, mimo miażdżącej ofensywy wroga, pozostać w niemieckich rękach. Zadanie jej obrony powierzono gen. Friedrichowi Weberowi, który stanął na czele dywizji fortecznej. Dowódca ten, zresztą zgodnie z opinią swoich wojskowych przełożonych, widząc błyskawiczne postępy Armii Czerwonej, zaczął przygotowywać wycofanie podległych mu wojsk, aby wymknąć się z okrążenia. Jak wspominał ówczesną sytuację szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych, gen. Heinz Guderian, Hitler wbrew „logice rozkazał utrzymać Warszawę za wszelka cenę. [...] Załoga ta w żadnym razie nie była w stanie utrzymać miasta [...]. Toteż komendant, chociaż otrzymał rozkaz jeszcze przed ewakuacją, postanowił ze swą słabą załogą wycofać się z Warszawy. Teraz gniew Hitlera nie znał już granic [...], dostrzegał tylko jedno – klęskę warszawską". W tej sytuacji rankiem 17 stycznia od południowego wschodu, północy, wschodu i południa oddziały 1 Armii WP rozpoczęły natarcie na lewobrzeżną część miasta. Walki miały charakter sporadyczny, ponieważ polscy żołnierze natknęli się już jedynie na wrogie siły osłonowe, podczas gdy dywizja gen. Webera opuściła Warszawę nocą. W ten sposób cała stolica jeszcze tego samego dnia została oczyszczona z niemieckich żołnierzy. Samotnie walcząca latem 1944 r. przez długie 63 dni Warszawa została tym razem zajęta bez większych ofiar. Niestety w styczniu 1945 r. nikt już nie witał żołnierzy 1 Armii WP. Zajęli opustoszałe ruiny miasta, które zgodnie z dyrektywą Reichsführera-SS Heinricha Himmlera miało „całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi". Lewobrzeżna Warszawa w wyniku strat wojennych,

28 I 1885

W Kutaisi w Gruzji przyszedł na świat prezydent Władysław Raczkiewicz. W chwili objęcia najważniejszego urzędu w Polsce przebywał na emigracji i nigdy nie było mu dane powrócić do kraju.

Polityk, którego osoba zapewniła ciągłość konstytucyjnych władz polskich podczas przegranej wojny obronnej we wrześniu 1939 r., jeszcze w młodości jako obywatel Cesarstwa Rosyjskiego rozpoczął działalność niepodległościową. Ukończył studia prawnicze w 1911 r., a następnie podczas I wojny światowej, jako poddany cara, został wcielony do wojska. Od 1918 r. służył w Wojsku Polskim, broniąc najpierw przed bolszewikami Mińska, a następnie walcząc o Wilno. W II Rzeczypospolitej aż trzykrotnie sprawował funkcję ministra spraw wewnętrznych i przez 18 lat wojewody. Jednak najważniejszą i najtrudniejszą rolę przyszło mu odegrać w trakcie II wojny światowej. Internowany prezydent Ignacy Mościcki wyznaczył go swoim następcą. Raczkiewicz objął ten urząd 30 września 1939 r. we Francji, jednocześnie podpisując umowę paryską, która ograniczała jego władzę na rzecz premiera. Akt ten otwierał drogę do szerszej współpracy skonfliktowanych przed wojną stronnictw politycznych. Jako prezydent RP na uchodźstwie zabiegał m.in. na arenie międzynarodowej o los Polaków i Żydów na terenach okupowanej Polski oraz domagał się realnej pomocy dla powstańczej Warszawy. Zmarł w Wielkiej Brytanii w wieku 62 lat.



FOT. MUZEUM POCZTY I TELEKOMUNIKACJI WE WROCŁAWIU; BIBLIOTEKA NARODOWA (2X); EAST NEWS/LASKI DIFFUSION; NAC

eprasa.pl 0aa789525f

Luty

5 II 1917

Przyszedł na świat jeden z kurierów tatrzańskich, Stanisław Frączysty. Podczas okupacji przeprowadzał ludzi i przenosił konspiracyjne materiały na trasie Podhale – Budapeszt. Jego najbardziej spektakularnymi misjami było przeprowadzenie do okupowanego kraju płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława" oraz w październiku 1941 r., z Węgier do kraju, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.



7 II 1939

Do portu w Gdyni po raz pierwszy wszedł nowoczesny polski okręt podwodny ORP „Orzeł". Jednostka została zbudowana na zamówienie rządu RP w holenderskiej stoczni De Schelde.

10 II 1940

W ekstremalnych, zimowych warunkach okupant sowiecki przeprowadził pierwszą masową deportację ludności polskiej. W głąb skutej mrozem Rosji wywieziono ponad 140 tys. naszych rodaków oraz polskich obywateli pochodzenia białoruskiego i ukraińskiego.

16 II 1665

W Sokołówce na terenie dzisiejszej Ukrainy zmarł hetman Stefan Czarniecki. Oceniając swoją przepełnioną żołnierskimi trudami karierę, mawiał: „Jam nie z soli ani roli, ale z tego, co mnie boli".



17 II 1720

W Poczdamie dwa przyszłe państwa zaborcze, Prusy i Rosja, zawarły traktat, w myśl którego zobowiązywały się do utrzymania w Rzeczypospolitej swobód szlacheckich, nie pozwalając na przeprowadzenie niezbędnych reform ustrojowych państwa.

20 II 1530

Jedyny raz w historii I Rzeczypospolitej doszło do elekcji vivente rege, tzn. wyboru króla jeszcze za życia aktualnego władcy. Szlachta obrała swoim monarchą 10-letniego wówczas Zygmunta II Augusta, syna panującego Zygmunta I Starego.

28 II 1920

Sto lat temu urodziła się harcerka Szarych Szeregów i autorka znaku „Polski Walczącej", Anna Smoleńska. W trakcie okupacji została aresztowana wraz z najbliższymi członkami rodziny. Zmarła w niemieckim obozie koncentracyjnym w Auschwitz.



eprasa.pl 0aa789525f



10 II 1920

Sto lat temu w Pucku gen. Józef Haller wjechał na wierzchowcu w skute mrozem morskie wody, by rzucić w nie pierścień. Drugi, bliźniaczy, wsunął na palec i nosił go do kresu swoich dni. W ten symboliczny sposób dokonały się zaślubiny Rzeczypospolitej z Bałtykiem.

Powrót Polski nad morze trwał dłużej niż walka o odzyskanie niepodległości. W czerwcu 1919 r. na mocy postanowień wersalskich potwierdzono, że odrodzone państwo polskie będzie miało ponad 140-kilometrową linię brzegową. Jednak w ślad za tą decyzją zwycięskie mocarstwa nie podjęły zdecydowanych działań, a Niemcy nie planowali przyspieszania procesu przekazania wspomnianych ziem Polsce, cały czas roszcząc sobie do nich prawa. Dlatego wraz z wejściem w życie postanowień pokojowych w styczniu 1920 r. na przyznane Polsce terytorium wkroczyły oddziały specjalnie utworzonego w tym celu Frontu Pomorskiego. Jego dowódcą i osobą, która miała dopilnować pokojowego przejęcia ziem, został stojący wcześniej na czele II Brygady Legionów oraz słynnej Błękitnej Armii gen. Józef Haller. Polskie wojska, szczęśliwie bez większych incydentów, w ciągu niespełna miesiąca dotarły nad wybrzeże. Miejscem, do którego zmierzały, był Puck, w którym znajdował się jedyny większy port przynależny Polsce. Tam też zaplanowano na 10 lutego podniosłą uroczystość zaślubin z morzem. Tego dnia do Pucka przybył pociąg z oficjalną delegacją, w skład której weszli m.in. gen. Haller, kontradm. Kazimierz Porębski, a także Stanisław Wojciechowski, Wincenty Witos i Maciej Rataj. Po drodze, w Gdańsku, doszło do spotkania z przedstawicielami tamtejszej Polonii, podczas którego dr Józef Wybicki przekazał Dowódcy Frontu Pomorskiego dwa historyczne pierścienie, które spontanicznie zostały włączone do ceremonii zaślubin. Generał na dworcu w Pucku dosiadł konia i w asyście kawalerii udał się do udekorowanego portu. Tam odprawiono mszę św. oraz zorganizowano główne uroczystości. Ich przebieg w następujący sposób relacjonował sam gen. Haller: „Na mój znak została podniesiona bandera wojenna, która uroczyście wzniosła się na maszt przy salutach armatnich i dźwięku hymnu narodowego; wszystkie oddziały wraz z całą ludnością oddały honory z odkrytymi głowami; a radosne łzy błyszczały w oczach". Następnie generał wygłosił krótką mowę i cisnął w fale jeden z podarowanych mu pierścieni. Parę dni później podobna ceremonia została powtórzona nad otwartym morzem we Władysławowie. W chwili zaślubin odrodzona Polska nie posiadała żadnego dużego portu, floty ani marynarki wojennej. Dzięki wysiłkowi społeczeństwa II RP u schyłku dwudziestolecia międzywojennego sytuacja ta uległa diametralnej zmianie. Nowo zbudowany port w Gdyni z powodzeniem konkurował z innymi wielkimi portami Morza Bałtyckiego i Północnego, polskie transatlantyki były powszechnie podziwiane na świecie, a marynarka posiadała nowoczesne niszczyciele i okręty podwodne.

26 II 1815

Napoleon Bonaparte uciekł z zesłania na wyspie Elba, rozpoczynając swój triumfalny pochód przez Francję. Raz jeszcze Europa zadrżała przed geniuszem „boga wojny".

Rok wcześniej państwa zwycięskiej koalicji zdecydowały, by osadzić pokonanego Cesarza Francuzów na niewielkiej Elbie u wybrzeży Włoch. Opuszczony przez żonę, rodzinę, marszałków oraz współpracowników Napoleon przybył na wyspę na początku maja. Towarzyszyło mu wówczas jedynie kilkuset grenadierów starej gwardii oraz szwadron polskich szwoleżerów. W tym czasie w łonie koalicji pojawił się rozłam dotyczący nowego podziału Europy. Jednocześnie we Francji narastało coraz większe niezadowolenie z nieudolnych rządów króla Ludwika XVIII Burbona, a dawni weterani kampanii napoleońskich nie kryli rozgoryczenia dotykającymi ich cięciami finansowymi. Napoleon, który notabene zapisał się na Elbie jako dobry gospodarz, nie planował biernie czekać, aż zostanie uwięziony w bardziej odległym miejscu lub zgładzony przez wrogów. W ciągu niespełna dziesięciu miesięcy od przybycia na zesłanie zdołał zorganizować ucieczkę. Wraz z wiernymi mu oddziałami 26 lutego wsiadł na dwa statki, by 1 marca wylądować niedaleko Fréjus. Napoleon zasilany przez kolejno przechodzących na jego stronę żołnierzy ruszył do odebranego mu niedawno Paryża. Zwycięski pochód do stolicy Francji zajął cesarzowi zaledwie 20 dni, przechodząc do historii pod nazwą „lotu orła".



FOT. NAC (2X); ARCHIWUM (3X)

eprasa.pl 0aa789525f

LIST Z NOWEGO AMSTERDAMU

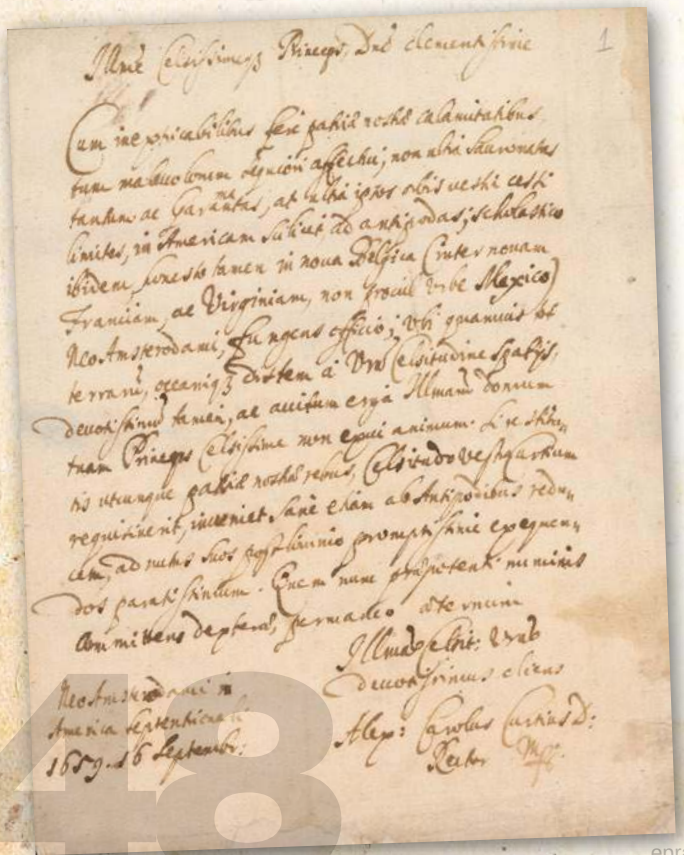


JACEK KROCHMAL

ALEKSANDER KAROL KURCJUSZ (CURTIUS) JEST DZIŚ POSTACIĄ NIEMAL ZAPOMNIANĄ. A BYŁ TO WYBITNY UCZONY, LEKARZ I NAUCZYCIEL, KLIENT DWORU KSIĘCIA BOGUSŁAWA RADZIWIŁŁA, KTÓRY STAŁ SIĘ TEŻ JEDNYM Z PIONIERÓW OSADNICTWA POLSKIEGO W AMERYCE PÓŁNOCNEJ

Ustąpiłem zarówno przed niemal niewysłowionymi klęskami naszej ojczyzny, jak też przed zbytnią złością nieprzyjaciela [...] poza granice waszego świata, mianowicie do Ameryki na antypody, pełniąc tam szkolne, ale zaszczytne obowiązki w Nowej Belgii (pomiędzy Nową Francją i Wirginią, niezbyt daleko od miasta Meksyk) w Nowym Amsterdamie; gdzie chociaż oddzielony od Waszej Wysokości takim obszarem lądów i oceanu, to jednak nie zmieniłem od dawien dawna pełnych oddania uczuć wobec jaśnie oświeconego domu Twego".

Tak 1 września 1659 r. Aleksander Karol Kurcjusz pisał w liście do księcia Bogusława Radziwiłła, donosząc o miejscu swego pobytu, przypominając o swym oddaniu i składając deklarację powrotu, „jeśli po naprawie w jakikolwiek sposób spraw naszych ojczystych Wasza Wysokość będzie sobie życzyła znowu Kurcjusza, nawet powracającego z antypodów, znajdzie w pełni gotowym do wypełnienia gorliwie Jej rozkazów po powrocie do ojczyzny". List jest przykładem typowego dla owych czasów klientyzmu, czyli systemu zależności pomiędzy możnym patronem a „wiszącym u magnackiej klamki", uzależnionym od niego klientem. Aleksander Karol Kurcjusz (Curtius) jest dziś postacią niemal zapomnianą. Próżno szukać informacji o nim w „Polskim słowniku biograficznym" czy



List Aleksandra Karola Kurcjusza do księcia Bogusława Radziwiłła z 1659 r.

w syntezach dziejów Polski. A był to wybitny uczony, lekarz i nauczyciel. Jako protestant związał się najpierw z dworem Bogusława Radziwiłła, a podczas nieszczęść spadających na Rzeczpospolitą w dobie najazdu moskiewskiego i potopu szwedzkiego wyemigrował do Niderlandów. Tam zatrudniła go holenderska Kompania Zachodnioindyjska (Duch West India Company), na zlecenie której w 1658 r. wyjechał do Nowego Amsterdamu w Ameryce Północnej. Już w roku następnym jego nazwisko odnotowano w spisie lekarzy i chirurgów działających w stolicy tej holenderskiej kolonii. Odpowiadając na zapotrzebowanie miejscowych kolonistów, pragnących edukować swe dzieci w łacinie i innych naukach, Kurcjusz w 1659 r. założył na Manhattanie pierwszą na tych ziemiach akademię. Swą postępową działalnością szybko zyskał uznanie gubernatora Petera Stuyvesanta. Renoma zawodowa Kurcjusza sprawiła, że z przychylnością zatrudniano kolejnych lekarzy przybywających z Polski, w tym Jana Rutkowskiego i Kazimierza Butkiewicza. W tym miejscu warto przypomnieć, że Kurcjusz nie był pionierem osadnictwa polskiego w Ameryce Północnej, obecność przybyszy znad Wisły sięga tam bowiem początków XVII w. Najstarsze zachowane przekazy mówią o osiedleniu się w 1607 r. grupy polskich rzemieślników w Jamestown. W połowie tego stulecia protestanci z Rzeczypospolitej wnieśli znaczący wkład w rozwój stolicy Nowej Holandii, znanej wówczas pod nazwą Nowy Amsterdam. Niebagatelna rola

eprasa.pl 0aa789525f



Księga przychodów i rozchodów księcia Bogusława Radziwiłła z lat 1645–1647

w tym zadaniu przypadła Aleksandrowi Karolowi Kurcjuszowi.

List do księcia Bogusława Radziwiłła wysłany z Nowej Holandii jest ważnym przyczynkiem źródłowym do dziejów tej kolonii. Nie przetrwała ona długo, stając się ofiarą rywalizacji holendersko-angielskiej o dominację na morzach i w handlu z koloniami. Spór ten przybrał na sile w latach 1665–1667, kiedy miała miejsce tzw. druga wojna angielsko-holenderska. Jednak już rok wcześniej konflikt między tymi europejskimi potęgami przeniósł się za Atlantyk. Wojnę zakończył traktat pokojowy w Bredzie podpisany 31 lipca 1667 r. W jego wyniku Holandia utraciła na rzecz Anglii swą kolonię w Ameryce Północnej. Wojska angielskie opanowały Nowe Niderlandy już w 1664 r. Wówczas to nazwę stolicy tej kolonii – Nowy Amsterdam – zmieniono na Nowy Jork. Miasto otrzymało ją na cześć księcia Yorku, brata króla Anglii Karola II, który wówczas był dowódcą floty angielskiej, a w 1685 r. został królem Anglii. Panowanie Jakuba II – ostatniego katolickiego władcy Anglii – nie było szczęśliwe. Już w 1688 r. został zdetronizowany i żył w oddaleniu od tronu do 1701 r. Opanowanie przez Anglię kolonii holenderskiej w Ameryce Północnej było kamieniem milowym w rozwoju nie tylko tego kontynentu, ale też w dziejach świata, prowadząc do zwiększenia znaczenia języka angielskiego, a także związania z kulturą anglosaską kolonii, które w następnym stuleciu wywalczyły niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Ten znany nam obraz zupełnie inaczej wyglądał z perspektywy Kurcjusza, piszącego list do odległej Europy w połowie XVII stulecia. Próbując uzmysłowić księciu Bogusławowi Radziwiłłowi miejsce swego pobytu w Nowym Świecie, odwoływał się do najbardziej znanych miejsc, które łatwo można było odszukać na niezbyt dokładnych ówczesnych ma-

Orzeł Radziwiłłów z herbem Trąby z 1672 r.



pach czy globusach. Pisał więc „z Nowego Amsterdamu w Ameryce Północnej". Co ciekawe, miasto to umiejscowił nie tyle w Nowej Holandii czy Nowych Niderlandach, ile w Nowej Belgii (in Nova Belgica), nie bacząc, że w wyniku podziału dawnych Niderlandów z ich północnej części powstała niepodległa Republika Zjednoczonych Prowincji (późniejsza Holandia), natomiast leżąca w części południowej Belgia pozostała pod panowaniem hiszpańskim. Jako ciekawostkę przytoczyć można fragment listu określający położenie tej holenderskiej kolonii i jej stolicy, która niebawem zyska sławę pod nazwą Nowego Jorku, umiejscawiając je „pomiędzy Nową Francją i Wirginią, niezbyt daleko od miasta Meksyk" (inter novam Franciam, ac Virginiam, non procul urbe Mexico).

List Kurcjusza został zaadresowany pod ostatni znany nadawcy adres pobytu księcia Bogusława Radziwiłła, który od końca 1657 r. był generalnym gubernatorem Prus Książęcych. Na oryginalnej kopercie widnieje więc bardzo ogólnie sformułowany tekst, napisany w języku francuskim, wskazujący na odbiorcę przesyłki, którym był „Pan Książę Bogusław Radziwiłł" przebywający „w Królewcu w Prusach". Podobnie jak sam autor, również jego list jest źródłem mało znanym wśród historyków. Tym bardziej zasługuje na przypomnienie. Ten ważny zabytek do dziejów polsko-amerykańskich i polsko-holenderskich, przechowywany jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych w dziale V przebogatego Archiwum Radziwiłłów. Jest to najstarszy list z Ameryki znajdujący się w zbiorach polskich.

Koperta listu adresowanego do księcia Bogusława Radziwiłła (1659 r.)



FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 0aa789525f

Archiwum Akt Nowych

WYTRAWNA KONSPIRATORKA RODEM Z KIELC



Stanisława Daszewska, z domu Olędzka

STANISŁAWA Z OLĘDZKICH DASZEWSKA BYŁA AKTYWNĄ CZŁONKINIĄ POLSKIEJ ORGANIZACJI WOJSKOWEJ I ORGANIZACJI PRZYSPOSOBIENIA WOJSKOWEGO KOBIET, INSTRUKTORKĄ OŚWIATOWĄ SPiO, ŻOŁNIERZEM ARMII KRAJOWEJ



KATARZYNA WYSOCZYŃSKA

Rodzina Olędzkich (herbu Rawicz) przybyła do Kielc u schyłku XIX w. Była bardzo zaangażowana w życie gospodarcze, społeczne oraz polityczne miasta. Ojciec Stanisławy – Antoni Olędzki, zawodowo pełnił stanowisko dyrektora Kieleckiej Fabryki Marmurów. Czyniło go to jednym z najbardziej cenionych i zamożnych kielczan. Jednocześnie był miłośnikiem teatru, przez wiele lat sprawował mecenat nad miejscowym Teatrem Artystycznym. Matka Stanisławy – Maria, urodziła dziewięcioro dzieci, jej dom był znaczącym ośrodkiem działalności niepodległościowej. Siostry bohaterki również wpisały się w historię lokalną – Janina prowadziła znaną cukiernię na głównej ulicy Kielc. Zofia zaś była niezwykle cenioną nauczycielką w szkole Marii Krzyżanowskiej. Najmłodsza siostra – Maria, uzdolniona plastycznie, malowała i projektowała wzornictwo dla przemysłu, była też żoną cenionego malarza i grafika Andrzeja Dworaka.



Karta przydziału Stanisławy Olędzkiej do Sekcji Propagandy i Opieki nad Żołnierzami

Cała rodzina za swoją powinność uznała włączenie się w działalność patriotyczną i niepodległościową. Bracia: Kazimierz, Bronisław i Wiesław, służyli w szeregach Polskiej Organizacji Wojskowej i brali udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Wiesław zginął w egzekucji dokonanej przez Niemców na kieleckim Stadionie 12 czerwca 1940 r. Witold walczył w 2 Korpusie Polskim, biorąc udział m.in. w bitwie pod Monte Cassino.

Stanisława natomiast w 1914 r., mając lat 20, wstąpiła do Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego; pracowała w bibliotece Ligi przy Szpitalu Okręgowym w Kielcach. Rok później, w ślad za innymi członkami swojej rodziny i przyjaciółmi, podjęła służbę w Polskiej Organizacji Wojskowej jako kurierka przy płk. Juliuszu Ulrychu i Franciszku Loefflerze. W organizacji pełniła funkcję komendantki poczty odpowiedzialnej za kolportaż i ewidencję Okręgu VI POW. Od maja 1918 r. została dodatkowo komendantką Oddziału Żeńskiego POW, gdzie nadzorowała sekcje: wywiadowczą, kolporterską, sanitarną oraz intendenturę.

W czasie wojny polsko-bolszewickiej skierowana została na front do Sekcji Propagandy i Opieki przy Naczelnym Dowództwie Wojska Polskiego, której zadaniem było „podniesienie stanu moralnego i ideowego w oddziałach [...] za

FOT. AAN; SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0aa789525f

pomocą pracy kulturalnej i oświatowej, propagandy prasowej i wyzyskania akcji opieki nad żołnierzem, organizowanej przez społeczeństwo". Początkowo została przydzielona do 4 Armii, następnie do 16 Dywizji Pomorskiej. Kilka miesięcy po podpisaniu umowy o wymianie jeńców wojennych w marcu 1921 r. Stanisława Olędzka została przekierowana jako instruktorka oświatowa do Punktu Wymiany Jeńców w Baranowiczach. Pracę w punkcie bohaterka opisała w swoich wspomnieniach zgromadzonych w zbiorach Komisji Historii Kobiet. Oto ich fragment: „Pierwszy transport jeńców – oficerowie dywizji pułkownika Czumy z Syberii. Gdy podjechał transport, wysiadali jeńcy, nędznie odziani, w papachach i szynelach rosyjskich, ustawiali się w szereg. W tym momencie orkiestra zagrała marsza Dąbrowskiego – czapki zdjęte, wzruszenie ogólne tak silne, że bez łez nie można wspomnieć tej chwili. Jeńców odprowadzano na kwatery, gdzie ich zgłodniałych nakarmiono, następnie dezynfekcja i wydanie ubrań czystych, które z radością jako dawno nienakładane w więzieniach bolszewickich, przyjmowane były przez zbiedzonych i wynędzniałych aż do zzieleniałych twarzy i popuchniętych. Wygląd mieli 70-letnich starców, mimo że liczyli sobie lat 30 mniej więcej".

Po powrocie z Baranowicz Stanisława kontynuowała pracę społeczną z ramienia Związku Strzeleckiego – prowadziła bibliotekę i czytelnie oraz kursy dla analfabetów w Szpitalu Okręgowym w Kielcach. W tym czasie była również bardzo aktywna w szeregach organizacji Przysposobienia Wojskowego Kobiet. W 1929 r. uzyskała stopień instruktorki PWK i przez kolejne lata uczestniczyła w obozach i kursach organizacji. Jej pasją było strzelectwo, stąd w spuściźnie Stanisławy Daszyńskiej mnóstwo dyplomów z zawodów strzeleckich kobiet. Przez wiele lat była członkinią Kobiecego Klubu Strzeleckiego w Warszawie, a w początku lat 30. udało jej się założyć ekspozyturę klubu w swoich rodzinnych Kielcach.

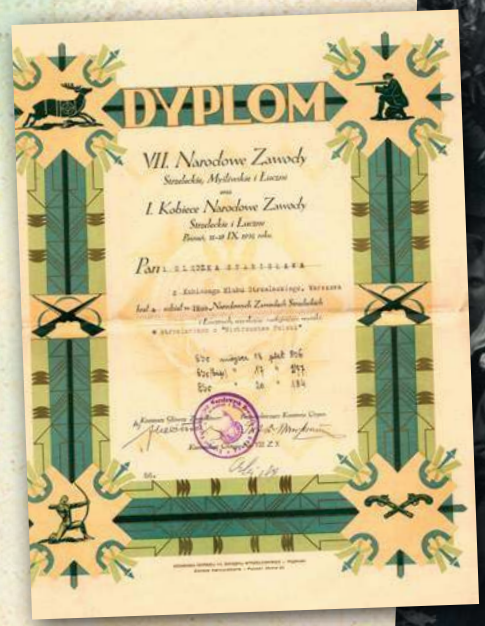
Mało wiemy o działalności bohaterki w Armii Krajowej. Do swojej warszawskiej koleżanki z PWK Wandy Gertz złożyła deklarację gotowości do walki. Otrzymała przydział od płk. Józefa Plebanka ps. Prot (komendanta straży pożarnej) do organizowania łączności w południowo-zachodnich powiatach okręgu kieleckiego SZP–ZWZ–AK. W strukturach AK przyjęła ps. Rawiczówna.

Stanisława Daszewska odznaczona została m.in. Krzyżem Niepodległości, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Srebrnym Krzyżem Zasługi, odznaką Grunwaldzką za II wojnę światową i Krzyżem Armii Krajowej.

Pamiątki po niej znajdują się w Komisji Historii Kobiet w Archiwum Akt Nowych.



Oddział żeński POW Kielce, maj 1918 r.



Dyplom I Kobiecych Narodowych Zawodów Strzeleckich i Łuczniczych w Poznaniu, 11–18 września 1932 r.



Instruktorki Oświatowe SPiO 4 Armii 16 Dywizji Pomorskiej, 1920 r.

eprasa.pl 0aa789525f

SZYMON OKOLSKI POZOSTAŁ W PAMIĘCI POLAKÓW JAKO POLOWY KAZNODZIEJA I PŁODNY TWÓRCA

SZYMON OKOLSKI – PIEWCA RUSI KORONNEJ



HENRYK LITWIN

Dziewiętnastowieczny wydawca wielu ważnych dzieł literatury staropolskiej Kazimierz Józef Turowski w jednej ze swych edycji pism Szymona Okolskiego wspominał widziany przez siebie w Przemyślu portret tego dominikańskiego autora, opatrzony napisem „serdeczna miłość rycerstwa polskiego". Inny konterfekt mnicha opublikował w 1840 r. Żegota Pauli. Była to kopia portretu pochodzącego ze zbiorów klasztoru w Podkamieniu („ruskiej Jasnej Górze"), na którym Okolski uwieczniony jest na tle licznych ksiąg jego autorstwa. Te dwa wizerunki pokazują, w jaki sposób zapisał się on w pamięci współczesnych i potomnych.

Dominikanin, jeniec i edukator

Bohater niniejszego szkicu urodził się prawdopodobnie w 1580 r., ale z całą pewnością w Kamieńcu Podolskim. Wywodził się ze szlacheckiego rodu herbu Rawicz zamieszkałego od wieków w województwie sandomierskim. Jego dziad Jan przeniósł się na Ruś koronną i z tą ziemią czuł się Okolski silnie związany, jak wskazują jego życiorys i twórczość. Niewiele wiemy o jego młodości. Najprawdopodobniej wcześnie wstąpił do zakonu dominikanów. W każdym razie wiemy, że wykształcenie zdobywał już jako dominikański braciszek, najpierw od 1612 r. we lwowskim konwencie Bożego Ciała, a potem od 1616 r. w Bolonii, gdzie uzyskał tytuł lektora. Po powrocie do Rzeczypospolitej, odbywając wraz z grupą konfratrów jakąś podróż w sprawach zakonnych, znalazł się w zasięgu działania najeżdżającej kraj tatarskiej hordy i trafił do niewoli. Jak to się często zdarzało jego współczesnym, jechał do Kamieńca, a znalazł się na Krymie. Kapituła prowincjonalna obradująca we Lwowie w kwietniu 1619 r. podjęła decyzję o wykupie Okolskiego z niewoli, co udało się zrealizować, choć nie wiemy kiedy. W każdym razie w 1620 r. był już znowu we Lwowie i wykładał filozofię, a od 1621 r. teologię w tym samym konwencie Bożego Ciała, w którym zaczynał edukację. Jednocześnie kontynuował naukę w Studium Generalnym dominikanów we Lwowie, gdzie w 1628 r. uzyskał bakalaureat, a 1641 r. doktorat z teologii. Nie zaniedbując pogłębiania wiedzy i uczenia młodszych konfratrów, oddawał się coraz intensywniej pracy zakonnej.

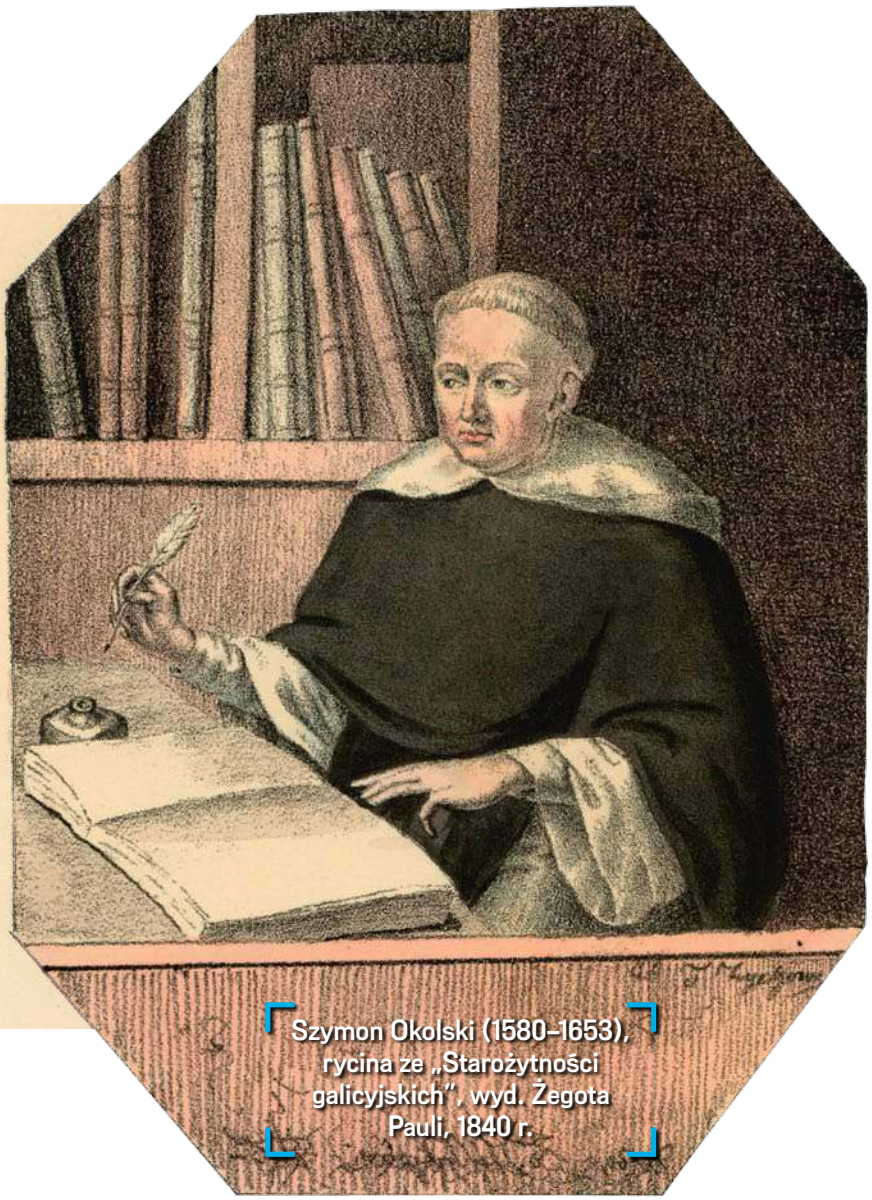
Dominikanie zbudowali w tej epoce rozległą sieć klasztorów na Rusi koronnej, zorganizowanych w odrębnej (od 1612 r.) prowincji ruskiej im. św. Jacka Odrowąża. Jej dzieje stały się niedawno przedmiotem zainteresowania publikującego po angielsku polskiego historyka Piotra Stolarskiego. Pokazał on, jak skutecznie dominikanie rywalizowali z jezuitami na terenach Rusi koronnej. Bracia Societas Iesu dysponowali większą liczbą ośrodków nauczania, ale w pracy duszpasterskiej często nie wykazywali aktywności równej dominikanom. Ci ostatni reprezentowali koncepcję katolickiej ekspansji opartej na łagodnej perswazji. Działali częściej w środowiskach pozostających pod wpływem reformacji niż wśród prawosławnych. Nie skupiali się wyłącznie na elitach, lecz pracowali wytrwale wśród „maluczkich". Ich praca w latach 30. i 40. XVII w. przynosiła niemałe efekty. Ojciec Okolski był ważnym uczestnikiem tego procesu. W tym czasie kapituła prowincjonalna wysyłała go do kolejnych konwentów, gdzie pełnił funkcję przeora – w Jezupolu (1627–1628), Tyśmienicy (1631) i Rohatynie (1635).

Wojskowe doświadczenia

W latach 1637–1638 w nieznanych bliżej okolicznościach znalazł się w otoczeniu hetmana polnego koronnego i wojewody bracławskiego Mikołaja Potockiego, któremu udzielał porad duchowych jako nadworny teolog i kaznodzieja obozowy. W tym czasie towarzyszył hetmanowi w jego dwóch kampaniach bojowych przeciw zbuntowanym kozakom – w czasie powstań Pawluka (1637) i Ostrzanina (1638).

Doświadczenia „polowe" wykorzystał Okolski w swych pierwszych drukowanych pracach. Były to „Diariusz transakcyjej wojennej między wojskiem koronnym i zaporowskim w r. 1637" (wydany w Zamościu w 1638 r.) i „Kontynuacja diariusza wojennego... w r. 1638" (Kraków 1639). W tych kronikarsko-pamiętnikarskich dziełach przekazał szczegółowo opisany obraz wydarzeń, zamieszczając przy tym wiele kompetentnych uwag dotyczących działań wojskowych obu stron, ich taktyki i wyposażenia. Dał przy tym świadectwo silnych związków emocjonalnych łączących go z towarzyszami broni i przedstawił walki z kozackimi powstaniami jako konflikt sił broniących państwowego porządku z jego burzycielami. O Kozakach pisał: „Grożą ogniem kościołom, kapłanom i zakonom szablą. Myślą dońskich (kozaków) ku sobie zaciągnąć, z Tatary się złączyć, Moskiewskiego za Pana mianować". Okolski już

eprasa.pl 0aa789525f



Szymon Okolski (1580–1653), rycina ze „Starożytności galicyjskich", wyd. Żegota Pauli, 1840 r.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

w 1637 r. dostrzegał, jak widać, niebezpieczeństwa związane z kozackimi działaniami, które dramatycznie dały o sobie znać w epoce powstania Chmielnickiego.

Okiem Rusina „życzliwego syna koronnego"

Ocen o. Szymona dotyczących powstań kozackich nie trzeba traktować jako wynurzeń przybysza z ziem polskich, który na sprawy Rusi patrzy okiem cudzoziemca czy najeźdźcy. Jak pokażą jego kolejne publikowane dzieła, choć „oyczyzny miłośnik i życzliwy syn koronny" z niepokojem śledzący wrogów „w Polskę jadowito poglądających", czuł się też Rusinem – ruskim szlachcicem, ruskim zakonnikiem. Możemy to dostrzec na kartach jego dzieł obrazujących dzieje Kościoła na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej, a przede wszystkim wydanej w 1646 r. historii ruskiej prowincji dominikanów – „Russia florida..." (Lwów 1646), w której podkreślał zasługi dominikanów ruskich dla katolicyzmu. Do wątku dziejów katolicyzmu na Rusi wracał w swych książkach o biskupach kijowskich („Chioviensium episcoporum ordo et numerus...", Lwów 1646) i łaskami słynących obrazach maryjnych na Rusi – z Podkamienia, Łucka i ze Lwowa.

Czas cierpienia

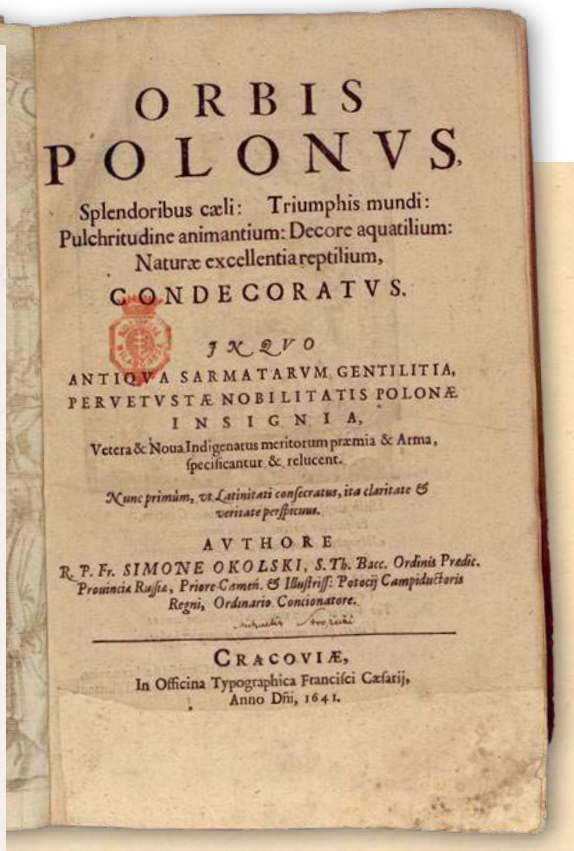
Po okresie pozostawania w kręgu dworskim i wojskowym Mikołaja Potockiego Okolski wrócił do aktywności zakonnych. Znowu pełnił funkcję przeora w klasztorach prowincji ruskiej – Konstantynowie (1638), Tyśmienicy (1644–1646) i Jezupolu (1646–1648), aż wreszcie w 1648 r. został – z wyboru kapituły – prowincjałem prowincji św. Jacka Odrowąża, którym pozostał do 1652 r. Okres pełnienia tej funkcji był jednak czasem cierpienia. Klasztory dominikańskie na ziemiach ruskich były poddane brutalnym represjom w trakcie powstania Chmielnickiego, kiedy jednocześnie toczyła się wojna kozaków z Rzecząpospolitą i chłopski bunt na wielką skalę. Oddziały kozackie i watahy chłopskie napadały na klasztory zakonu kaznodziejskiego i bezlitośnie mordowały mnichów. W tym czasie z powierzchni ziemi zniknęło 29 klasztorów dominikańskich, z których tylko nieliczni mnisi zdołali się salwować ucieczką. Zginęli m.in. wszyscy mnisi z klasztorów w Kudaku, Kijowie, Czarnobylu, Byszowie czy Adamgrodzie. Okolski zabiegał w Rzymie o ustanowienie święta ku czci męczenników dominikańskich z 1648 r., ale jego starania nie zostały uwieńczone sukcesem. Sprawa jest słabo zbadana, w związku z czym trudno wyjaśnić przyczyny tego niepowodzenia. W każdym razie ojciec prowincjał zareagował na tragiczne wydarzenia książką. W 1649 r. wydał w Krakowie niewielką pracę „Żołnierz duchowny w cnotach postępku szpiegując do nieba wchodzi...". Głównym zamysłem tego dziełka było nawoływanie do przestrzegania zasad chrześcijańskiej moralności, która w obliczu masowych morderstw i okrucieństw nie powinna być przytłoczona pragnieniem zemsty.

„Jak Ruś spolszczała"

Najbardziej znanym i najszerzej rozpowszechnianym dziełem Okolskiego był jednak trzytomowy herbarz, który ukazał się drukiem pod tytułem „Orbis Polonus", wydany w Krakowie w latach 1641, 1643 i 1645. To niezwykle obszerne dzieło zawierało informacje o rodzinach szlacheckich Rzeczypospolitej, pogrupowanych według używanych przez nie herbów, ułożonych w porządku alfabetycznym. Okolski opierał się w nim na europejskiej literaturze heraldycznej oraz polskich dziełach historycznych, a jego praca – jak napisała znawczyni przedmiotu, Magdalena Piskała, autorka obszernej monografii dotyczącej „Orbis Polonorum" – „aż kipiała od erudycji". Wydaje się jednak, że nie to było najważniejszym osiągnięciem Okolskiego. Jego herbarz odegrał bowiem rolę kompendium wiedzy heraldycznej i genealogicznej, w którym dokonano dzieła wmontowania szlachty ruskiej nawiązującej do »

eprasa.pl 0aa789525f




ORBIS
POLONVS,
Splendoribus cæli: Triumphis mundi:
Pulchritudine animantium: Decore aquatilium:
Naturæ excellentia reptilium,
CONDECORATVS.
IN QVO
ANTIQVA SARMATARVM GENTILITIA,
PERVETVSTÆ NOBILITATIS POLONÆ
INSIGNIA,
Vetera & Noua Indigenatus meritorum præmia & Arma,
specificantur & relucent.
Nunc primùm, vt Latinitati consecratus, ita claritate & veritate perficitur.
AVTHORE
R. P. Fr. SIMONE OKOLSKI, S. Th. Bacc. Ordinis Prædic. Provincia Ruſsiæ, Priore Camen. & Illustriſſ: Potocij Campiductoris Regni, Ordinario Concionatore.
CRACOVIÆ,
In Officina Typographica Francisci Cæsarij,
Anno Dñi, 1641.

Najbardziej znanym i najszerzej rozpowszechnianym dziełem Szymona Okolskiego był trzytomowy herbarz, który ukazał się drukiem pod tytułem „Orbis Polonus", a zawierał informacje o rodzinach szlacheckich Rzeczypospolitej

» tradycji Rusi kijowskiej w system podań i legend tworzących sarmacką wspólnotę szlachecką. W dziele Okolskiego odnajdujemy kilkadziesiąt legend herbowych rodów ruskich: Bokiejów, Hojskich, Kierdejów, Sołtanów, Jełowickich, Korsaków, Kurcewiczów, Sieniutów, Aksaków, Wielhorskich, Niemiryczów, Pociejów, Siemaszków, Chaleckich i wielu innych – wpisujących te rodziny w schemat sarmacki, a przez to naturalizujących ich niejako we wspólną szlachecką tradycję elity Rzeczypospolitej. Na ten fenomen zwróciła uwagę wybitna ukraińska badaczka Natalia Jakowenko. Owa „sarmatyzacja" szlachty ruskiej, w wielu przypadkach wciąż jeszcze prawosławnej, w latach 30. i 40. XVII w. była częścią procesu integracyjnego, który wobec wojen kozackich połowy tego stulecia, prowadzących w konsekwencji do opowiedzenia się Zaporoża po stronie Moskwy, przyniósł polonizację i katolicyzację szlachty ruskiej, w imię stanowej i państwowej solidarności. To właśnie Szymon Okolski, piewca szlacheckiej Rusi i stanowczy krytyk Kozaczyzny, miał istotny udział w skomplikowanym procesie, w efekcie którego Jan Paweł, potomek zasłużonego dla prawosławia ruskiego rodu Woroniczów, został polskim poetą i arcybiskupem warszawskim oraz prymasem Królestwa Polskiego w latach 1828–1829, a spadkobierca innej ruskiej familii Władysław Wielhorski, zmarły na emigracji w 1967 r., jednym z ojców założycieli polskiej sowietologii, by nie wdawać się już w inne możliwe nieprzeliczone egzemplifikacje. Dzieło Okolskiego pokazuje, że to, „jak Ruś spolszczała", było w pewnej mierze skutkiem procesu wcześniejszej swoistej rutenizacji szlachty polskiej.

Szymon Okolski zmarł we Lwowie w 1653 r. Wraz z polską, ruską, ormiańską i żydowską społecznością miasta przeżył oblężenie wojsk kozacko-tatarskich w 1648 r. i nie dożył kolejnego kozacko-moskiewskiego w 1655 r. Na jego oczach Russia florida – Ruś kwitnąca – stała się polem okrutnej wojny i areną obustronnych okrucieństw, których tak bardzo pragnął uniknąć.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. EAST NEWS/COLLECTION ROGER-VIOLLET



MAREK MADEJ

SUMY NEAPOLITAŃSKIE

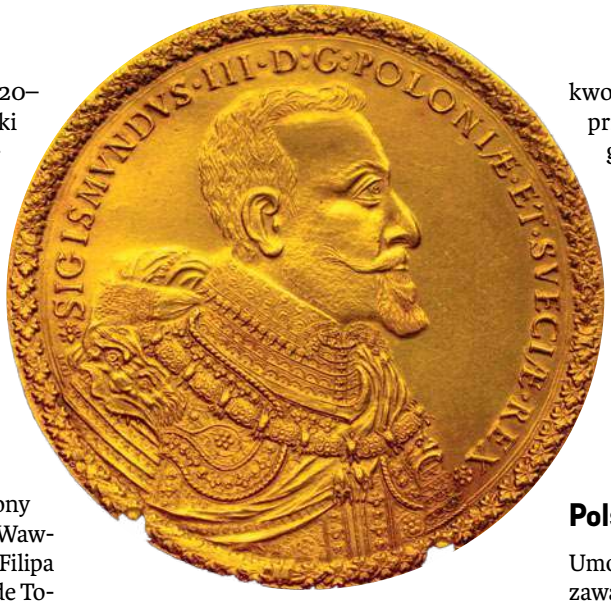
CZY HISZPANIA JEST DZIŚ WINNA POLSCE OK. 350 MLN ZŁ PLUS ODSETKI?

POWRÓCIWSZY DO KSIĘSTWA BARI, BONA SFORZA D'ARAGONA W PAŹDZIERNIKU 1557 r. UDZIELIŁA KRÓLOWI HISZPANII FILIPOWI II POŻYCZKI W WYSOKOŚCI 430 TYS. DUKATÓW

Dukat to była moneta o wadze ok. 3,55 g, z 24-karatowego złota, bita od 1284 r. w Wenecji, a później w obiegu wielu państw europejskich. Kilogram złota takiej próby (986) jest dziś wart ok. 152 tys. zł; 430 tys. dukatów ważących ok. 1505 kg osiągnęłoby zatem cenę ok. 229 mln zł (bez odsetek i waloryzacji siły nabywczej pieniądza). Jeden dukat w średniowieczu miał siłę nabywczą dzisiejszych 1–1,5 tys. zł. Idąc więc dalej, wysokość sumy pożyczonej przez Bonę możemy oszacować po waloryzacji na 450–600 mln zł. Co do odsetek – maksymalnie w średniowieczu sięgały one 5 proc. sumy (w prawie rzymskim justyniańskim 6 proc., od 1500 r. na ziemiach habsburskich – 5 proc.). Hiszpania spłacała odsetki w latach 1557–1672, czyli przez ok. 115 lat. Pozostaje okres 350 lat bez ich spłacania, rocznie ok. 21,5 tys. dukatów, czyli nominalnie ok. 10 mln zł »

eprasa.pl 0aa789525f

» (a z waloryzacją co najmniej 20–30 mln). Za 350 zaległych lat odsetki wyniosłyby więc 7–10 mld zł. W sumie kwota długu (z waloryzacją) to 450–600 mln zł plus zaległe odsetki 7–10 mld zł dla wszystkich wierzycieli. Dla Polski (część po Zygmuncie Auguście i Annie Jagiellonce) byłoby to ok. 65 proc., czyli 290–390 mln zł kwoty długu i 4,5–6,5 mld zł odsetek.



Złoty dukat prezentujący portret Zygmunta III Wazy, wybity w 1621 r.

Dwa testamenty

Przy umowie pożyczki w imieniu Bony działał jej zaufany dworzanin Jan Wawrzyniec Pappacoda, w imieniu króla Filipa jego namiestnik Fernando Alvarez de Toledo, książę Alba. Wkrótce (8 listopada) Bona zapadła na zdrowiu. Półprzytomna, 17 listopada, podpisała przygotowany przez Pappacodę testament, w którym przekazywała księstwo Bari i Rossano królowi Filipowi, a synowi Zygmuntowi Augustowi, mimo iż formalnie czyniła go głównym spadkobiercą, zapisywała niewiele. Następnego dnia królowa poczuła się lepiej i sporządziła nowy testament, w którym tym razem prawie cały swój majątek przekazała synowi Zygmuntowi Augustowi (w tym księstwo Bari i Rossano), a czterem córkom po 50 tys. dukatów z wierzytelności wobec Filipa. Bona została najprawdopodobniej otruta przez Pappacodę na polecenie Filipa II i zmarła 19 listopada 1557 r. Po jej śmierci Pappacoda przystąpił do wykonania pierwszego testamentu, skutkiem czego w 1558 r. jej dobra w Bari i Rossano przejęli wysłannicy Filipa II. Zygmunt August natomiast podjął starania o wykonanie drugiego (późniejszego) testamentu matki.

Według dostępnych źródeł postępowania prawne w sprawie spadku po Bonie oraz starania o zwrot sumy pożyczki trwały z przerwami prawie 250 lat, do końca XVIII w. Nie są znane jakiekolwiek ustalenia sądowe dotyczące ważności wspomnianych wyżej testamentów. Nie wiemy także, czy została zawarta jakaś ugoda. W chwili śmierci Bona miała cztery żyjące córki: Izabellę (królowa węgierska, żona króla Jana Zapolyi, zmarła w 1559 r.), Zofię (księżna Brunszwiku, żona księcia Henryka II Młodszego, zmarła w 1575 r.), Katarzynę (królowa Szwecji, małżonka Jana III Wazy, zmarła w 1583 r.) i Annę (późniejsza królowa, a formalnie król Polski, żona Stefana Batorego, zmarła w 1596 r.) oraz jednego syna, króla Zygmunta II Augusta (zmarł w 1572 r.). Gdyby testament z 18 listopada 1557 r. uznano za ważny, wówczas z pożyczki udzielonej Filipowi każda z czterech wskazanych córek powinna otrzymać po 50 tys. dukatów, pozostała kwota 230 tys. dukatów powinna zaś przypaść Zygmuntowi Augustowi jako głównemu spadkobiercy i dziedzicowi Bari i Rossano. Jeśli natomiast ważność utrzymałby testament z 17 listopada, wówczas zobowiązanie ulegałoby wygaśnięciu ipso iure poprzez tzw. confusio, czyli zejście się wierzytelności i długu w jednej osobie (dotychczasowy dłużnik stawałby się swoim wierzycielem jako dziedzic księstw Bari i Rossano).

WYPŁACANIE PRZEZ HISZPANIĘ CO NAJMNIEJ DO 1672 r. ODSETEK OD DŁUGU WSKAZUJE JASNO, ŻE PAŃSTWO TO UZNAWAŁO ROSZCZENIA JAGIELLOŃSKIE (I RZECZYPOSPOLITEJ) ZA ZASADNE

Polskie starania

Umowa pożyczki Filipa z Boną to umowa zawarta między królem Hiszpanii (i Neapolu) a księżną (władczynią) Bari. Jeszcze za życia Zygmunta Augusta Filip II zwrócił mu pewną część pożyczki (lub procentów od niej). Wypłacono je w hiszpańskich talarach w srebrze. Wiadomo, iż dalsze zabiegi o zwrot pożyczki czyniła w Rzymie Anna Jagiellonka po 1575 r. przez kardynała Hozjusza, biskupa warmińskiego. W ich wyniku Filip II zwrócił ok. 40 tys. dukatów lub należne jej odsetki (za okres 1557–1575), w dużej części w naturze. Nie są znane szczegóły tego zwrotu ani warunki, na jakich on nastąpił. Wiemy natomiast, że królowa Anna Jagiellonka zobowiązała się zrzec dóbr i majątku odziedziczonego po matce (Bonie) i bracie (Zygmuncie Auguście) 1 maja 1576 r. (jej koronacja) i wypełniła to zobowiązanie w lutym 1580 r. Rzeczypospolitej przypadałoby więc 230 tys. plus 50 tys. (po Annie), czyli 280 tys. dukatów (równowartość dzisiejszych ok. 152 mln zł). Pozostałe trzy razy po 50 tys. dukatów to były przypadające Katarzynie, Izabeli i Zofii Jagiellonkom części, które na Rzeczpospolitą nie przeszły.

Starania o zwrot pożyczki podjął Zygmunt III Waza, wysyłając na dwór hiszpański Filipa IV swego dyplomatę, i odzyskał „zaległe procenta". W czasie panowania Jana Kazimierza obniżono dobrowolnie stopę procentową. W 1668 r. Rzeczpospolita przekazała Janowi Kazimierzowi (po jego abdykacji) w dożywocie „używalność" procentów z pożyczki hiszpańskiej. Wbrew temu Kazimierz zapisał ową „używalność" Annie Gonzadze de Cleves, siostrze zmarłej żony, wdowie po palatynie reńskim, i jej córce Annie Henrietcie, księżnej Kondeuszowej. Po jego śmierci pojawiła się pewna liczba pretendentów do tego zapisu i Hiszpa-

FOT. ARCHIWUM

eprasa.pl 0aa789525f

nia, korzystając z tej niepewności prawnej, zawiesiła spłaty procentów. Mogło to nastąpić po 1672 r. Wynika z tego, że prawdopodobnie w okresie 1575–1672 Hiszpania, uznając jednak roszczenia jagiellońskie (i samej Rzeczypospolitej), wypłacała przynajmniej oprocentowanie od pożyczki udzielonej przez Bonę. Pod koniec panowania Augusta III prymas Władysław Łubieński wysłał w tej sprawie poselstwo do króla Hiszpanii Ferdynanda VI, jednak bez rezultatu. Ostatni znany wysiłek uczyniono w 1815 r. Królestwo Polskie przygotowało stosowne materiały, nic nie wiadomo jednak o oficjalnym wystąpieniu pod adresem Hiszpanii.

Pożyczka

Przyjrzyjmy się bliżej tej pożyczce i jej warunkom. Wierzycielem pierwotnym, czyli pożyczkodawcą, była Bona Sforza d'Aragona, polska królowa wdowa. Pożyczkodawcą na pewno nie było Królestwo Polskie, umowy pożyczki z Filipem II nie zawarł bowiem polski monarcha. Jednak mimo że w momencie zawarcia kontraktu pożyczki nie powstało zobowiązanie (a później dług) Królestwa Hiszpanii wobec Polski jako państwa, to dużą część wierzytelności z tej pożyczki Rzeczpospolita odziedziczyła.

Udzielając pożyczki, Bona działała i jako osoba prywatna, i jako księżna Bari, i Rossano. Wierzytelność tę odziedziczyły dzieci Bony jako osoby prywatne (osoby prawa cywilnego). Testament króla Zygmunta Augusta jest znany, został sporządzony w Warszawie 6 maja 1571 r. Zygmunt August do spadku po sobie powołał trzy swoje siostry: Annę, Katarzynę i Zofię – siostry odziedziczyły zatem w częściach równych jego część wierzytelności po matce (wynikającej z pożyczki Bony Filipowi II). Zapisem jednak testamentowym ograniczył Zygmunt ich prawa czasowo (do ich śmierci): „Nieprzyjaciółka nasza śmierć nie przepuszcza nikomu, przyjdzie więc dzień, gdy nie stanie żadnej z trzech sióstr. Wówczas te wszystkie legata Ich Mościom opisane na Koronę Polską i na Wielkie Księstwo Litewskie jako na jedną Rzeczpospolitą, ale tylko ku pospolitej potrzebie, nie ku czyjej inszej i ku ozdobie potocznej, potrzebnej a uczciwej oddajemy i odkazujemy". Po śmierci sióstr więc i ta część owej wierzytelności przechodziłaby na państwo polskie.

W okresie nieistnienia państwowości polskiej (zabory 1795–1918) nie można było podnosić roszczeń wobec Hiszpanii, choć – jak wiadomo – był taki zamiar w 1815 r. (Królestwo Kongresowe). II Rzeczpospolita w okresie 1918–1945 nawet nie przypomniała o istnieniu roszczeń wobec Hiszpanii. Podobnie zachowała się PRL (1945–1989) i III RP (1989- obecnie). Wygląda zatem, że w okresie 1815–2019 sprawa ta nie została w ogóle oficjalnie (prawnie) podjęta. Tego typu stan można zakwalifikować jako porzucenie roszczenia, jego konsekwencją jest wygaśnięcie roszczeń. Jeśli nie, to i tak zadziałało wobec niego przedawnienie (upłynęło ponad 200 lat od ostatnich udokumentowanych działań wobec Hiszpanii po śmierci Augusta III).

Dłużnik

Dłużnikiem pierwotnym omawianego kontraktu pożyczki był król Filip II Habsburg (hiszpański), a więc suweren. Według stanu prawnego na rok zaciągnięcia pożyczki monarcha Hiszpanii działał skutecznie jako suweren, a więc jako państwo hiszpańskie. Królestwo Hiszpanii nie straciło swej podmiotowości, identyczności prawnej i ciągłości do dziś, formalnie może być więc nadal dłużnikiem sum pożyczonych przez Filipa. Tzw. prawem właściwym dla tej umowy było ówczesne prawo narodów (ius gentium) i prawo cywilne obowiązujące wówczas w księstwach Bari i Rossano (jako lennach Królestwa Neapolu), czyli najprawdopodobniej średniowieczne prawo rzymskie oparte na kodeksie Justyniana. Takie też prawo stosowałoby się do sporządzonych przez Bonę w Bari testamentów.

Do przedawnienia roszczeń z tej wierzytelności stosowałoby się zatem prawo cywilne miejsca zawarcia umowy pożyczki i ówczesne prawo narodów (dziś zwane prawem międzynarodowym). Prawo cywilne ówczesnej Europy (oparte na rzymskim,) ale także prawo narodów obowiązujące w stosunkach między monarchami/państwami również w sporej części oparte na rzymskim, dopuszczało instytucję przedawnienia. Termin przedawnienia roszczeń z kontraktu pożyczki w średniowiecznej Europie wynosił 30 lat. Rozważając kwestie przedawnienia roszczeń wynikłych z niespłacenia pożyczki udzielonej Filipowi II, należy przypomnieć, iż spadkobiercy Bony i ich spadkobiercy podjęli działania prawne w kierunku jej odzyskania (Zygmunt August, Anna Jagiellonka, Rzeczpospolita w osobach kolejnych monarchów), tak więc termin przedawnienia uległ co najmniej wstrzymaniu na cały czas procesów sądowych i istnienia sporu. Wypłacanie przez Hiszpanię co najmniej do 1672 r. odsetek od długu wskazuje jasno, że państwo to uznawało roszczenia jagiellońskie (i Rzeczypospolitej) za zasadne.

Spadkobiercom testamentowym Bony udało się skutecznie zrealizować tylko część roszczeń (odsetki do 1672 r.). Oznacza to, że nawet kiedy Rzeczpospolita była mocarstwem europejskim, nie było to łatwe. Tym bardziej dziś.

We współczesnej praktyce państw prawne dochodzenie roszczeń, które powstały przed kilkuset laty, a więc mają w zasadzie charakter wyłącznie historyczny, nie jest praktykowane. Nie oznacza to, że Hiszpania nie mogłaby jednak uznać istnienia tego roszczenia (lub jego części) i zawrzeć z Polską np. ugodę przewidującą prawne zamknięcie sprawy poprzez wypłatę wynegocjowanej sumy długu i odsetek.

Medal z popiersiem królowej Bony Sforzy



eprasa.pl 0aa789525f

O „TECE STAŃCZYKA" I STAŃCZYKACH

GDY W ZABORZE ROSYJSKIM NASILAŁY SIĘ POPOWSTANIOWE REPRESJE, SEJM KRAJOWY W GALICJI PRZYJĄŁ W 1866 r. ADRES SKIEROWANY DO CESARZA KOŃCZĄCY SIĘ SŁOWAMI: „PRZY TOBIE, NAJJAŚNIEJSZY PANIE, STOIMY I STAĆ CHCEMY". DEKLARACJA TA BYŁA UWAŻANA ZA PROGRAM POLITYCZNY KONSERWATYSTÓW, KTÓRZY ZMIERZALI DO UZYSKANIA NAJWIĘKSZEJ MOŻLIWEJ AUTONOMII



Stanisław Tarnowski | Józef Szujski | Michał Bobrzyński | Stanisław Koźmian

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA 3X: NAC

W 1869 r. na łamach „Przeglądu Polskiego" została opublikowana „Teka Stańczyka". Jej twórcy podjęli próbę dokonania ważnego przewrotu umysłowego na ziemiach polskich po klęsce powstania styczniowego. Jak pisał Stanisław Koźmian: „dążyli do naprawy obyczaju politycznego [Polaków]". Szczególnie ważne było dla nich pojęcie myślenia państwowego.



PIOTR HAPANOWICZ

Próbowali uczyć sami siebie świadomości państwowej, a potem społeczeństwo, nie dysponując jeszcze niepodległym państwem. Stańczycy zapoczątkowali wielką narodową debatę na temat postaw i zachowań Polaków przeszłości, na temat stosunku do dawnej Rzeczypospolitej i do państw zaborczych.

Geneza

Na początku doby autonomicznej w Galicji, w 1866 r. doszło do powstania w Krakowie czasopisma „Przegląd Polski", które do wybuchu I wojny światowej było organem myśli politycznej krakowskich konserwatystów. Twórcami pisma byli: hrabia

eprasa.pl 0aa789525f

Stanisław Tarnowski, Stanisław Koźmian, Józef Szujski oraz hrabia Ludwik Wodzicki. Wszyscy czterej byli stosunkowo młodzi, mieli po ok. 30 lat, ale posiadali już pewne doświadczenie polityczne. Udział w powstaniu styczniowym, więzienie i poświadczona odwaga umożliwiły przyszłym stańczykom przeprowadzenie z czystym sumieniem krytyki kontynuowania polityki zbrojnej walki o niepodległość. Po upadku powstania stali się przeciwnikami wszelkich manifestacji patriotycznych, które mogłyby wywołać nowy rozlew krwi. Sprzeciwiali się kontynuowaniu tradycji insurekcyjnej, romantycznym wzorcom myślenia o polityce.

Głównym ideologiem „Przeglądu" został historyk Józef Szujski. W 1867 r. opublikował istotną broszurę „Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważeniu w chwili obecnej", która stała się programowym tekstem „Przeglądu Polskiego". Zwracał uwagę na konieczność zupełnego zwrotu w polityce narodowej i krajowej; w narodowej przez stanowcze zakończenie epoki organizacji konspiracyjnej, przez potępienie liberum conspiro, w bieżącej polityce krajowej zaś przez oparcie się na Zachodzie przeciw Moskwie, w szczególności przez znalezienie politycznego porozumienia z katolicką Austrią, która niejako była „skazana" w przyszłości na militarne starcie z Rosją. Rozwijając te postulaty, Szujski zakwestionował ideę konspiracji jako nieodłącznego elementu polskiego myślenia o niepodległym bycie narodu. Analizując dzieje Polski, zwracał uwagę przede wszystkim na przejawy lekceważenia rządów, państwa, siły politycznej i militarnej, a także zbytnie przywiązanie do wolności indywidualnej, rozumianej wąsko i egoistycznie. Za ostatni przykład zgubnego triumfu liberum conspiro uważał powstanie styczniowe. Głosił konieczność rozpoczęcia przebudowy świadomości politycznej i społecznej w takim kierunku, który zapewni wzrost wewnętrznej siły społeczeństwa, opowiadał się za pracą organiczną. Szujski pisał, że „sprawa polska jest dla nas rzeczą istoty, a nie formy; bytu, a nie formy bytu", ale Stańczycy bardzo mocno podkreślali, że nie ma czego szukać w Europie Polska, która nie przezwyciężyła moralnego i obyczajowego zapóźnienia wynikłego – wedle sławnej formuły Szujskiego – z „młodszości naszego cywilizowanego rozwoju". Stańczycy chętnie powoływali się także na słowa ks. Waleriana Kalinki, który był jednym z ich przyjaciół i duchowych nauczycieli, że „nikt trwale i szeroko nie może budować, kto nie buduje jawnie".

Jak pisał Marcin Król, walka, którą Stańczycy zainicjowali, nie była skierowana przeciwko powstaniu, ale przeciw sentymentom popowstaniowym. Celami ich ataku były: patriotyczna demagogia, demonstracje uczuciowego patriotyzmu, mówienie o tym, że niepodległość jest jedynym celem godnym Polaka. Szkoła stańczykowska przeciwstawiała się temu ostentacyjnemu patriotyzmowi gestu. Szujski pisał z ironią: „Dziwna też to zaiste rzecz, jak nasi tak zwani gorący patrioci [...] ciągle wołają: Krzycz i demonstruj, żeś Polak, bo przestaniesz być Polakiem". Istotę praktycznego patriotyzmu Stańczyków wyjaśniają słowa Stanisława Koźmiana zawarte w „Rzeczy o roku 1863", iż „dla społeczeństwa podbitego i państwowo upadłego najwznioślejszym i najszczytniejszym celem pozostaje wprawdzie odzyskanie niepodległości, ale najpierwszym obowiązkiem musi być zachowanie bytu narodowego".

„Teka Stańczyka"

Publikacja „Teki Stańczyka" przypadała na okres szczególny dla Galicji. Sukces Węgrów w 1867 r. w monarchii habsburskiej zmobilizował Polaków. Oni także chcieli współrządzić cesarstwem i być ważną jego częścią. Rok 1869 był kulminacyjnym momentem w staraniach polityków galicyjskich o rozszerzenie autonomii kraju. Ostatecznie tzw. kampania rezolucyjna nie przyniosła spodziewanych rezultatów, nie spełniły się nadzieje na uzyskanie dla Galicji „najzupełniejszej autonomii". To niepowodzenie wywołało w społeczeństwie zrozumiałe rozgoryczenie. Publicyści „Przeglądu Polskiego", pragnąc zapobiec dalszemu rozszerzeniu nastrojów patriotycznych i zarazem opozycyjnych wobec Wiednia, postanowili sięgnąć po satyrę polityczną. Jak pisał Stanisław Koźmian: „Satyra nie tylko najsilniej, najjaskrawiej uwydatnia ujemne strony rzeczy i ludzi, ale najdzielniej je ubezwładnia". Na łamach „Przeglądu Polskiego" od maja do grudnia w 1869 r. opublikowali serię 20 anonimowych tekstów w formie listów, zwanych „Teką Stańczyka", potem wydanych w 1870 r. w osobnej książeczce.

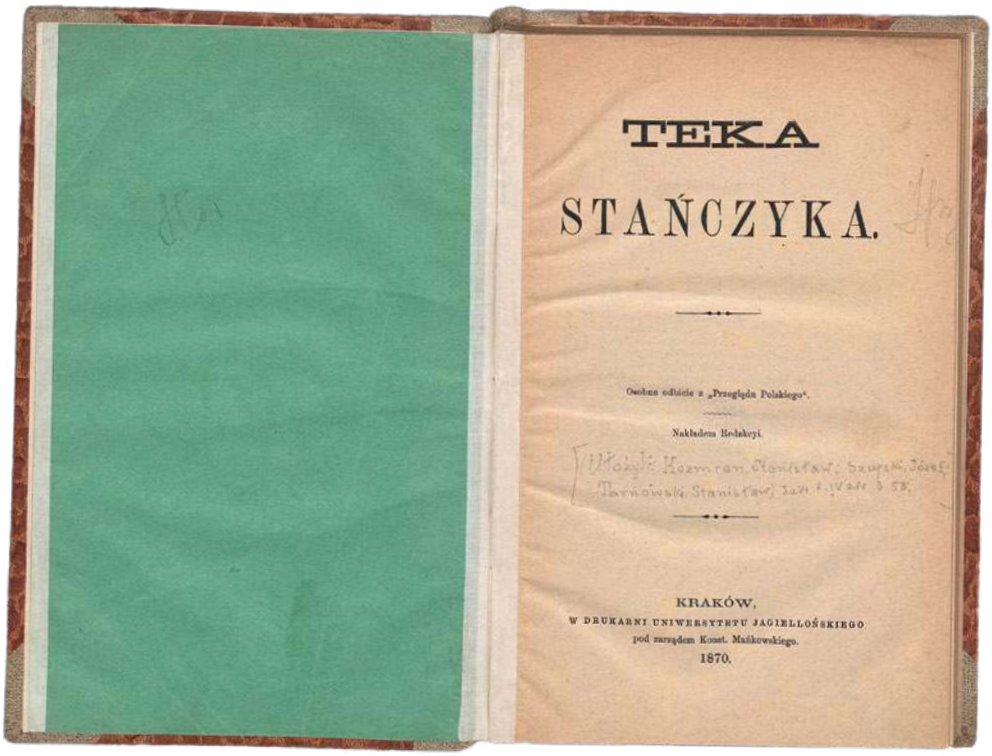
Był to cykl listów satyrycznych zebranych rzekomo w zaświatach przez błazna królewskiego Stańczyka, który w polskiej tradycji narodowej stał się symbolem rozsądku i sceptycyzmu politycznego. Autorami „Teki" byli twórcy „Przeglądu Polskiego". Najwięcej listów wyszło spod pióra Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Koźmiana. Fikcyjni korespondenci, noszący cechy znanych polityków Galicji, wypowiadali się w tych listach na temat aktualnych spraw, rzeczywistych postaci, miejsc, czasopism ukrytych pod czytelnymi pseudonimami.

Autorzy w sposób błyskotliwy, a zarazem ostry i zdecydowany, wystąpili przeciw idei „nieprzerwalności powstania", czyli kontynuowania działalności konspiracyjnej i niepodległościowej, przeciw „demonstracjomanii", ponieważ demonstracje nie tylko odciągają od „codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy", ale co gorsza „mogą wywołać represję lub też znowu rozpaczliwy czyn", a także przeciw tromtadracji, czyli polityce głośnych, efektownych, ale w istocie pustych haseł. Tarnowski podkreślał potem, że autorzy „Teki" chcieli: „upomnieć patriotyzm lekkomyślny, który chcąc dobrze, dobrze myśleć i działać nie umie; opamiętać patriotyzm sentymentalny, dziecinny, który pozór bierze za rzecz, a frazes za czyn; wreszcie odsłonić patriotyzm fałszywy, faryzejski, któremu ojczyzna służy za pretekst, a celem mniej lub więcej świadomym jest zawsze »ja« tego lub owego człowieka". „Teką Stańczyka" grono krakowskich konserwatystów toczyło batalię na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, na polu interesów ogólnonarodowych zwalczało myśl polityczną radykalnej postyczniowej emigracji. Po drugie, w sferze polityki prowincjonalnej wystąpiło z atakiem na galicyjskich demokratów z powodu głoszonej przez nich w trakcie kampanii rezolucyjnej taktyki biernej opozycji, bez uwzględnienia negatywnych skutków takiej polityki. W obu przypadkach stańczycy posłużyli się zarzutem w stosunku do demokratów o dążenie do pchnięcia społeczeństwa na drogę konspiracji i powstania. Publikacja ta umocniła pozycję krakowskiego środowiska konserwatywnego na scenie politycznej Galicji.

Jak u Matejki

„Teka Stańczyka", jak pisał Szujski, wywołała „piekielny hałas" inspirowany przez prasę reprezentującą obóz ówczesnych galicyjskich demokratów. Koźmian stwierdzał, że „Teka" była „skutecznym środkiem", czego dowodem było „wywarte przez nią wrażenie". Ataki skierowane na ideę ciągłości powstania, na »

eprasa.pl 0aa789525f


TEKA

STAŃCZYKA.

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego".

Nakładem Redakcyi.

KRAKÓW,
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Konst. Mańkowskiego.
1870.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

» powierzchowny patriotyzm, na cyniczne manipulowanie opinią publiczną dla celów osobistej kariery, a także na skrajny konserwatyzm i snobizm hrabiowsko-austriacki – wywołały szeroki oddźwięk w Galicji.

Skąd wzięła się nazwa stańczycy? Tak, pogardliwe w zamyśle ochrzciła twórców „Teki" „Gazeta Narodowa", pismo lwowskich demokratów, chcąc tym określeniem ośmieszyć i zdeprecjonować środowisko „Przeglądu Polskiego". Tu jednak nastąpiła rzecz nieoczekiwana, autorzy omawianej satyry politycznej nie poczuli się urażeni czy obrażeni, wprost przeciwnie, nazwę uznali za pochlebną i swoje nowe miano zaakceptowali. Stanisław Tarnowski odnotował: „Nazwę przyjęliśmy chętnie, nawet wdzięcznie, wiedząc z historii, że przydomek dany w gniewie przez przeciwnika na wzgardę i urągowisko staje się czasem tytułem chwały". Stańczycy odwołali się bowiem nie tyle do historycznego błazna króla Zygmunta Starego, o którym niewiele przecież wiadomo, ile do tytułowej postaci z obrazu Jana Matejki „Stańczyk w czasie balu na dworze królowej Bony, kiedy wieść przychodzi o utracie Smoleńska". Dzieło powstało w 1862 r. Stańczyk na obrazie Matejki to właściwie nie błazen, ale mądry, przenikliwy, dalekowzroczny i zatroskany o przyszłość jagiellońskiego państwa myśliciel. Takiego Stańczyka środowisko Tarnowskiego uznało za patrona i symbol swej „szkoły patriotyzmu politycznego".

Z czasem zatarła się pamięć o historycznych okolicznościach powstania „Teki Stańczyka". Natomiast w społecznej świadomości utrwalił się mocno jej mit jako aktu wyznania krakowskich konserwatystów rezygnacji z ideału niepodległości narodu. Stanisław Tarnowski żalił się po latach: „Zostaliśmy uznani za zdrajców kraju przez »patriotyczną opinię«". Było to o tyle bolesne dla stańczyków, że niepodległość, chociaż odległa, była dla nich, jak wielokrotnie powtarzali, celem najwyższym, kształtowanie świadomości politycznej narodu zaś zadaniem, które miało przybliżać osiągnięcie tego celu.

Ich program ideowy był umiarkowanie liberalny, natomiast na forum politycznym działali już pod szyldem konserwatystów. Ocena stanu społeczeństwa polskiego dokonana przez stańczyków była tak krytyczna, że zmiany domagali się znacznie częściej niż kontynuacji. Opowiadali się za rozwojem Galicji, za sprawnym systemem rządzenia, silnymi samorządami, za upowszechnieniem oświaty. Redaktorzy „Przeglądu Polskiego" postulowali równouprawnienie narodowe ludności ukraińskiej i równe prawa dla Żydów w sferze społecznej, politycznej i ekonomicznej, dostrzegali także konieczność rozwiązania kwestii chłopskiej. „Teką Stańczyka" niestety zamknęli sobie drogę do skupienia wokół siebie liczącej się grupy politycznej.

Dalsze losy

Wszelkie więc próby wcielenia w życie po 1870 r. programu przebudowy stosunków społecznych Galicji, jaki deklarowali na łamach „Przeglądu", napotykały opór stronnictwa demokratycznego. Nawet nie ze względu na różnice ideologiczne, bo te w owym czasie nie były jeszcze zbyt ostre. Od współpracy z konserwatystami powstrzymywało demokratów wspomnienie o tym, jak zostali wykpieni i ośmieszeni w „Tece Stańczyka". Psychologiczny klincz, jaki wytworzyła „Teka" między konserwatystami a demokratami, powodował, że inicjatywy stańczyków w Sejmie Krajowym były z zasady torpedowane przez demokratyczną opozycję.

Swoistym odbiciem ideologii stańczykowskiej w nauce stała się tzw. szkoła historyczna krakowska, bardzo zasłużona w udoskonaleniu metod badawczych. Jej przedstawiciele, a przede wszystkim ks. Walerian Kalinka, Józef Szujski i Michał Bobrzyński, dali nową, sugestywną interpretację dziejów Polski, a zwłaszcza przyczyn jej upadku. Szkoła ta, zwana czasem pesymistyczną, głosiła, że rozbiory nastąpiły z winy samego narodu, słabości władzy monarszej, a szczególnie nadmiernej wolności szlachty, natomiast powstania po utracie niepodległości prowadziły do jeszcze większych nieszczęść. Odrzucali mit Polski będącej ofiarą historii i uznali współodpowiedzialność Polski za dzieje.

Z biegiem czasu stańczycy, zawarłszy sojusz z konserwatystami spod znaku „Czasu", osiągnęli wysokie stanowiska naukowe, akademickie i polityczne. Byli posłami na Sejm Krajowy, Szujski i Tarnowski pełnili funkcję rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także wysokie godności w Akademii Umiejętności, Koźmian został dyrektorem Teatru Miejskiego w Krakowie. Przez kilkadziesiąt lat, od drugiej połowy lat 60. XIX w., aż po pierwsze lata XX stulecia, stańczycy dzierżyli „rząd dusz" w podwawelskim grodzie, a także w znaczącym stopniu kształtowali życie polityczne w całej ówczesnej Galicji. Ich kariera zakończyła się w związku z pojawieniem się partii masowych: ludowców, socjalistów i narodowych demokratów. Ugrupowania elitarne, takie jak konserwatyści, zaczęły tracić na znaczeniu. Epigoni tej formacji w znacznej mierze poparli marszałka Józefa Piłsudskiego po 1926 r. i wywarli pewien wpływ na kształt przyszłej konstytucji kwietniowej.

eprasa.pl 0aa789525f

RZECZPOSPOLITA AKADEMICKA

POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE W CZASACH II RP

WEDŁUG MAŁEGO ROCZNIKA STATYSTYCZNEGO Z ROKU 1936 W ROKU AKADEMICKIM 1934/1935 W POLSCE STUDIOWAŁO 36,7 TYS. OSÓB. PORÓWNUJĄC TĘ LICZBĘ Z 1,3 MLN STUDIUJĄCYCH DZIŚ, WIELKOŚĆ TA WYDAJE SIĘ NIEZNACZNA

PATRYK TOMASZEWSKI

Należy jednak pamiętać, że wykształcenie wyższe w II RP było bardzo elitarne, a sieć szkół akademickich obejmowała tylko największe miasta: Warszawę, Lwów, Kraków, Poznań, Wilno, Lublin i znacznie mniejszy Cieszyn. Niewielka liczba studiujących nie szła jednak w parze z małym zaangażowaniem społecznym, politycznym, naukowym, sportowym i kulturalnym studentów. We wszystkich typach szkół wyższych działających w okresie II RP rozwijały się stowarzyszenia naukowe, kulturalne, samopomocowe, sportowe, religijne i ideowo-wychowawcze.

Studencka samorządność

Największymi organizacjami samopomocowymi były Bratnie Pomoce, które posiadały pod swoją opieką stołówki, domy akademickie, a nawet sanatoria. Wydawały skrypty dla studentów – spełniały funkcję podobną do dzisiejszego samorządu studenckiego, choć miały znacznie większe kompetencje i autonomię. Życie ideowo-wychowawcze najczęściej toczyło się w organizacjach o charakterze politycznym. W czasach II RP na polskich uczelniach stowarzyszenia te reprezentowały większość nurtów politycznych. Można śmiało powiedzieć, że były światłem odbitym „dorosłej” »



FOT. NAC

Przedstawiciele korporacji studenckich w pochodzie podczas inauguracji roku akademickiego 1933/1934 na Uniwersytecie Poznańskim

eprasa.pl 0aa789525f

» polityki. Tyle że dominującym nurtem nie była sanacja, która po przewrocie majowym przejęła ster rządów, ale obóz narodowy. Do największych organizacji należał Związek Akademicki Młodzież Wszechpolska, który reprezentował prawe, nacjonalistyczne skrzydło polskiej młodzieży akademickiej związane ideowo i politycznie z obozem narodowym. Prężnie działającym stowarzyszeniem o profilu chrześcijańskim było Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie". Młodzież związana z obozem piłsudczykowskim o poglądach demokratycznych i postępowych działała w Organizacji Młodzieży Narodowej, a później w Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Organizacja, choć podkreślała swoją apolityczność, najbliżej ideowo związana była ze Związkiem Naprawy Rzeczypospolitej. W celu skutecznej walki z dominującą na uczelniach Młodzieżą Wszechpolską utworzono w roku 1930 Legion Młodych – Akademicki Związek Pracy dla Państwa.


FOT. NAC.

Korporacja studentów Uniwersytetu Poznańskiego „Roma", 1932 r.

Na prawicy młodzieży sanacyjnej znalazł się konserwatywny Związek Akademicki Myśl Mocarstwowa. Młodzież ludowa powołała Zrzeszenie Akademickiej Młodzieży Ludowej, a kręgi ludowców związane z sanacją Akademicki Związek Młodzieży Wiejskiej. Studenci o poglądach lewicowych należeli do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Z czasem młodzież lewicowa z coraz większym zainteresowaniem patrzyła na idee stricte komunistyczne. Nie była to większość akademicka, ale pod koniec lat 20. młodzież komunizująca odłączyła się od ZNMS i utworzyła Organizację Młodzieży Socjalistycznej „Życie". Istniały także pomniejsze grupy o poglądach lewicowych lub komunistycznych, chociażby wileński Związek Lewicy Akademickiej „Front".

Liczne mniejszości narodowe miały własne organizacje naukowe, samopomocowe, samokształceniowe i ideowo-wychowawcze. W czasach II RP istniał jeszcze jeden model stowarzyszeń sięgających swym rodowodem XIX w. – były to korporacje akademickie.

Wolnych burszów stan

Przedwojenna „Ilustrowana Encyklopedia" z 1928 r. charakteryzuje korporacje, pisząc, że trudnią się samokształceniem, samopomocą, wyrabianiem pojęcia honoru i patriotyzmu. Członkowie dzielą się na trzy kategorie: „początkujących (fuksów, giermków, laików), rzeczywistych (komilitonów – pochodzi z łac. commiltonis – towarzysz broni, kamrat) i tzw. filistrów, tj. ludzi dyplomowanych, skończonych, którzy jednak nie zrywają ze środowiskiem z czasów studenckich". Faktycznie korporacje prowadziły działalność samopomocową, samokształceniową, organizowały życie towarzyskie studentów, wyróżniały się swoistą archaizowaną obyczajowością. Organizacje te posiadały takie cechy jak: hierarchiczność – czyli podział na kilka oddzielnych stopni członkostwa (najczęściej fuksa – kandydata, rycerza – pełnoprawnego członka, oraz filistra – osobę, która ukończyła studia); silne więzy towarzyskie i przyjacielskie między członkami; rozbudowana obrzędowość i symbolika (hymny, herby, barwy, monogramy, ubiory, rapiery); uznawanie postępowania honorowego; wychowanie w duchu patriotycznym.

Wzorce korporacyjne przyjęte zostały od niemieckich stowarzyszeń landsmannschaftów (land – kraj w znaczeniu małego regionu, mannschaft – drużyna), corpsów (czyli korpusy) i burschenschaftów (nazwa pochodzi od bursy, czyli internatu, w którym odbywały się również zajęcia). W XIX w. ustrój korporacyjny świetnie sprawdzał się przy prowadzeniu działalności samokształceniowej, ale również tajnej – patriotycznej. Polskie korporacje odwoływały się do dziedzictwa filaretów i filomatów. Niemieckie wzorce korporacyjne szybko znalazły więc naśladowców w gronie studentów Polaków. Polskie tradycje korporacyjne sięgają XIX w., a pierwsza polska korporacja akademicka powstała w 1828 r. w Dorpacie (dzisiejsze Tartu w Estonii) i przyjęła nazwę „Konwent Polonia". Korporacja jako swe barwy obrała kolory: amarantowy, błękitny i biały symbolizujące Koronę, Litwę i Ruś. Z Dorpatu „Konwent Polonia" po wielu perypetiach przeniósł się w 1919 r. do Wilna. W XIX w. powstawały kolejne polskie korporacje, w 1879 r. „Arkonia", w 1883 r. zaś „Welecja", obie przy Politechnice Ryskiej.

Rozkwit w II RP

Rozkwit ruchu korporacyjnego nastąpił w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Do kraju przeniosły się działające jeszcze przed wielką wojną korporacje – zaczęły powstawać nowe, ostatecznie w różnym czasie działało ponad 260 konwentów. Ruchem korporacyjnym zainteresowała się także młodzież mniejszości narodowych, powstały więc korporacje ukraińskie i żydowskie, w Wilnie działała korporacja białoruska „Scorynia" i rosyjska „Ruthenia Vilnensis". Korporacje różniły się miedzy sobą, były takie, które rekrutowały młodzież z jednego wydziału – krakowska „Palestra" i poznańskie „Iustitia" oraz „Palestria" – zrzeszająca prawników, czy też skupiająca studentów medycyny poznańska „Aesculapia" i wileńska „Leonidania". Istniały korporacje zrzeszające młodzież z danego regionu, jak zrzeszające przede wszystkim Pomorzan i Kaszubów – poznańska „Bal-

eprasa.pl 0aa789525f

tia" i warszawska „Cassubia". Były także korporacje o innym charakterze. Na przykład krakowska „Corolla" przyjmowała studentów pochodzenia szlacheckiego, przyjęła dewizę: „Pro Patria et Corolla" – „Dla Ojczyzny i Korony".

Ustrój wewnętrzny korporacji, ich ideały nakierowane na przyjaźń, lojalność względem konwentu, były ich atutem i spoiwem. Nie bez znaczenia były też pewna tajemniczość i ich dość ekskluzywny charakter.

Korporanci – pałkarze?

W czasach PRL utrwaliły się cztery stereotypy odnoszące się do korporantów: korporanci to antysemiccy pałkarze; rozwydrzona burżuazyjna młodzież; pijacy oraz pojedynkowicze. Część z tych stereotypów miała swoje podłoże w niemieckim XIX-wiecznym ruchu korporacyjnym, w którym znaczną uwagę przykładano do pojedynków oraz biesiad piwnych. Bez wątpienia w czasach II RP korporanci spożywali ten złoty trunek, ale nie był to nigdy główny przejaw aktywności towarzyskiej korporacji. Obraz korporanta antysemity, chuligana – uwieczniony został również w filmach, jak „Zezowate szczęście" czy też „Samson". Faktem jest, że znaczna część polskich korporacji weszła do utworzonej w 1921 r. „centrali" korporacyjnej o nazwie Związek Polskich Korporacji Akademickich, który w swojej ideologii zawarł m.in. stwierdzenie: „Celem życia każdego korporanta jest praca dla Polski, dla jej wielkości i potęgi. Dobro narodu jest dla niego najwyższym prawem, miarą wartości moralnych, drogowskazem postępowania. Pracę dla Polski pojmuje korporant jako pracę dla całego narodu. Przeciwstawia się on wszelkim prądom i dążeniom, które ponad interesy narodu i państwa, jako całości, wynosić pragną interesy osobiste, partyjne, klasowe". Zdarzały się korporacje, w których znaczna część działaczy należała do organizacji politycznych, niekoniecznie zresztą powiązanych z obozem wszechpolskim. Zazwyczaj jednak korporacje nie brały udziału jako organizacje w przedsięwzięciach politycznych. Poza korporacjami zbliżonymi ideowo do polskiego nacjonalizmu działał cały szereg korporacji będących pod wpływem obozu piłsudczykowskiego, a także chadecji. Te ostatnie sprzeciwiały się pojedynkom, tworząc np. Ligi Antypojedynkowe. Należy przypomnieć, że „klimat" II RP był gorący, a uczelnie jak soczewka skupiały różne nastroje społeczne. Często dochodziło do zamieszek między zwolennikami różnych opcji politycznych, niekiedy miały wydźwięk antysemicki. Ważnym wydarzeniem w dziejach ruchu był zamach majowy. Korporanci wzięli udział w walkach podczas jego trwania. Przystąpili do oddziałów opowiadających się po stronie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i uczestniczyli w walkach na Polu Mokotowskim oraz przy obronie Belwederu. Kilku z nich zginęło, owiana tajemnicą jest śmierć Karola Levittoux z korporacji „Chrobatia" (stryjecznego wnuka znanego polskiego działacza niepodległościowego z XIX w.) – który według relacji zamieszczonej w nieprzychylnym Piłsudskiemu „Kurierze Poznańskim" został zastrzelony już po kapitulacji oddziałów wiernych rządowi strzałem w tył głowy.

Świat dekli, band, rapierów

W czasach II RP nie było chyba znanego polityka, literata, społecznika, który nie znałby korporacji akademickich. Kolorowe dekle (czapki) były często widywane w miastach akademickich. Korporantami byli chociażby: nestor polskiego socjalizmu Bolesław Limanowski, biskupi ewangeliccy Edmund i Juliusz Bursche, wybitni uczeni Marian Zdziechowski, Edmund Załęski, wielu polityków, w tym prezydent Ignacy Mościcki, a także gen. Władysław Anders. Było też spore grono filistrów honoris causa. Wśród nich marszałek Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Jan Kasprowicz, prymas Aleksander Kakowski, gen. Władysław Sikorski, gen. Józef Haller, gen. Józef Dowbor-Muśnicki.

Korporacje skupiały się przede wszystkim na pracy wewnętrznej – wychowawczej. Konwenty prowadziły własne biblioteki, wydawały czasopisma, współdziałały z organizacjami społecznymi.

Przeglądając stare zdjęcia z inauguracji roku akademickiego na prawie każdej uczelni, natkniemy się na stojących za stołem prezydialnym korporantów ze swoimi sztandarami. Korporanci uczestniczyli również w wielu wydarzeniach społecznych, jak sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego, czy też religijnych, jak I Krajowy Kongres Eucharystyczny, który miał miejsce w Poznaniu, w 1930 r.

Świat korporacyjny to także przepiękne bale i wieczorki taneczne, jak wspominał prof. Wieńczysław Wagner, korporant „Arkonii": „Wspaniałe były zabawy korporacyjne. W »Sarmacji« na dziesięć tańców było dziewięć kujawiaków, a »Arkonia« urządzała chyba najpiękniejsze bale w całej Polsce, zwykle w Resursie Obywatelskiej lub Kupieckiej". XIX-wieczne tradycje korporacyjne to również pojedynki. Dochodziło do nich w czasach II RP. Zabronione przez prawo – władze jednak je tolerowały, a opinia publiczna dowiadywała się o pojedynkach takich osób jak gen. Stanisław Szeptycki z publicystą i politykiem ppłk. Bogusławem Miedzińskim czy też poety Antoniego Słonimskiego z artystą plastykiem Mieczysławem Szczuką. Wśród pojedynków korporacyjnych warto opisać prawdopodobnie ostatni, który odbył się w czerwcu 1939 r. Pochodzący z Nowogródczyzny student medycyny USB, korporant „Ruthenia Vilnensis" Dymitr Twardochlebow stanął do pojedynku z Ryszardem Zdziarskim, absolwentem prawa KUL, członkiem „Concordia Lublinensis". Twardochlebow wyzwał Zdziarskiego na pojedynek, ponieważ ten dopuścił się obrazy „Ruthenii" podczas zabawy u innej wileńskiej korporacji „Leonidania". Pojedynek odbył się w lasku pod Jaszunami, dokąd przeciwnicy udali się wraz z czterema sekundantami i dwoma lekarzami. Pierwszy strzał oddał Zdziarski, trafiając Twardochlebowa w lewą stronę klatki piersiowej. Rana okazała się śmiertelna mimo założenia opatrunku. Twardochlebow zmarł w drodze do szpitala.

Korporacje akademickie w czasach II RP były ważnym elementem życia studenckiego. Forma korporacyjna w tamtych czasach była na tyle atrakcyjna, że powstawały one poza granicami kraju w Wolnym Mieście Gdańsku, Rumunii, na Litwie, Łotwie, a nawet we Francji. Były szkołą patriotyzmu, ale również związkami przyjaciół. Wzajemne relacje między korporantami trwały często jeszcze długo po zakończeniu studiów. Ksiądz biskup, rektor Uniwersytetu Warszawskiego Antoni Szlagowski (filister honoris causa warszawskiej „Aquilonii") mówił: „Racja bytu korporacji tkwi właśnie w tym, że ta ścisła organizacja wychowawcza dopełnia braki życiowe, daje młodzieńcowi możność przygotowania się do życia we wszystkich jego przejawach; korporacja jest jedyną organizacją, która to zadanie najlepiej spełnić może. Staje się szkołą charakteru i honoru".

eprasa.pl 0aa789525f

MISTRZ PRZESŁAWSKI
OPOWIEŚĆ O DZIADKU

PROFESJĘ INTROLIGATORA, PRAKTYKOWANĄ DZIŚ PRZEZ NIEWIELU PASJONATÓW, OKREŚLA SIĘ JAKO JEDEN Z GINĄCYCH ZAWODÓW. W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM W POZNANIU PRACOWAŁO KILKUDZIESIĘCIU RZEMIEŚLNIKÓW TEJ SPECJALNOŚCI. JEDNYM Z NAJWYBITNIEJSZYCH BYŁ JÓZEF PRZESŁAWSKI

Józef Przesławski, poniżej reklama zakładu introligatorskiego Józefa Przesławskiego z 1935 r.



Urodził się w 1886 r. we wsi Łęgowo nieopodal Wągrowca. Dorastał w gospodarstwie rolnym ojca Kazimierza i matki Marii z domu Kapsa. Przyszłego zawodu uczył się w latach 1903–1906 w zakładzie Tadeusza Kręglewskiego w Wągrowcu. Firma składała się z: księgarni, składu papieru, introligatorni oraz małej drukarni, będąc ośrodkiem działalności kulturalnej Polaków w czasach zaborów. Poznał w tym czasie syna właściciela – Edwarda Kręglewskiego, późniejszego twórcę fabryki kopert i ksiąg handlowych w Poznaniu. Po zakończeniu nauki, w lipcu 1906 r., przystąpił do egzaminu czeladniczego w Bydgoskiej Izbie Rzemieślniczej. Niedługo potem rozpoczął obowiązkowe wędrówki dla praktykowania zawodu. Pracował m.in. w Lipsku, Monachium i Essen. Egzamin mistrzowski złożył w Düsseldorfie w październiku 1913 r. Wraz z wybuchem I wojny światowej został przymusowo wcielony do pruskiej armii i walczył na froncie zachodnim z Francuzami.



KAROL PRZESŁAWSKI

Gospodarczy sukces

W 1919 r. przeprowadził się do Poznania i na spółkę ze Stanisławem Cierniakiem kupił zakład drukarski, założony w 1874 r. przez Niemca Paula Wilcke. Wytwarzano w nim kartony wysyłkowe i pudła do kapeluszy, a oprócz tego działała mała introligatornia. Siedziba mieściła się w Pałacu Górków przy ul. Wodnej 27. Wraz

FOT. ARCHIWUM KAROLA PRZESŁAWSKIEGO (2X); BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 0aa789525f

z rozpoczęciem pracy nowi właściciele znacznie zmodernizowali wyposażenie zakładu i podzielili jego pracę na dwa działy: I – Fabryka kartonaży i II – Introligatornia. Z czasem dodano także drukarnię i szlifiernię noży introligatorskich wraz z hurtownią materiałów do prac introligatorskich.

Zakład rozwijał się dynamicznie, instalowano nowe maszyny napędzane silnikami elektrycznymi. Realizowano wiele zamówień na druk i oprawę nakładową książek, ksiąg adresowych oraz telefonicznych. Już w 1922 r. firma uczestniczyła w II Targu Poznańskim. W 1927 r. spółka Przesławski i Cierniak prezentowała kartonaże oraz oprawę artystyczną podczas Wystawy Graficznej zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Graficzne. W tym okresie zatrudnionych było blisko 100 osób, a park maszynowy liczył 60 urządzeń.

Spółka realizowała wiele różnorakich zamówień. Największymi zleceniodawcami były: firma ubezpieczeniowa Vesta, Poczta Polska oraz firmy wydawnicze – Wydawnictwo Polskie Rudolfa Wegnera oraz Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego. Zakład Przesławskiego i Cierniaka wykonywał oprawę nakładową serii „Biblioteka Laureatów Nobla", wydawaną od 1921 r. przez Wydawnictwo Polskie. W „Dzienniku Poznańskim" z 6 stycznia 1939 r. w artykule Jadwigi Popowskiej „U wydawcy" przytoczono opinię francuskiego noblisty Romaina Rollanda na temat polskiego wydania jego książek: „Dziękuję Panom za dwa piękne egzemplarze »Duszy Zaczarowanej«, łaskawie mi nadesłane. Pragnąłbym, abyśmy posiadali we Francji »Bibliotekę Laureatów Nobla« tak artystycznie i z takim zrozumieniem wydaną".

W 1929 r. zakład prezentował swoje wyroby podczas Powszechnej Wystawy Krajowej. Stoisko firmy mieściło się w Pawilonie Przemysłu Graficznego i Papierniczego. Tak o nim pisała „Polska Gazeta Introligatorska" w numerze 6 z 1929 r.: „Zwracają tu uwagę oprawy zakładowe w płótno, półskórki i całoskórki, dalej oprawy półfrancuskie książek bibljoteki laureatów Nobla. Wyróżniają się staranne złocenia oraz brzegi malowane i cyzelowane, technika bardzo staranna. Przykuwa uwagę kasetka, obciągnięta skórką i wykonana sposobem mozaikowym, złote tłoczenia obwódkami ręczne. Pozatem wyróżnia się piękna galanterja i wyroby kartonażowe. Całość stoiska robi piękne wrażenie, co ujawnia się też w zachwycie zwiedzających i uwagach ich, zamieszczonych w wyłożonej specjalnie w tym celu książce pamiątkowej zakładu". Za udział w wystawie spółka została wyróżniona listem pochwalnym.

Z początkiem 1931 r. Józef Przesławski rozpoczął indywidualną działalność. Po podziale spółki otrzymał: zakład introligatorski wraz z hurtownią materiałów introligatorskich. Firma obejmowała około ćwierć pierwszego piętra dawnego Pałacu Górków (narożnik ul. Wodnej i Klasztornej). Na tym samym piętrze znajdowała się także hurtownia materiałów introligatorskich i biuro (narożnik ul. Wodnej i Świętosławskiej). W piwnicach od strony ul. Klasztornej magazynowano tekturę i arkusze kartonów.

Zakład kontynuował działalność w branży introligatorskiej, prężnie się rozwijając. W 1933 r. firma brała udział w XII Międzynarodowych Targach Poznańskich. Prezentowano m.in. segregatory marki Triumf, kartonaże oraz materiały introligatorskie. W zakładzie drukowano i oprawiano książki. Wytwarzano także materiały reklamowe, w tym kalendarze kieszonkowe. Jednak największą chlubą były artystyczne prace mistrza. Powstawały oprawy książek na indywidualne zamówienie, druki dyplomów oraz rulony do ich przechowywania, a także galanteria introligatorska.

W zakładzie Przesławskiego wykształciło się wielu przyszłych mistrzów introligatorskich: Tadeusz Jankowski, Stefan Kawczyński, Jerzy Kobzda, Czesław Lewandowski, Tadeusz Lewandowski, Stanisław Przech i Florian Wojciechowski.



Książki z serii „Biblioteka Laureatów Nobla" wydanej przez Wydawnictwo Polskie Rudolfa Wegnera. Cały nakład oprawiała Spółka „Przesławski i Cierniak"

Aktywny społecznik

Józef Przesławski angażował się w działalność środowiska rzemieślniczego, brał udział w Ogólnopolskim Zjeździe Introligatorów we Lwowie w 1926 r. W związku z Powszechną Wystawą Krajową zorganizowano w dniach 25–28 lipca 1929 r. kolejny Ogólnopolski Zjazd Mistrzów Introligatorskich, na którym spotkali się rzemieślnicy z Poznania, Krakowa oraz Lwowa. Józef Przesławski w towarzystwie starszego cechu lwowskiego Jana Hewaka odwiedzał 26 lipca zakłady pracy poznańskich mistrzów, aby zorientować się w ich sytuacji. Następnego dnia w lokalu Józefa Jarockiego przy ul. Masztalerskiej 8a rzemieślnicy przystąpili do obrad głównie na temat ówczesnej sytuacji zawodu introligatora. Podjęto uchwałę w celu powołania cechu i wybrano komitet założycielski z Przesławskim na czele.

Niedługo potem 29 września odbyło się pierwsze posiedzenie Cechu Samodzielnych Introligatorów. Wybrano zarząd w składzie: Józef Przesławski jako starszy, Józef Zimny i Wincenty Lewandowski jako podstarsi. Na sekretarza cechu wybrano Ignacego Kozłowskiego, skarbnika Jana Kantego Wojciechowskiego. Zastępcami zostali Stanisław Mikołajski, Ignacy Urbanowicz i Bronisław Lewandowski.

Aż do wybuchu II wojny światowej na czele poznańskiej organizacji stał Józef Przesławski, dbając o rozwój i pomyślność zawodu introligatorskiego. Reprezentował cech m.in. na kolejnym zjeździe mistrzów w Krakowie w 1937 r., zorganizowanym z okazji jubileuszu działalności Roberta Jahody.

Oprócz pełnienia funkcji starszego cechu Józef Przesławski był przewodniczącym komisji egzaminacyjnych dla introligatorów przy poznańskiej Izbie »

eprasa.pl 0aa789525f

» Rzemieślniczej. Był także członkiem Czerwonego Krzyża i Bractwa Kurkowego. Działał aktywnie w Towarzystwie Młodych Przemysłowców, a w 1939 r. został wybrany do jego władz. Publikował artykuły w prasie fachowej: „Polskiej Gazecie Introligatorskiej" oraz „Drukarzu Polskim".

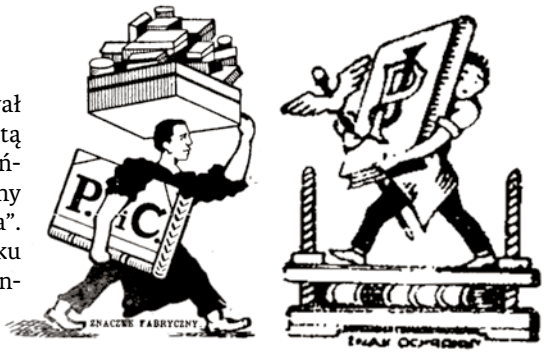
Ogrom pracy i poświęcenia zarówno w zawodzie, jak i dla dobra społeczeństwa zostały docenione. W październiku 1938 r. Józef Przesławski otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi. Dla polepszenia sytuacji rzemieślników postanowił rozpocząć działalność we władzach samorządowych miasta. Z list Stronnictwa Narodowego, do którego należał od 1925 r., wystartował w wyborach do Rady Miejskiej Poznania w grudniu 1938 r. Kandydował w okręgu III obejmującym okolice pl. Kolegiackiego i tzw. Zielonych Ogródków, ul. Półwiejską, dolny św. Marcin, ul. Ogrodową, ul. Piekary i część ul. Ratajczaka. 18 grudnia został wybrany na radnego miejskiego Stołecznego Miasta Poznania. Józef Przesławski interesował się również fotografią. Świadectwem tej pasji są zachowane zdjęcia międzywojennego Poznania i okolic Wągrowca.

Trudne lata wojny i powojnia

Niemiecka agresja na Polskę w 1939 r. i utworzenie z ziem polskich Kraju Warty (Warthegau) wcielonego do Rzeszy przyniosło prześladowania Polaków. Już 24 listopada Józef Przesławski został zatrzymany i osadzony w Obozie Zagłady – Forcie VII w Poznaniu. Przebywał w celi numer 60–61, m.in. ze starostą międzychodzkim Stanisławem Czubińskim. Z Fortu VII został przeniesiony do Obozu Przesiedleńczego „Główna". Stamtąd pociągiem jadącym w kierunku Tarnobrzega został wysiedlony z rodzinnej ziemi w marcu 1940 r. Schronienie znalazł w Radomiu i tam przebywał do końca wojny. Żona wraz z dziećmi pozostała w Poznaniu, żyjąc w ciężkich warunkach.

Do Poznania wrócił w lutym 1945 r., chcąc jak najszybciej zacząć pracę. Niestety zastał miasto zrujnowane. Pałac Górków został doszczętnie zniszczony i wypalony, a spod gruzów udało się wydobyć jedynie kilka maszyn z przedwojennego zasobu. Szkody wojenne oszacowano na 340 370 zł. Siedzibę zakładu przeniesiono do kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 43. Wyremontowano dwa opuszczone mieszkania na parterze. Pracę w nowym miejscu rozpoczęto pod koniec 1945 r.

Józef Przesławski aktywnie działał w gronie rzemieślników dla poprawienia trudnej sytuacji w obliczu ograniczania udziału działalności prywatnej w gospodarce. W 1947 r. został wybrany ponownie na stanowisko starszego cechu. Liczono, że dzięki ogromnemu doświadczeniu w pracy społecznej przyczyni się do zmiany sytuacji rzemieślników. Jednak w sierpniu następnego roku zlikwidowano samodzielny cech i powołano nową organizację – Cech Drukarzy i Introligatorów. Do zarządu nowo



Z lewej: znaczek firmowy Spółki „Przesławski i Cierniak" z lat 1919–1931, z prawej: znaczek firmowy zakładu Józefa Przesławskiego z lat 1931–1949

powstałego cechu weszli: starszy Józef Przesławski, sekretarz Tadeusz Lewandowski oraz skarbnik Bolesław Zimny. Niedługo potem 24 stycznia 1949 r. Józef Przesławski zmarł.

Tradycje mistrza kontynuowała jego żona wraz ze swoim bratem Stefanem Kawczyńskim pod nową nazwą: Przesławski i Spadkobiercy. Za udział w Jubileuszowej Wystawie Rzemiosła Wielkopolskiego Izba Rzemieślnicza przyznała srebrny medal tej firmie.

Dzisiaj, po 70 latach od śmierci Józefa Przesławskiego, pamięć o jego dokonaniach wraca dzięki nowym publikacjom naukowym oraz organizowanym wystawom prezentującym jego działalność. Mimo że zakład już nie istnieje, świadectwem kunsztu oraz umiejętności mistrza pozostają zachowane prace i inne pamiątki.

FOT. ARCHIWUM KAROLA PRZESŁAWSKIEGO



Uczestnicy Zjazdu Introligatorów w Krakowie w 1937 r., trzeci z lewej stoi Józef Przesławski

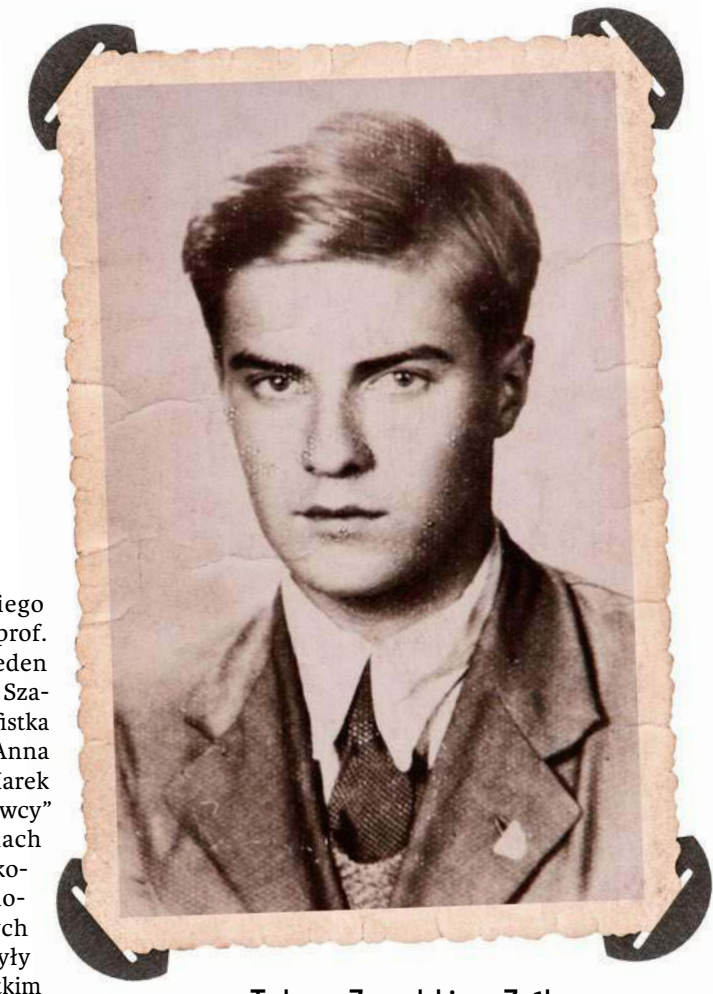
eprasa.pl 0aa789525f

CO SIĘ WYDARZYŁO W SIECZYCHACH?

JAK ZGINĄŁ W SIECZYCHACH TADEUSZ ZAWADZKI PS. ZOŚKA? CZY OD KULI WYSTRZELONEJ Z NIEMIECKIEGO KARABINU, CZY TEŻ OD POCISKU WYSTRZELONEGO Z KARABINU ATAKUJĄCYCH SZTURMOWCÓW? CZY ATAK NA STRAŻNICĘ WYGLĄDAŁ TAK, JAK OPISYWALI TO KAMIŃSKI, STRZEMBOSZ, BORKIEWICZ-CELIŃSKA?



MARIUSZ OLCZAK



Tadeusz Zawadzki ps. Zośka

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Te wydawać by się mogło szokujące pytania nie do końca takie są w kontekście dokumentów pochodzących z czasów wojny. Przechowywany w Wojskowym Instytucie Historycznym (WIH) meldunek z 16 września 1943 r. stawia jednak pytania i musimy odpowiedzieć, czy jest tylko mało wiarygodnym, złośliwym donosem sfrustrowanego i zazdrosnego dowódcy z terenu, czy sygnalizuje pewne istotne okoliczności.

Powszechnie uznano

Obowiązującym kanonem opisu śmierci „Zośki" w Sieczychach jest ten, w którym ginie on trafiony pojedynczym pociskiem prosto w serce w czasie ataku. Opiera się on na relacjach uczestników akcji oraz na powojennych tekstach Aleksandra Kamińskiego i innych. Co ciekawe, prof. Tomasz Strzembosz, jeden z głównych historyków Szarych Szeregów, monografistka batalionu „Zośka" dr Anna Borkiewicz-Celińska, Marek Pernal, a także „Zośkowcy" piszący o wydarzeniach w Sieczychach nie wykorzystywali licznych dokumentów dotyczących akcji „Taśma", które były w zbiorach przede wszystkim dawnego WIH. Od końca lat 50. rozpoczęto zbieranie relacji i wywiadów terenowych wśród mieszkańców Sieczych i okolicznych osad. Robił to w 1958 r. Jędrzej Tucholski, w 1960 r. Bogdan Deczkowski ps. Laudański oraz przede wszystkim prof. Tomasz Strzembosz, któremu udało się zebrać jeszcze w latach 60. XX w. ponad 30 relacji samych uczestników akcji. Po zapoznaniu się z powojennymi relacjami można stwierdzić – co w przypadku historii mówionej nie dziwi – że występują w nich mniejsze lub większe różnice. Niemniej praktycznie wszystkie wskazują na śmierć „Zośki" z powodu pojedynczego wystrzału z karabinu Niemca broniącego się w środku budynku. W drugim wydaniu „Kamieni na szaniec" z 1944 r. Aleksander Kamiński opisał to tak: „Furtka! Staśka kopie nogą drzwi, skacze na próg, czując za sobą tupot dziesiątka stóp. Strzał z okna! Wali coś w pierś! Zapiera dech... Jak cuglami szarpnięty koń, wrywa się Staśka stopami w deski werandy i powoli skręca półobrotem w miejscu. Słania się ku ścianie. W dzikim, czującym »

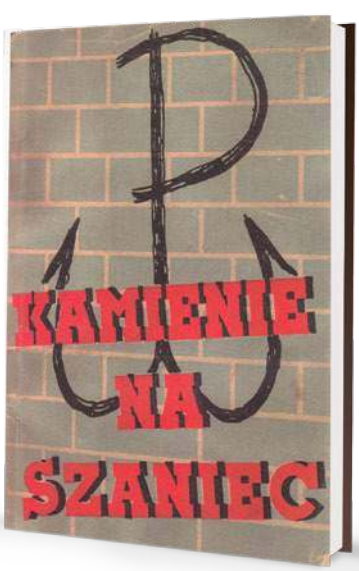
eprasa.pl 0aa789525f

» zwycięstwo pędzie, przebiegają obok jego ludzie, wpadając do izb. Strzał po strzale…”.

Zacytujmy z kolei kilka fragmentów pochodzących z opisów bezpośrednich uczestników akcji. Doktor Eugeniusz Kujawski ps. Brom podawał w 1961 r.: „Na wprost głównego wejścia, od strony drogi, na trawie leżał »Zośka«. Z okien padały jeszcze pojedyncze strzały. Wyciągnąłem przy pomocy innych żołnierzy »Zośkę« za nogi z zasięgu strzałów, za furtkę /były tam jakieś krzaki/. Stwierdziłem małą ranę klatki piersiowej poniżej serca, ale w okolicy lędźwiowej wymacałem wielką ranę wylotową, wielkości dłoni /może cholery używali dum-dum/. »Zośka« już nie żył”. Uczestniczący w akcji Radosław Rytel, dowódca plutonu Grup Szturmowych w Wyszkowie, pisał: „Niemcy otworzyli okna i posypał się na nas grad wystrzałów. Na pierwszego, który by się pokazał w furtce wejściowej, czekał Niemiec z wycelowanym karabinem. Niestety tym pierwszym był »Zośka«, który został trafiony w pierś i natychmiast skonał”. Z kolei Jan Więckowski ps. Drogosław podawał: „Wpadał przez bramę do wewnątrz ogrodzenia wraz z Andrzejem, tuż za »Zośką« wskakującym właśnie na ganek. Nagle w lewym oknie spostrzegam krótki błysk. »Zośka« przez chwilę nieruchomieje, potem przegina się do tyłu i wali na ziemię”. Dowodzący ubezpieczeniem Andrzej Długoszowski ps. Andrzej Długi jeszcze w czasie wojny napisał, że: „Natarcie poprowadził Tadeusz. On też jedyny padł ofiarą akcji, trafiony w pierś wystrzałem z karabinu, jednym z nielicznych, jakie nieprzyjaciel zdołał oddać”. Inny żołnierz Andrzej Wolski ps. Jur zapamiętał: „W tym momencie w furtce betonowego ogrodzenia pojawiła się nagle wysoka postać »Zośki«. – Tadeusz, uważaj! – krzyknął »Anoda« – ostrzał! Nie wiadomo skąd nagle błysnął mały ognik. Odruchowo przymrużyłem oczy. Tak blisko! Kiedy je otwarłem, Tadeusz osuwał się bezwładnie na kolana. Pojedynczy strzał, może ostatni, jakże tragiczny swoją celnością”. Badający intensywnie akcję w Sieczychach Bogdan Deczkowski ps. Laudański pisał: „Ale wartownik przyczaił się i gdy pierwszy żołnierz – był to »Zośka« – zbliżył się do drzwi strażnicy – huknął strzał. »Zośka« zachwiał się, wykonał pół obrotu i ciężko upadł na ziemię”. Bogdan Deczkowski często pisał i mówił o Sieczychach, a także w samych Sieczychach na obchodzonych tam corocznie uroczystościach. Reagował również na wszelkie niedopowiedzenia i wątpliwości. Zareagował też po artykule w tygodniku „Ład” z 30 sierpnia 1987 r., w którym wspominany przed chwilą Radosław Rytel napisał nieco inaczej niż w swojej relacji, że: „Tam dowiadujemy się strasznej prawdy, że zabłąkana kula trafiła śmiertelnie »Zośkę«”. Deczkowski jako świadek zażądał od redakcji tygodnika opublikowania fragmentu swojej relacji o śmierci „Zośki”. Co jednak najistotniejsze – w niemal wszystkich relacjach brak informacji, jakie spotykamy w cytowanych poniżej dokumentach.

Raport „Morro”

Praktycznie nieznany był niewydany wcześniej raport dowódcy akcji Andrzeja Romockiego ps. Andrzej Morro z 22 sierpnia 1943 r. Kilka stron z tego raportu wraz z oryginalną mapą oraz szkicem opublikowałem kilka lat temu w biografii Jana Rodowicza ps. Anoda. Informacje znajdujące się tam mogą być dla niektórych osób zaskoczeniem, jednak znających przebieg akcji bojowych w tamtym czasie wcale nie dziwią: „Szturm prowadzony był prawie wyłącznie przez d-ców grup, bez poparcia ze strony własnych oddziałów. Nie wszyscy ludzie równie sprężyście i dzielnie poszli do ataku ze swoimi d-cami /głównie atak I, II i III/ […] Mimo uprzednich upomnień pluton w akcji nie reagował na komendy i nie zaprzestał ognia, mimo że barak był opanowany. Rzuty filipinek nie były zgrane z całością akcji i trwały dłużej, niż to było możliwe ze względu na bezpieczeństwo własnych ludzi. Z tego właśnie powodu jest dwóch ludzi rannych /stwierdzone, że od własnych granatów/. […]. Brak karności, opanowania i dyscypliny ognia spowodowały bałagan w końcowej fazie szturmu i rozprężenie, jakie nastąpiło w momencie zbiórki”. D-cy grup nie panowali w tym momencie nad swoimi ludźmi. Również brak opanowania wykazał d-ca ubezpiecz[enia] I, który niepotrzebnie otworzył ogień z p.m. do wątpliwego npla i zaalarmował oddział główny”.



Okładka pierwszego, okupacyjnego wydania książki Aleksandra Kamińskiego

Romocki praktycznie nie opisał śmierci Zawadzkiego. Wymienił go tylko w statystyce poległych i informacyjnie przy przewożeniu ciała. Zwraca na pewno uwagę to, że w samym sprawozdaniu jest zdecydowanie więcej niż w powojennych relacjach podkreślonych złych i krytycznych momentów podczas samej akcji. One co prawda pojawiają się we wspomnieniach, ale są raczej spychane na plan dalszy. Co jednak szczególnie istotne w kontekście śmierci „Zośki”, to to, że Romocki zwrócił uwagę na ranienie od swoich granatów dwóch żołnierzy oraz strzelanie do nierozpoznanego celu.

Meldunek „Zana”

Stefan Krzywiak ps. Zan (1900–1983), wówczas Szef Wydziału Organizacyjnego Oddziału I KG AK, a równocześnie pełniący funkcję szef Wydziału Młodzieżowego Oddziału I KG AK, po rozmowie z naczelnikiem Szarych Szeregów Stanisławem Broniewskim ps. Witold, Orsza, napisał w połowie września 1943 r. meldunek do szefa Oddziału I KG AK Antoniego Sanojcy ps. Kortum, ponieważ w zakres pracy jego wydziału wchodziło utrzymywanie kontaktu z Szarymi Szeregami na poziomie Komendy Głównej AK. W meldunku tym pojawia się wiele ciekawych wątków: stosunki w dowództwie Szarych Szeregów, rozpoczęcie dochodzenia bez zawiadomienia o tym kierownictwa Szarych Szeregów i in. „Zan” pisał: „W czasie akcji poległ dowódca oddziału – ob. Zośka. W pewien czas po akcji rozeszła się wśród członków Szarych Szeregów wersja wypowiedziana przez Komendanta Obwodu Wyszków – nieprzychylnie usposobionego do Sz.Sz. i werbującego członków

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. M. CZUTKO

Kwatera Batalionu „Zośka" na Powązkach

Sz.Sz. do swych oddziałów, że ob. Zośka zginął usunięty w czasie akcji przez własnych ludzi i że było to inspirowane »przez zdegenerowaną górę Sz.Sz.«". Wiemy, że doszło do rozmowy przedstawiciela Szarych Szeregów (nie wiemy kogo konkretnie) z komendantem Obszaru Warszawskiego płk. Albinem Skroczyńskim ps. Łaszcz oraz komendantem Podokręgu Wschodniego Obszaru Warszawskiego, których poproszono o poskromienie komendanta z Wyszkowa. Komendantem Obwodu Radzymin ps. Rajski Ptak, w którym znajdował się Wyszków, był do września 1943 r. Witold Kitkiewicz ps. Marian, natomiast w Wyszkowie mieściła się tylko placówka, nie zaś dowództwo Obwodu. „Zan" postulował ustalenie po kontakcie z Kedywem, kto zainicjował dochodzenie w AGAT, podobnie nie zgodził się na wydawanie poleceń przez Broniewskiego harcerskim podkomendnym z Kedywu. Meldunek widziały jeszcze na pewno dwie osoby, co potwierdziły datami i parafami z drugiej strony pisma. Na poziomie Kedywu KG AK i kompanii AGAT przeprowadzono dochodzenie, które miało sprawdzić informacje szefa placówki AK w Wyszkowie rozpowiadającego, że „Zośka zginął usunięty przez swoich ludzi". Śledztwo, jakie rozpoczął w tej sprawie AGAT, z powodów formalnych musiało zostać przeprowadzone i – jak można wnosić z „milczenia źródeł" – nie przyniosło żadnych innych ustaleń niż podawane później. Niestety nie odnalazłem dotąd dokumentacji śledztwa i wątpię, aby się zachowała. Nie wiemy zatem, co ustalono ani jakie podjęto w związku z tym decyzje. Możemy jednak wnioskować, że nie podjęto żadnych radykalnych zmian ani decyzji personalnych, które musiałyby być skutkiem gorszących ustaleń, przekroczeń regulaminu lub godzących w honor żołnierza. Ze sprawą Sieczych i sytuacji w „Zośce" można wiązać jednak sprawę, która pojawiła się w lutym 1944 r. Są tam wątki, które mogą być skutkiem wcześniejszych niesprawdzonych informacji i plotek, spotęgowane i obrosłe nowymi, niesprawdzonymi informacjami.

Meldunek „Porawy"

14 lutego 1944 r. do zastępcy szefa kontrwywiadu KG AK Stefana Rysia ps. Fischer dotarł meldunek od dowódcy oddziału 993/W Stefana Matuszczyka ps. Porawa. Warto zacytować całość dokumentu: „Do podchor. Andrzejewskiego [Andrzej Zawadzki] zgłosiło się jego 3 kolegów z oddziału szturmowego P.Z.P. z prośbą o wskazanie im drogi do władz, gdyż chcą zameldować o karygodnych wypadkach, jakie miały miejsce w ich oddziale. Obierają tę drogę, gdyż »służbowo« załatwienie groziłoby im kulą od swych przełożonych. Podają m.in. fakt, że podwładni z oddziału zabijali dowódców, by móc awansować, zmuszali niewygodnych sobie do samobójstw. W jednym wypadku, gdy G-o aresztowało ojca ich kolegi, tego ostatniego zabili – by nie sypał. Zmuszają wreszcie ludzi do brania udziału w napadach bandyckich, gdzie niejednokrotnie zabijają kogoś przy rabunku. Załączony raport jednego z nich, daje pewne światło na panujące tam stosunki. Wobec powyższego przekazuję sprawę do uznania Pana i decyzji. Ze względu na bezpieczeństwo ludzi proszę o zatajenie na razie pseudonimu. Porawa".

Wraz z tym meldunkiem „Porawa" wysłał obszerny raport z dnia 7 lutego 1944 r. st. strzelca Józefa Szewczyka „Ziuka", z „Zośki" z plutonu „Ryszard", w którym czytamy: „W początku września pojechali na robotę do Wyszkowa. Ci wszyscy dowódcy niżsi /drużynowi/ pokończyli podchorążówki i nie mogli objąć wyższej władzy. Tu nadarzyła im się okazja. Wszyscy ci, którzy byli od nich wyżsi stopniem i funkcją, jaką pełnili w czasie walki z oddz. niemieckimi, dostali strzał w plecy od niższych dowódców. Reszta wyższych d-ców pozostawiona była na pastwę losu – palnęli sobie w łeb sami w kolejce radzymińskiej. Jeden z nich bardzo zdolny i odważny dow. plut. 200 »Rudy« odznaczony Krzyżem Walecznych". „Ziuk" w dalszej części wymienił inne zasłyszane w oddziale negatywne wydarzenia, jak śmierć ppor. Szczepana Żebrowskiego ps. Felek z „Motor 30" zlikwidowanego przez oddział „Anatola" 8 grudnia 1943 r. za niewykonanie rozkazu. Przedstawiał je oczywiście w innym świetle, na które powoływał się wcześniej „Porawa", czyli zabicia, aby nie sypał. Z kolei oskarżenia o bandytyzm pojawiały się często w innych przypadkach i wynikały z braku wiedzy o przeprowadzanych akcjach przez inne oddziały.

Wnioski

Reasumując, trudno moim zdaniem przyjąć, że śmierć Tadeusza Zawadzkiego w Sieczychach nastąpiła na skutek celowego zastrzelenia go przez żądnych awansu podwładnych. Cytowane dokumenty uważam za dalekie echo tego, co się „mówiło" w oddziałach, jednak niepoparte konkretnymi ustaleniami. Przy tak poważnej sprawie śledztwo AGAT pozostawiłoby ślad w postaci decyzji. W Sieczychach mogło dojść do przypadkowego zastrzelenia Tadeusza Zawadzkiego ps. Zośka przez swoich żołnierzy na skutek „przyjacielskiego ognia". Są ku temu pewne przesłanki. Nawet jeśliby uznać ten fakt, to należy go ocenić jako rzecz zdarzającą się w czasie wojny. Co tam w czasie wojny! Takie przypadki występują nawet na ćwiczeniach poligonowych podczas szkoleń. Szybkość prowadzenia działań, intensywność ognia z obu stron i skutkiem tego powiększony do granic stres bojowy powodowały i powodują błędy. Nie traktowałbym tym samym tych wszystkich uroczystości odbywających się po wojnie w Sieczychach, tego kultywowania pamięci „Zośki" jako czegoś fałszywego, niestosownego i nieprawdziwego. Ta akcja, jak i sam Zawadzki, zostaną w naszej historii jako ważne fragmenty dziejów polskiej konspiracji.

eprasa.pl 0aa789525f



Plac Zamkowy – figura króla Zygmunta III Wazy

Z APARATEM WŚRÓD RUIN

Michał Komuda rozmawia z RYSZARDEM WITKOWSKIM „ORLIŃSKIM", który na przełomie stycznia i lutego 1945 r. wyruszył w jednodniową podróż do Warszawy. Wyposażony w aparat Leica i dwie kasetki z filmem fotograficznym wykonał serię zdjęć dokumentujących ogrom zniszczeń dokonanych przez Niemców w stolicy

Proszę powiedzieć, jak wyglądały warunki podróżowania do Warszawy na początku 1945 r., tuż po przejściu frontu?

Ryszard Witkowski: Jeszcze po powstaniu warszawskim między moim rodzinnym Milanówkiem a obrzeżami Warszawy kursowały niemieckie transporty kolejowe z rabowanym ze stolicy mieniem oraz z ludnością dowożoną na przymusowe prace. Ludzie ci byli zobowiązani m.in. do kopania rowów przeciwczołgowych. Jednak przed samym przejściem frontu Niemcy dokonali licznych dewastacji, niszcząc również trakcję elektryczną pociągów. Mimo to po wkroczeniu Armii Czerwonej kolejarze, z podziwu godną szybkością, przywrócili komunikację opartą na parowozach. Pociągi te oczywiście kursowały bez rozkładu jazdy i biletów. Pierwsi pasażerowie, którymi były tłumy popowstańczych wygnańców pragnących powrócić do Warszawy, po prostu czatowali w trakcie

eprasa.pl 0aa789525f

surowej zimy na odjazd kolejnego składu. Gdy pojawiał się pociąg, ludzie, w trudnym dziś do wyobrażenia tłoku, jechali w wagonach osobowych, towarowych oraz na ich dachach. Jednym z takich pierwszych transportów również ja postanowiłem się wybrać, żeby zobaczyć, jak bardzo Warszawa została zniszczona.

Które miejsca udało się panu obejrzeć?
Przywrócone połączenie kolejowe pozwalało na dotarcie tylko do Warszawy Zachodniej. Dalej linia średnicowa była zniszczona, a Dworzec Główny i tunel zostały przez Niemców wysadzone w powietrze. Podczas mojej wyprawy do Warszawy postanowiłem odwiedzić miejsca, które znałem z wcześniejszych lat. Dlatego z Dworca Zachodniego udałem się na pl. Narutowicza. Pierwszym obrazem, z jakim spotykałem się po wejściu do miasta, były napisy po polsku i rosyjsku o treści „Min nie ma". Drugim zaskoczeniem było to, że Ochota stosunkowo mało ucierpiała, ponieważ walki powstańcze na jej terenie trwały krótko. Dopiero gdy dotarłem na pl. Zbawiciela, po raz pierwszy zobaczyłem robiące silne wrażenie zniszczenia. Całe wnętrze kościoła Zbawiciela było zrujnowane. Znajdująca się w pobliżu, przy ul. Mokotowskiej, Inżynierska Szkoła im. Wawelberga i Rotwanda, do której uczęszczałem podczas okupacji jako szkoły zawodowej, była wypalona. Jednak w jej wnętrzu ku swemu wzruszeniu zobaczyłem nadal stojące maszyny, na których podczas nauki wykonywaliśmy ćwiczenia praktyczne.



Ruiny kościoła św. Aleksandra

Cały czas po drodze robiłem zdjęcia ważniejszych gmachów. Pamiętać jednak należy, że dysponowałem wówczas dwoma filmami, na których mogłem naświetlić tylko 72 klatki, więc cały czas bardzo je oszczędzałem. Było to tym trudniejsze, że takie miejsca, jak potwornie zrujnowany kościół św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży, robiły na mnie ogromne wrażenie. Podobnie było ze zniszczonym kościołem św. Krzyża, w którym wykonałem kilka zdjęć. Następnie skierowałem się w stronę pl. marsz. Józefa Piłsudskiego, który przez Niemców podczas okupacji został przemianowany na Adolf-Hitler-Platz. Tam duże wrażenie zrobił na mnie pusty cokół pomnika księcia Józefa Poniatowskiego. Obok rozpościerał się jeszcze bardziej wstrząsający widok. Z morza gruzu sterczały trzy arkady Pałacu Saskiego ocalałe nad Grobem Nieznanego Żołnierza. Dookoła pobliskiego pl. Teatralnego stały wypalone budynki, z których pozostały jedynie fronty budowli. W ten sposób dotarłem do miejsca, które było »



Ruiny Pałacu Saskiego – Grób Nieznanego Żołnierza

FOT. R. WITKOWSKI, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 0aa789525f



Ruiny katedry św. Jana Chrzciciela

» moim głównym celem tej wyprawy, czyli na Stare Miasto. Chciałem zobaczyć tę część Warszawy, na której toczyły się najbardziej dramatyczne walki, nad którą Niemcy autentycznie się pastwili.

Okazało się, że spośród tak licznych przed wojną pomników pozostał tylko jeden, którego okupant nie zdążył wywieźć ani przetopić. Była to leżąca na ziemi, po zniszczeniu kolumny, figura króla Zygmunta III Wazy. To był szokujący widok. Nasz król leżący bezradnie na ziemi bez krzyża. Mimo to poświęciłem na niego tylko jedną klatkę, bo przede mną już roztaczały się ruiny wysadzonego w powietrze Zamku Królewskiego. Potwornie silne wrażenie zrobił na mnie ocalały fragment Sali Wielkiej z niezniszczoną dewizą Orderu Świętego Stanisława „Praemiando Incitat" (z łac. nagradzając, zachęca). Kierując się dalej w stronę rynku Starego Miasta ul. Świętojańską, musiałem się wspinać po gruzach na wysokość pierwszego piętra. Tam też zobaczyłem miejsce, które wstrząsnęło mną najbardziej. Katedra św. Jana, w której wielokrotnie bywałem, została obrócona w stertę gruzu. Pozostało zaledwie parę fragmentów gotyckich ścian. Brak mi słów, jaki to był widok. Na ruiny tej świątyni poświęciłem aż cztery zdjęcia. W końcu doszedłem do równie zniszczonego, jak rynek staromiejski, rynku Nowego Miasta. Stamtąd, w wyniku coraz silniejszego zmęczenia oraz zimna, zacząłem już wracać w stronę Woli. Po drodze obejrzałem jeszcze fabrykę Pionier przy ul. Krochmalnej, w której pracowałem do wybuchu powstania. W ten sposób dotarłem do Dworca Zachodniego, by czekać na powrotny pociąg do Milanówka.

Był to niezmiernie męczący dzień, ale przyniósł plony, jak się okazało, w postaci historycznego materiału. To, że fotografie te obecnie znajdują się w Muzeum Powstania Warszawskiego jako źródła ikonograficzne, jest dla mnie bardzo satysfakcjonujące.

Opisana przez pana podróż z aparatem była pierwszą, ale nie jedyną w pierwszych miesiącach po przejściu frontu. Czy te kolejne wyjazdy, z których również zachowały się zdjęcia, też miały charakter dokumentacyjny?

Późniejsze podróże były już związane z chęcią kontynuowania nauki, którą przerwała mi wojna. Zacząłem dojeżdżać do warszawskiego Liceum im. Tadeusza Rejtana, w którym zdałem maturę,

eprasa.pl 0aa789525f

a następnie, jeszcze w tym samym roku, rozpocząłem zajęcia na uczelni. Oczywiście przy okazji zabierałem z sobą aparat i fotografowałem miasto. To weszło mi w krew.

Czy z perspektywy lat, kiedy pan patrzy na swoje zdjęcia wykonane w zniszczonej Warszawie, chciałby pan zrobić je w inny sposób?

Podczas mojej wyprawy do zniszczonej stolicy odwiedziłem jedynie jej mały fragment, bez Czerniakowa, Mokotowa czy Żoliborza. Przeszedłem tylko pobieżnie przez centrum, ale stało się.

Na koniec proszę jeszcze wyjaśnić, skąd podczas wojny miał pan stały dostęp do materiałów fotograficznych?



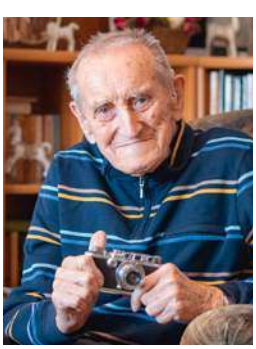


Szczątki ściany Sali Wielkiej Zamku Królewskiego

Pierwsze połączenia kolejowe do Warszawy

Tym samym, wybierając się w pierwszych miesiącach 1945 r. do Warszawy, znajdowałem się w stosunkowo luksusowej sytuacji. Miałem niemieckie filmy Agfa Isopan z zakładu mojej matki oraz fenomenalny aparat Leica II. Dzięki temu w późniejszym okresie mogłem też dokumentować rozwój działań dotyczących mojej głównej specjalizacji. W ten sposób zarejestrowałem pionierskie prace związane ze wznawianiem lotnictwa w Polsce. Zdjęcia te obecnie znajdują się w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie.

Moja matka Felicja Witkowska prowadziła jedyny w Milanówku zakład fotograficzny. Siłą rzeczy musiała dysponować kompletem materiałów i ciemnią do wykonywania odbitek. Oczywiście okupacja wywarła swoje specyficzne piętno na zagadnieniu zaopatrzenia w sprzęt fotograficzny. Z jednej strony Polska przestała być zaopatrywana w aparaty. Z drugiej jednak dla niemieckich firm produkujących materiały fotograficzne Generalne Gubernatorstwo stało się nowym rynkiem zbytu. Zakład fotograficzny podczas okupacji służył również Niemcom, którzy bardzo lubili fotografować i musieli gdzieś robić odbitki. Dlatego nie było problemu z dostępem do wszystkich niezbędnych materiałów. Zresztą właśnie od jednego z takich klientów matka odkupiła aparat Leica. Był to wówczas sprzęt najwyższej klasy.



Ryszard Witkowski „Orliński" był żołnierzem Narodowej Organizacji Wojskowej, a następnie Armii Krajowej. Jego oddział zajmował się m.in. podejmowaniem alianckich zrzutów oraz ich magazynowaniem. Czas powstania warszawskiego spędził w rodzinnym Milanówku. Wraz ze swoją matką oraz siostrą ukrywali wówczas trójkę Żydów, za co zostali odznaczeni medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Przez całą okupację dokumentował aparatem fotograficznym ówczesne życie oraz zniszczenia wojenne. Po powstaniu warszawskim wraz z Wacławem Żdżarskim „Kozłowskim" z Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK opracowywał materiały mikrofilmowe do konspiracyjnej poczty kurierskiej. Fotografie Ryszarda Witkowskiego oraz jego wyposażenie fotograficzne do pracy z mikrofilmami, dostarczone przez Cichociemnych dla Delegatury Rządu, znajdują się obecnie w zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego. W 2019 r. bohater wywiadu został również jednym z jurorów zorganizowanego przez to muzeum rocznicowego konkursu fotograficznego „Pamięć »W« kadrze".

eprasa.pl 0aa789525f

LEGENDA „WRZOSA"

II RZECZPOSPOLITA POWSTAŁA DZIĘKI STARANIOM WIELU POLAKÓW KULTYWUJĄCYCH TRADYCJE NARODOWE ORAZ GOTOWYCH DO WALKI ZBROJNEJ O JEJ ODRODZENIE, SUWERENNOŚĆ I GRANICE. JEDNYM Z REPREZENTANTÓW TEGO ŚRODOWISKA BYŁ POR. STEFAN KOBOS PS. WRZOS, ŻOŁNIERZ I KONSPIRATOR, KTÓREGO SYLWETKĘ I DOKONANIA OPISAŁ OSTATNIO WOJCIECH HANUS



MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

IPN, Oddział w Rzeszowie

Bohater książki urodził się 27 listopada 1900 r. w rodzinie chłopskiej we wsi Maniów należącej do powiatu dąbrowskiego. Wyrazem jego patriotycznej postawy było ochotnicze wstąpienie w szeregi Legionów Polskich oraz ochotniczy udział w wojnie z bolszewikami. Po jej zakończeniu podjął zawodową służbę wojskową. W stopniu sierżanta Kobos walczył we wrześniu 1939 r. w wojnie obronnej jako żołnierz Ośrodka Zapasowego nr 3. W obliczu ataku ZSRS na Polskę 17 września 1939 r. jednostka ta przekroczyła granicę węgierską. Stefan na własną rękę powrócił do kraju i odnalazł rodzinę, z którą osiadł w Brzezinach w pow. tomaszowskim. Bardzo szybko rozpoczął działalność konspiracyjną, wstępując do Organizacji Wojskowej „Longinusa" (założonej już 9 września 1939 r.). Potem w ramach struktur rejonu V ZWZ – AK obwodu Tomaszów Lubelski pełnił funkcję: dowódcy plutonu III w Brzezinach kompanii AK Narol, dowódcy placówki AK Brzeziny.

W okresie okupacji niemieckiej „Wrzos" i dowodzony przez niego oddział ochraniał ludność cywilną przed UPA oraz uczestniczył w działaniach odwetowych wymierzonych we wspierające je wsie ukraińskie. Brał także udział w bitwie o Narol (noc z 21 na 22 maja 1944 r.), podczas której z rąk UPA zginęło kilkudziesięciu Polaków oraz 13 żołnierzy AK. W ramach akcji „Burza" uczestniczył w zdobyciu Bełżca oraz zajęciu wraz z jednostkami Armii Czerwonej Tomaszowa Lubelskiego. Na polecenie Sowietów oddziały AK zostały rozwiązane. Pluton Kobosa posiadaną broń zamelinował. „Wrzos", pozostając w konspiracji, został doceniony za swoją dotychczasową służbę i 1 maja 1945 r. awansowany na podporucznika. W uzasadnieniu napisano: „Jest jednym z najlepszych dowódców plutonu, odważny, inteligentny, wyrobiony, posiadający inicjatywę".

Rosnące zagrożenie ludności polskiej ze strony UPA skłoniło dowództwo obwodu DSZ Tomaszów Lubelski do zawarcia z nimi porozumienia. W procesie tym aktywną rolę odgrywał Stefan Kobos, reprezentując kompanię Narol podczas spotkań z UPA. Po powstaniu Zrzeszenia WiN Kobos jesienią 1945 r. został dowódcą kompanii Narol. 13 listopada 1945 r. brał udział w uwolnieniu wszystkich aresztantów PUBP w Tomaszowie Lubelskim. W odwecie bezpieka spacyfikowała kilka wsi podejrzewanych o sprzyjanie podziemiu oraz wzmogła działania operacyjne wymierzone w żołnierzy kompanii Narol. Kontynuując działalność konspiracyjną, Stefan Kobos od grudnia 1947 r. ukrywał się. Topniejące szeregi konspiratorów, nasilające się represje oraz działania operacyjne bezpieki inwigilujących środowisko żołnierzy AK znacząco ograniczyły możliwość prowadzenia działalności podziemnej. W 1952 r. UB założył sprawę o kryptonimie „Pasożyty", której celem było schwytanie por. Kobosa. Aż do momentu aresztowania 21 stycznia 1956 r. ukrywał się on w Brzezinach wspierany przez mieszkańców tej miejscowości. Sukces ten bezpieka odniosła po 10 latach poszukiwań Kobosa za sprawą informacji uzyskanych od TW o ps. Szczery (za przysługę tę otrzymał nagrodę w wysokości ówczesnych 3 tys. zł).

Podczas śledztwa Stefan Kobos nie przyznał się do zarzucanych mu czynów. Przełomu w sprawie nie przyniosło wykorzystanie agentury w więzieniu. W celu zmuszenia go do zeznań funkcjonariusze bezpieki odnaleźli żonę Stefana Kobosa, Marię, i ją aresztowali (areszt 13 lutego 1956, zwolnienie 1 kwietnia 1956 r.).

Ostatecznie 28 września 1956 r. Stefan Kobos został skazany na 15 lat więzienia. Jak stwierdzał prokurator, Kobos to „typ bezwzględnego kontrrewolucjonisty, to duchowy i faktyczny przywódca kontrrewolucyjnej organizacji AK – WiN, źródło nienawiści do ustroju socjalistycznego". Pomimo petycji wysłanej do Władysława Gomułki przez mieszkańców Brzezin i okolicznych wsi z prośbą o łaskę dla Kobosa zasądzony wyrok nie został zmniejszony. Przerwę w odbywaniu kary „Wrzos"uzyskał dopiero 13 lipca 1959 r. Zamieszkał wraz z rodziną w Opolu, gdzie podjął leczenie w celu podratowania zdrowia. Był inwigilowany przez miejscowe struktury SB. Zmarł 24 lipca 1976 r. w Opolu, gdzie został też pochowany. Już za życia jego działalność urosła wśród mieszkańców powiatów lubaczowskiego i tomaszowskiego do rangi legendy.



Wojciech Hanus, „Jeden z ostatnich. Stefan Kobos ››Wrzos‹‹ (1900–1976). Przyczynek do dziejów konspiracji niepodległościowej na Narolszczyźnie", IPN Rzeszów 2018

eprasa.pl 0aa789525f



GRZEGORZ GÓRNY

Polski odpowiednik kardynała Richelieu

Jednym z największych przywódców w dziejach Francji był bez wątpienia kardynał Richelieu. Zarówno przez współczesnych mu, jak i potomnych postrzegany był bardziej jako polityk i mąż stanu niż kapłan Chrystusowy. Przez 18 lat był pierwszym ministrem na dworze Ludwika XIII, i to on – a nie król – sprawował rzeczywistą władzę w państwie. Prowadził w tym czasie wojny, burzył zamki wrogów, ścinał spiskowców. Gdybyśmy w naszej historii mieli szukać odpowiedników Richelieu, to bez wątpienia nasz wybór musiałby paść na pierwszego kardynała narodowości polskiej – Zbigniewa Oleśnickiego.

Był to w naszych dziejach jedyny dostojnik Kościoła, który de facto sprawował samodzielne rządy w państwie. Działo się to pod koniec panowania Władysława II Jagiełły i w okresie małoletniości Władysława III Warneńczyka. Przez niemal dwie dekady jego wizje kształtowały politykę Korony Polskiej.

Początkowo nie myślał o karierze kościelnej, lecz o rzemiośle rycerskim. Te plany pokrzyżowało jednak wydarzenie, do którego doszło podczas bitwy pod Grunwaldem. Oleśnicki dobił wówczas strąconego z konia i bezbronnego rycerza krzyżackiego Dypolda von Koekritz. Ten czyn, uznany za niehonorowy, zamknął mu drogę do stanu rycerskiego. Pozostała mu więc kariera duchowna, choć i tak – żeby przyjąć święcenia kapłańskie – musiał się ubiegać o specjalną dyspensę u papieża Marcina V, gdyż przelał krew człowieka. Z czasem doszedł do najwyższych godności w polskim Kościele.

Jako biskup krakowski zapisał się w historii zwołaniem trzech synodów, propagowaniem kultu św. Stanisława, wspieraniem bractw religijnych, erygowaniem klasztoru bernardynów, założeniem opactwa paulinów w Pińczowie czy ufundowaniem bursy z biblioteką dla studentów Akademii Krakowskiej. Zasłynął też jako mecenas i protektor humanistów, m.in. Jana Długosza. Bardziej znana okazała się jednak jego działalność polityczna.

Tak jak Richelieu służył dynastii Bourbonów, pragnąc z niej uczynić najbardziej wpływowy ród w Europie, tak Oleśnicki służył Jagiellonom, choć niekiedy postrzegał ich interesy odmiennie niż oni sami. Obaj kardynałowie byli mistrzami intryg politycznych i zakulisowej dyplomacji, choć nie cofali się też przed użyciem siły. Tak jak francuski dostojnik złamał potęgę hugenotów, tak polski rozprawił się z husytami. Kiedy pokonał reprezentującą stronnictwo proczeskie opozycję szlachecką w bitwie pod Grotnikami, nakazał, aby ciało jej przywódcy – Spytka z Melsztyna, rannego i dobitego na pobojowisku – leżało niepochowane przez trzy dni.



Arcybiskup Zbigniew Oleśnicki – przez dwie dekady jego wizje kształtowały politykę Korony Polskiej, Jan Matejko

Sprzeciwiał się sojuszowi Polski z Czechami, uważając za strategiczny alians z Madziarami. Głównie dzięki jego staraniom udało się zdobyć koronę Węgier dla króla Władysława III. Uważał, że oba kraje powinny zjednoczyć się przed wspólnym zagrożeniem, czyli nawałą muzułmańską. Wschodnie ziemie Polski, a zwłaszcza Podole, były bowiem pustoszone przez najazdy tatarskie, Węgry znajdowały się zaś w niebezpieczeństwie bezpośredniego ataku przez imperium osmańskie. To był główny motyw, który spowodował wyprawę zbrojną przeciw Turkom w latach 1443–1444, choć niewątpliwie dochodziła do tego też motywacja religijna. Da się ją wyczytać choćby z listów młodego króla, piszącego: „Z obojętnością zniesiemy własne i kraju rany, nie czujemy ich, podejmując trud dla wiary”.

Był to trud militarny zmierzający do wyzwolenia spod jarzma tureckiego Greków i Bułgarów, do uratowania Cesarstwa Bizantyjskiego, Patriarchatu Konstantynopola oraz Unii Florenckiej. Papież Eugeniusz IV liczył, że dzięki pokonaniu Osmanów zostanie nie tylko odparte od Europy zagrożenie muzułmańskie, lecz także dojdzie do ponownego zjednoczenia podzielonego chrześcijaństwa wschodniego i zachodniego. Niestety kampania zakończyła się śmiercią króla w bitwie pod Warną. Dziewięć lat później padł Konstantynopol. Z czasem łupem Turcji padły całe Bałkany. Nie doszło też do zjednoczenia Kościołów. Gdyby się udało, Oleśnicki być może zająłby poczesne miejsce w historii nie tylko Polski, lecz także Europy.

eprasa.pl 0aa789525f

ŚWIĘTE MIEJSCA II RZECZYPOSPOLITEJ

HISTORIE POMNIKÓW I NEKROPOLII UPAMIĘTNIAJĄCYCH WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI ŁĄCZĄ SIĘ ZE SOBĄ W NIEZWYKŁY SPOSÓB



Grób Nieznanego Żołnierza przy placu Saskim, 1 listopada 1927 r.



ANDRZEJ FEDOROWICZ

Wiosną 1920 r. Lwów wracał do życia po trwających siedem miesięcy walkach między Polakami a Ukraińcami. Rozpoczęły się one na początku listopada 1918 r., gdy uzbrojone przez Austriaków formacje ukraińskie rozpoczęły przejmowanie władzy w mieście, dążąc do ustanowienia państwa obejmującego całą wschodnią Małopolskę aż po San. W odpowiedzi na zajmowanie przez Ukraiński Komitet Wojskowy gmachów publicznych w zachodnich dzielnicach Lwowa zaczęły spontanicznie powstawać polskie oddziały, które zajęły lub odbiły wiele kluczowych obiektów.

Ponieważ trwała jeszcze I wojna światowa i większość dorosłych mężczyzn znajdowała się w wojsku lub obozach jenieckich, oddziały rekrutowały się bardzo często spośród młodych ludzi. Nazwano ich Orlętami Lwowskimi. W żywiołowych partyzanckich walkach o miasto wzięło udział ponad sześć tysięcy ochotników i żołnierzy, z których niemal jedną czwartą stanowili uczniowie szkół oraz studenci. Najmłodszy miał dziewięć lat, a siedmiu po dziesięć.

Po trzech tygodniach walk przybyła niewielka odsiecz pod dowództwem ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego. W obawie przed okrążeniem ukraińskie wojska wycofały się z miasta, rozpoczynając jednocześnie jego wielomiesięczne oblężenie. Półroczną gehennę mieszkańców zakończyło dopiero wejście polskiego wojska w maju 1919 r.

Rok później Lwów musiał stawić czoła kolejnej agresji – tym razem bolszewickiej. Gdy wiosną 1920 r. na północy rozpoczęła się wielka ofensywa armii Michaiła Tuchaczewskiego w stronę Warszawy, polskie dowództwo wycofało spod Lwowa większość oddziałów. Tymczasem do miasta zbliżała się zaprawiona w boju 16-tysięczna bolszewicka Armia

FOT. NAC

eprasa.pl 0aa789525f

Konna (Konarmia) Siemiona Budionnego. Było jasne, że pozostałe jednostki nie będą w stanie go obronić. W wyniku wielkiej mobilizacji z całej Małopolski do obrony Lwowa zgłosiło się ok. 20 tys. ochotników. Sześć tysięcy zostało wcielonych do regularnej armii, a 12 tys. do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej (MOAO).

300 spod Zadwórza

Trzon kadry MOAO tworzyli zaprawieni w wielomiesięcznych bojach z Ukraińcami dowódcy Orląt, tacy jak rtm. Roman Abraham, który stanął na czele oddziału wypadowo-pościgowego. Jednym z jego batalionów dowodził kpt. Bolesław Zajączkowski, 29-letni notariusz z Brodów. To właśnie jemu przyszło odegrać rolę polskiego Leonidasa. Siły obrońców Lwowa były zbyt małe, by zatrzymać Konarmię, ale mogły spowolnić jej marsz.

17 sierpnia 1920 r. ok. 350 żołnierzy dowodzonych przez kpt. Zajączkowskiego maszerowało wzdłuż linii kolejowej na Lwów, gdy nagle dostali się pod silny ostrzał. Oddalona 33 km od Lwowa mała stacja kolejowa Zadwórze, która jeszcze poprzedniego dnia była w polskich rękach, została zdobyta przez czerwonoarmistów z 6 Dywizji Konarmii. Celne strzały zniszczyły m.in. prowadzone przez Polaków wózki z amunicją. Kapitan Zajączkowski podjął więc śmiałą decyzję o ataku na Zadwórze, por. Antoni Dawidowicz miał w tym czasie zneutralizować baterię sowieckiej artylerii. W południe, po pięciu godzinach zażartych walk, stacja kolejowa została odbita.

Polskie Termopile

Na pomoc swoim oddziałom pośpieszyli jednak kozacy Budionnego. Siły Polaków i bolszewików były jak jeden do dziesięciu. W ciągu 11 godzin batalion kpt. Zajączkowskiego odparł sześć kawaleryjskich szarż, jednak o zmierzchu zaczęło brakować amunicji. Początkowo zabierano ją zabitym, potem walczono na bagnety. Wieczorem, widząc, że sytuacja jest beznadziejna, kapitan zdecydował o wycofaniu pozostałych przy życiu żołnierzy w stronę lasu barszczowickiego. Polacy szybko się zorientowali, że są w okrążeniu, jednak wezwanie do poddania się zostało z pogardą odrzucone.

Ostatnią kulę kpt. Zajączkowski zachował dla siebie. Inni walczyli do końca – na bagnety, kolby, gołymi rękami. Rozwścieczeni oporem budionnowcy dobijali rannych, zabitym odcinali głowy, ręce i nogi. Po bitwie spośród 318 poległych Polaków udało się zidentyfikować tylko 106 ciał. Kilkunastogodzinną bitwę przeżyło 12 rannych, ok. 25 dostało się do niewoli (wrócili do Polski w 1923 r. w ramach wymiany jeńców). Konarmia nie zdobyła Lwowa, a ofensywa znad Wieprza pozwoliła wkrótce przejąć Polakom strategiczną inicjatywę w wojnie.

Za udział w walkach z bolszewikami Lwów został odznaczony przez marsz. Piłsudskiego Orderem Virtuti Militari, a Zadwórze stało się symbolem męstwa i poświęcenia – polskimi Termopilami. W 1920 r. nad zbiorową mogiłą poległych usypano kurhan. Była to pierwsza w Polsce nekropolia upamiętniająca walki o niepodległość.

Bohater projektuje cmentarz bohaterów

Tymczasem polegli uczestnicy walk o Lwów z 1918 r. wciąż nie mieli swojego miejsca spoczynku. Zginęło lub zmarło od ran 439 obrońców, których grzebano na prowizorycznych cmentarzach w całym mieście. W 1919 r. zaczęła rodzić się idea wspólnego Cmentarza Obrońców Lwowa, jednak prowadzące kilka wojen młode państwo nie miało środków na jego budowę.

Zadanie zebrania funduszy wzięła na siebie Maria Ciszkowa, matka jednego z poległych gimnazjalistów. Powołana przez nią organizacja Straż Mogił Polskich Bohaterów rozpisała także konkurs na cmentarz-mauzoleum. Wygrał go 29-letni Rudolf Indruch, uczestnik walk. Ciężko ranny w czasie obrony miasta, z zaawansowaną gruźlicą, wiedząc, że jego życie dobiega końca, z wielkim zapałem zabrał się do pracy. Za zwycięski projekt nie wziął żadnej zapłaty.

Na miejsce nekropolii wybrano teren przylegający do Cmentarza Łyczakowskiego od strony Pohulanki. W najwyższym jego punkcie miała się znaleźć okrągła Kaplica Obrońców Lwowa, a cała nekropolia składała się z kilku zharmonizowanych części. Poniżej kaplicy znalazły się katakumby, w których pochowano ciała 72 obrońców oraz bohaterów walk z różnych odcinków frontu polsko-ukraińskiego z początku listopada 1918 r. W grobach za katakumbami pochowano m.in. najmłodszych obrońców, Lwowskie Orlęta, od których cmentarz wziął swoją nieoficjalną nazwę.

Na cmentarzu znalazła się też mogiła Pięciu Nieznanych z Persenkówki oraz groby zbiorowe, w tym bohatera spod Zadwórza, kpt. Zajączkowskiego, i kilku oficerów z jego batalionu. Nekropolia została uroczyście otwarta we wrześniu 1924 r.

Tajemnicza płyta pod Pałacem Saskim

Gdy Lwów otwierał cmentarz swoich bohaterów, miejsca pamięci nie miała wciąż Warszawa, mimo że już w 1921 r. pojawiły się inicjatywy uczczenia bezimiennych żołnierzy poległych w walkach o wolność kraju.

Jeden z projektów zakładał zbudowanie kapliczki w warszawskiej katedrze św. Jana, ale nie spotkał się z uznaniem. Hojne zazwyczaj w takich razach społeczeństwo oczekiwało czegoś bardziej monumentalnego i nie wsparło finansowo inicjatywy. Kolejny projekt autorstwa stowarzyszenia Polski Żałobny Krzyż, przewidujący usypanie kopca obok Cytadeli lub budowę pomnika obok parku Skaryszewskiego, również nie doczekał się realizacji. W listopadzie 1923 r. prezydent Stanisław Wojciechowski powołał Tymczasowy Komitet Organizacyjny Budowy Pomnika Nieznanego Żołnierza. Chociaż w jego skład weszli najwyżsi rangą generałowie, m.in. Rozwadowski, Żeligowski, Haller, Sikorski, Sosnkowski i Śmigły-Rydz, przez kolejny rok nie nastąpiły żadne działania.

2 grudnia 1924 r. pod pomnik księcia Józefa Poniatowskiego stojący przed Pałacem Saskim w Warszawie zajechała ciężarówka. Zniesiono z niej kamienną płytę o wymiarach 1 na 2,5 m z wyrytym krzyżem i napisem „Nieznanemu żołnierzowi, poległemu za Ojczyznę". Została złożona pod cokołem i przez kolejne dni prasa i opinia publiczna zachodziły w głowę, kto był jej fundatorem. Dopiero to zmobilizowało komitet do działania. Ponieważ tajemnicza płyta przyciągała tłumy warszawiaków, postanowiono, że grób znajdzie się w kolumnadzie Pałacu Saskiego.

Generałowie pod presją

W marcu 1925 r. wybrany przez rząd rzeźbiarz Stanisław Ostrowski rozpoczął przymiarki do tworzenia grobu. Trzon stanowić miały trzy środkowe spośród ówczesnych 11 arkad »

eprasa.pl 0aa789525f

» podtrzymujących kolumnadę pałacu. Środkową przeznaczono na głęboki na 1,5 m metalowy grobowiec zamykany stalową płytą. Nad nią miała się znaleźć kamienna niepolerowana płyta z napisem „Tu leży żołnierz polski poległy za ojczyznę", a u wezgłowia wiecznie płonący znicz.

Otoczenie grobu zamierzano wyłożyć czarnym błyszczącym granitem, a na sklepieniu umieścić fresk z wieńcem laurowym i dwa lampiony. Na elewacji miały się znaleźć płaskorzeźby mieczy ujętych w husarskie skrzydła, a od strony Ogrodu Saskiego arkady planowano zamknąć ozdobną kratą z umieszczonymi na niej wojskowym orzełkiem oraz Krzyżem Walecznych i Krzyżem Virtuti Militari.

Równolegle z budową pomnika komitet musiał rozstrzygnąć, skąd ekshumować zwłoki nieznanego żołnierza. Czas gonił, ponieważ w międzyczasie ten sam tajemniczy darczyńca złożył pamiątkowe płyty w kolejnych 22 miastach, w tym m.in. Bydgoszczy, Chełmnie, Krakowie, Lublinie i Łodzi. W końcu Biuro Historyczne Ministerstwa Spraw Wojskowych wybrało 15 pobojowisk z okresu od listopada 1918 r. do września 1920 r. Losowania dokonał najmłodszy wśród zaproszonych na uroczystość kawaler Orderu Virtuti Militari, ogniomistrz Józef Buczkowski. Wybór padł na Lwów.

Zadwórze–Lwów–Warszawa

Po koniec października 1925 r. spośród 275 bezimiennych grobów na Cmentarzu Orląt wykopano trzy trumny. Jedną z nich wskazała Jadwiga Zarugiewiczowa, matka poległego w bitwie pod Zadwórzem 19-letniego Konstantego Zarugiewicza, którego ciała nie zidentyfikowano. Wybór, jak się okazało, padł na ochotnika w wieku ok. 14 lat, bez wojskowej szarży, który zginął od postrzału w głowę.

Ciało poległego chłopca przeniesiono do nowej trumny i uroczyście przewieziono do Warszawy 1 listopada 1925 r., w asyście kolejarzy z pochodniami i gromadzących się na całej trasie tłumów. Następnego dnia na pl. Saskim rozpoczęły się wielkie uroczystości z udziałem władz państwowych i religijnych wszystkich wyznań. O godz. 13, przy biciu kościelnych dzwonów, trumna z ciałem nieznanego żołnierza została opuszczona do grobowca razem z aktem erekcyjnym oraz pojemnikami z ziemią z pozostałych 14 pobojowisk. Zarówno nazwy Zadwórza, jak i Lwowa zostały wyryte wcześniej na łukach Grobu.

Dopiero trzy lata później, w 1928 r., wyszło na jaw, kto był inicjatorem złożenia pierwszej tablicy na pl. Saskim. Jej fundatorem okazało się Zjednoczenie Polskich Stowarzyszeń w Rzeczypospolitej, antykomunistyczna organizacja, powołana w październiku 1920 r. przez weteranów Armii Ochotniczej i straży obywatelskich z czasów wojny z bolszewikami. Jej prezesem był Adam hrabia Zamoyski, jeden z najbogatszych wówczas ziemian, działacz społeczno-polityczny, weteran powstań śląskich, a później prezes Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół".

Dramatyczne losy polskich symboli

Nekropolie w Zadwórzu i we Lwowie przez kolejne lata rozbudowywano. W 1925 r. wyeksponowano na Cmentarzu Orląt miejsce, z którego zabrano do Warszawy ciało ochotnika. W późniejszych latach odsłonięto również pomnik lotników amerykańskich, ochotników, z których trzech zginęło w walkach z Ukraińcami i bolszewikami, oraz pomnik francuskich żołnierzy poległych w obronie Polski. 11 listopada 1934 r. odsłonięto też Pomnik Chwały z dwoma strzegącymi go lwami. Jeden z nich ma na tarczy napis „Zawsze wierny" i herb Lwowa, drugi napis „Tobie Polsko" i godło Rzeczypospolitej.

W 1928 r. na szczycie kurhanu w Zadwórzu odsłonięto pomnik w kształcie słupa granicznego według projektu Wawrzyńca Dajczaka. Tablicę znajdującą się u podnóża kurhanu ufundował Filip Hawzan, kolejarz ze Stryja, którego syn poległ w bitwie. Umieszczono na niej napis: „Orlętom, poległym w dniu 17 sierpnia 1920 r. w walkach o całość ziem kresowych". Do końca II Rzeczypospolitej kurhan i stojący na nim pomnik były celem młodzieżowych rajdów i miejscem harcerskich ślubowań.

W czasach Związku Sowieckiego obie nekropolie były systematycznie dewastowane. Obecnie są one odnowione, chociaż wciąż budzą niechęć ukraińskich władz. Nowa tablica na kurhanie w Zadwórzu ma obecnie dwujęzyczny napis: „Polskim Orlętom poległym w walce z wojskami bolszewickimi". Lwy spod Pomnika Chwały wróciły na odnowiony Cmentarz Orląt dopiero w 2015 r. Wywiezione w inne miejsca miasta pomimo uszkodzeń szczęśliwie przetrwały.

Najmniej pozostało z Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Gdy 28 grudnia 1944 r. oddział Sprengskommando pod dowództwem mjr. Wegnera wysadził w powietrze Pałac Saski, monumentalna kolumnada nad grobem nie runęła w całości. Następnego dnia wznowiono więc burzenie i wtedy sklepienie arkad się zapadło, a płyta nagrobna została przysypana gruzem. Ocalały jedynie fragmenty trzech (z 11) arkad i czterech (z 12) kolumn.

W listopadzie 1945 r. z rozkazu naczelnego dowódcy Wojska Polskiego, komunistycznego marszałka Michała Roli-Żymierskiego, rozpoczęto odtwarzanie Grobu Nieznanego Żołnierza jako pomnika-ruiny, ze zmienionym wystrojem. W takim kształcie, mimo kilku modyfikacji, stoi do dziś.

FOT. M. CZUTKO



Cmentarz Orląt Lwowskich współcześnie

Prasa.pl 0aa789529

ODWILŻ POLITYCZNA W 1956 r. SPRAWIŁA, ŻE EMIGRACYJNI POLITYCY I PUBLICYŚCI BACZNIE PRZYGLĄDALI SIĘ WYDARZENIOM W KRAJU, A O SYTUACJI NAD WISŁĄ NA PIERWSZYCH STRONACH INFORMOWAŁA POLSKA PRASA NA ZACHODZIE



KRZYSZTOF TARKA

GŁOSOWANIE, NIE WYBORY

Głosowanie w Obwodowym Komitecie Wyborczym podczas wyborów parlamentarnych, 20 stycznia 1957 r.

FOT. PAP/HENRYK ROSIAK

Atmosfera polityczna i nastroje społeczne w Polsce przed wyborami w styczniu 1957 r. sprawiły, że różniły się one zarówno od wcześniejszych, jak i późniejszych kampanii wyborczych w PRL. Komentator poczytnego wśród polskiej społeczności w Wielkiej Brytanii „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" przyznał, że „propaganda przedwyborcza w prasie [krajowej] jest niewątpliwie pełniejsza i gwałtowniejsza niż kiedykolwiek przedtem". Wybory były jednak kontrolowane przez partię komunistyczną, choć większa o blisko dwie trzecie liczba kandydatów niż miejsc w sejmie dawała ograniczoną możliwość wyboru (w wyborach z 1952 r. liczba kandydatów równała się liczbie miejsc w sejmie).

W przemówieniu noworocznym 6 stycznia 1957 r. prezydent RP August Zaleski dostrzegł pewną poprawę sytuacji w kraju, nie liczył jednak, że pod „okupacją rosyjską" i rządami komunistów dokonają się zmiany zasadnicze. Jak podkreślił, dopiero po wycofaniu Związku Sowieckiego do granic sprzed II wojny światowej oraz po przywróceniu wolności Polsce i pozostałym krajom Europy Środkowo-Wschodniej w kraju mogłyby się odbyć wolne wybory. Przeciwnicy prezydentury Zaleskiego na emigracji z gen. Władysławem Andersem na czele domagali się przeprowadzenia wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodową.

Prasa: Gomułka przeciwko Moskwie

Już nazajutrz po wyborach, czyli 21 stycznia, londyński „Dziennik Polski", powołując się na doniesienia korespondentów zagranicznych w Warszawie, donosił, że głosowanie przebiegło spokojnie. Autor komentarza napisał, że podczas niedzielnego głosowania Polacy w kraju nie mieli możliwości dokonania wyboru, a do »

eprasa.pl 0aa789525f

» urn poszli pod „olbrzymim moralnym przymusem". Redakcja informowała o radiowym przemówieniu Władysława Gomułki z 19 stycznia, który zaapelował o głosowanie bez skreśleń. Przytaczając jego słowa, emigracyjny dziennik podkreślił, że I sekretarz KC PZPR, posługując się szantażem moralnym, zagroził wyborcom, że jeśli będą skreślać nazwiska czołowych kandydatów, to „skreślą Polskę z mapy świata". W ocenie emigrantów Gomułka postawił społeczeństwo przed alternatywą: „Albo poprzecie w stu procentach moją partię, albo będziecie znów mieć Rosjan na karku".

Londyński „Dziennik Polski" przyznał jednak, że skala poparcia dla Gomułki świadczyła o tym, że gdyby w Polsce odbyły się wolne wybory, to zdobyłby on bez trudności mandat poselski. Chwalono też jego odwagę i siłę charakteru. Jeszcze niedawno trudno było sobie wyobrazić pozytywne opinie prasy emigracyjnej na temat I sekretarza KC PZPR. Gomułce przeciwstawiano premiera Józefa Cyrankiewicza. Z ubolewaniem konstatowano, że partia komunistyczna „wychowała sobie trochę Gomułków i zgraje Cyrankiewiczów".

Prasa emigracyjna nie kwestionowała wyniku wyborów ani bardzo wysokiej frekwencji, która przekroczyła 94 proc. W przekonaniu emigrantów o masowym udziale w wyborach, zwłaszcza na wsi, zdecydować miało stanowisko Episkopatu Polski, który zachęcał wiernych do udziału w głosowaniu. Postawę Kościoła katolickiego przyjęto na wychodźstwie ze zrozumieniem. Nikt nie krytykował biskupów ani prymasa Stefana Wyszyńskiego. Odnotowano też „duży sukces" kandydatów katolickich. Podawano, że Stanisław Stomma zdobył największą liczbę głosów w Krakowie, a Stefan Kisielewski zwyciężył we Wrocławiu. Zdecydowana większość emigracyjnych publicystów z uznaniem pisała też o rozwadze, dojrzałości politycznej i spokoju rodaków w kraju.

W komentarzach podkreślano, że wybory były swego rodzaju plebiscytem przeciwko Moskwie, a Gomułka, choć komunista, zdobył społeczne poparcie jako ten, który przeciwstawił się Kremlowi. Zdaniem emigrantów osobisty sukces I sekretarza nie był jednak równoznaczny z mandatem do rządzenia dla Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wybory były też zatwierdzeniem w drodze publicznego głosowania przemian dokonanych w ostatnim czasie w Polsce. Emigranci czekali teraz na „drugi" etap Października, prowadzący do uwolnienia kraju spod dominacji sowieckiej. Gomułki, przynajmniej na razie, nie postrzegano jako przeszkody na drodze do realizacji tego postulatu.

PSL krytycznie

Już nazajutrz po wyborach głos zabrał Mikołajczyk, który w Stanach Zjednoczonych utworzył trzeci ośrodek polityczny na emigracji, kontestujący cały „polski" Londyn. Prezes PSL przyrównał wybory z 1957 r. do „niesławnych" wyborów sprzed 10 laty. Był też pewien, że „wielu Polaków" zbojkotowało głosowanie. Nie czekając na ogłoszenie oficjalnych wyników, zapowiadał, że i tak zostaną one sfałszowane. Skrytykował również „niektóre zachodnie radiostacje" (chodziło mu o Rozgłośnię Polską Radia Wolna Europa), które – jak twierdził – „doradzały głosującym Polakom iść do urn wyborczych i głosować na komunistycznych kandydatów". Stanowisko prezesa PSL było jednak odosobnione i odbiegało nawet od najbardziej krytycznych głosów niezłomnych emigrantów z „polskiego" Londynu. Paradoksalnie ludowcy, którzy w większości wraz z Mikołajczykiem w 1945 r. wrócili z emigracji do kraju i współtworzyli z komunistami Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, a później ponownie znaleźli się na emigracji, w sprawie wyborów z 1957 r. zajęli najbardziej skrajne i nieprzejednane stanowisko. Na postawę Mikołajczyka niewątpliwie wpływały zadawnione urazy i osobiste porachunki z Gomułką.

Chadecy za „eksperymentem Gomułki"

Polityczni sojusznicy ludowców ze Stronnictwa Pracy Karola Popiela w sprawie wyborów zajęli odmienne stanowisko. Chadecy, podobnie jak inne ugrupowania na emigracji, nie mieli wątpliwości, że niedawne wybory w Polsce nie były wyborami wolnymi. Uważali, że wyborcy, w przeważającej większości głosując zgodnie z apelem Gomułki, „udzielili mandatu zaufania właściwie jemu samemu, a nie jego partii". Wskazywali też, że swoje zwycięstwo zawdzięcza on postawie i poparciu Kościoła katolickiego w Polsce. Apel Gomułki o głosowanie bez skreśleń tłumaczyli wręcz rozpaczliwym stanem nastrojów w kierownictwie PZPR, spowodowanym doniesieniami o dywersyjnej akcji partyjnych przeciwników I sekretarza. Popierając „eksperyment Gomułki" jako etap na drodze do „uzyskania z czasem prawdziwej wolności", opowiadali się za zmianami ewolucyjnymi w Polsce. Krytykując „niektórych polityków emigracyjnych" (chodziło im o Mikołajczyka, choć jego nazwisko nie pada) za wyznawanie zasady „im gorzej, tym lepiej", sami byli zwolennikami hasła „im lepiej, tym lepiej".

Oficjalne stanowisko rządu RP

Oficjalne stanowisko władz emigracyjnych jako pierwsza przedstawiła



FOT. NAC

W pierwszym rzędzie od lewej siedzą: prezes Rady Ministrów Józef Cyrankiewicz, I Sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka i przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki, 20 lutego 1957 r.

Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego. W oświadczeniu wydanym 25 stycznia podkreślono, że niedawne wybory w Polsce nie były wolne ani demokratyczne, gdyż odbywały się przy obecności stacjonujących w kraju garnizonów sowieckich i pod groźbą wojskowej interwencji Moskwy. Wyborcy mogli głosować tylko na jedną listę i wybierać jedynie spośród kandydatów dopuszczonych przez partię komunistyczną. Jak jednak zaznaczono, powszechny udział w wyborach oddalił niebezpieczeństwo zbrojnej interwencji sowieckiej oraz wzmocnił postawę czynników, które „w narzuconych Polsce warunkach dążą do znośniejszego bytu narodowego".

Podobny charakter i treść miało oświadczenie wydane trzy dni później przez rząd RP na uchodźstwie. Czytamy w nim, że w Polsce odbyło się głosowanie, a nie wybory. „Zamkowi" politycy (zwolennicy prezydentury A. Zaleskiego) wyraźniej niż ich emigracyjni konkurenci przestrzegali też przed złudzeniami wiązanymi z Gomułką. Było dla nich oczywiste, że Gomułka, gdyby nawet chciał, nie mógłby uniezależnić Polski od Związku Sowieckiego. Podkreślano również, że Polska jest otoczona przez wojska sowieckie (w rzeczywistości Sowieci nie stacjonowali wówczas w Czechosłowacji), a oddziały sowieckie znajdowały się również na jej terytorium. Wskazując na dojrzałość polityczną rodaków w kraju, podkreślono, że wybrali oni tylko „mniejsze zło z dwojga złego", ponieważ wybór całkowitej wolności i niepodległości nie był możliwy.

W ocenie postsanacji...

Stefan Mękarski, znany emigracyjny publicysta i polityk, specjalizujący się w analizach sytuacji w kraju, na łamach biuletynu postsanacyjnej Ligi Niepodległości Polski „Za Wolność i Niepodległość" podkreślił, że wybory w Polsce nie były wyborami wolnymi, gdyż „wybory w ustroju narzuconym – i to narzuconym z zewnątrz – nie mogą być wolne". Większa liczba kandydatów na posłów niż mandatów w danym okręgu teoretycznie dawała głosującemu prawo skreślania nieodpowiadających mu osób, ale i to bardzo ograniczone prawo wyboru zostało ostatecznie „w praktyce mocno osłabione przez kierownictwo partyjne". Odrzucając teorię o sfałszowaniu wyborów, niebywale wysoką frekwencję Mękarski tłumaczył niewątpliwą popularnością samego Gomułki, którego ponowne dojście do władzy „społeczeństwo odczuło jako rzeczywistą ulgę". Po Październiku Gomułka, choć komunista, postrzegany był przez rodaków w kraju jako Polak i narodowy przywódca. „Partia skapitulowała przed społeczeństwem – wyjaśniał publicysta – ogłosiła przez usta Gomułki program reform wewnętrznych, który z komunizmem, z doktryną marksowsko-leninowską ma już związki czysto platoniczne". Według niego w styczniowych wyborach z 1957 r. Polacy głosowali nie za komunizmem, lecz za programem reform. W danej zaś sytuacji geopolitycznej realizacji tych reform przewodzić mogła tylko PZPR. Mękarski zgadzał się z opinią, że głos oddany w wyborach na Gomułkę był głosem przeciw groźbie interwencji Kremla, którą uważał za jak najbardziej realną. Taka sytuacja – jego zdaniem – skłoniła także episkopat do „podtrzymania" Gomułki. Miał też nadzieję, że I sekretarz, powołując się wobec Moskwy na społeczne poparcie, „może odważnie podjąć inicjatywę wydobywania Polski z dna katastrofy politycznej, gospodarczej i kulturalnej". Jak dodał, kredyt udzielony mu przez społeczeństwo nie był bezwarunkowy. Mękarski zwracał również uwagę na kontekst międzynarodowy. Jak stwierdził: „Nie możemy przymykać oczu na prawdę, że dopóki trwać będzie dotychczasowa postać polityki koegzystencji między Zachodem a Wschodem, Rosja jest i będzie czynnikiem, który rozstrzygać będzie o granicach »odwilży« w Polsce".

...narodowców

Redaktor naczelny „Myśli Polskiej" oraz znany publicysta i polityk Stronnictwa Narodowego Wojciech Wasiutyński, choć uważał, że styczniowe wybory w kraju nie miały demokratycznego charakteru, to nie negował całkowicie ich znaczenia. Jak zaznaczył: „Byłoby jednak błędem uważać te wybory za zwykłą komedię, jaką odgrywa się w Sowietach i krajach przez nie okupowanych". Argumentował, że tym razem w Polsce była możliwość niepójścia do wyborów, „bo aparat nacisku policyjnego nie działa". Ekipa Gomułki „bardzo poważnie" obawiała się bojkotu wyborów, zwłaszcza na wsi. Aby temu zapobiec, komuniści zwrócili się do episkopatu o poparcie. Według Wasiutyńskiego: „Episkopat nie miał właściwie wyboru. Odmowa poparcia wyborów oznaczałaby pchnięcie Polski na drogę nieobliczalnych wydarzeń". Jak zaznaczył, wezwanie prymasa Wyszyńskiego do głosowania „odniosło pełny skutek". Nawet jeśli 94-procentowa frekwencja była „poprawiona" (zawyżona), nie ulegało dla niego wątpliwości, że w wyborach wzięła udział wielka liczba głosujących. W rezultacie Kościół katolicki stał się „cichym współrządcą Polski". W ocenie Wasiutyńskiego sens styczniowych wyborów w Polsce sprowadzał się do wyboru „między obecnym stanem a powrotem Sowietów". W tej sytuacji Polacy w kraju niemal jednomyślnie poparli Gomułkę. Wybory dały też I sekretarzowi pewien mandat wobec Kremla. Były również wymownym świadectwem, że „wszyscy w Polsce wolą to, co jest w tej chwili, od tego, co było przez poprzednie dziesięć lat". Endecki publicysta nie zgadzał się z tezą, że komunizm „przeorał duszę polską i wszystko zmienił". Wybiegając w nieokreśloną przyszłość, był przekonany, że w Polsce odrodzą się jeszcze historyczne ruchy polityczne z obozem narodowym na czele: „I tam, gdzie kiedyś posiano pszenicę, nie wzejdzie kukurydza, tylko pszenica".

...socjalistów

Redaktor naczelny socjalistycznego „Robotnika" i przewodniczący PPS w Wielkiej Brytanii Adam Ciołkosz wskazał na trzy istotne różnice między wyborami z 1957 r. a poprzednimi w 1952 r.: z listy kandydatów mieli być wykluczeni główni winowajcy „wypaczeń" i zatwardziali przeciwnicy „odnowy", satelici PZPR, czyli ZSL i SD, oraz katolicy postępowi mieli uzyskać większą reprezentację sejmową, a wyborcy otrzymać możność wybierania pomiędzy kandydatami Frontu Jedności Narodu. To ostatnie rozwiązanie przypominało zresztą Ciołkoszowi sanacyjną ordynację wyborczą z 1935 r., co świadczy o sile i trwałości jego urazów politycznych. Ciołkosz przychylał się do opinii, że wynik wyborów był osobistym sukcesem Gomułki, ale nie świadczył o zaufaniu Polaków do partii komunistycznej. Jak podkreślił: „Było to głosowanie za Gomułką i przeciw sowieckim czołgom na ulicach Warszawy; za Gomułką i przeciw potencjalnemu polskiemu Kadarowi; w tym głosowaniu przegrała Moskwa i jej natolińska agentura". Jak wielu emigracyjnych publicystów miał też nadzieję, że popaździernikowa demokratyzacja będzie się nadal rozwijać. Rozczarowanie przyszło jednak szybko.

eprasa.pl 0aa789525f

O pasji odkrywania i najstarszych dziejach mieszkańców Pomorza Zachodniego Monika Mazanek-Wilczyńska rozmawia z dr. MARCINEM DZIEWANOWSKIM – archeologiem, regionalistą, który przez 30 lat badań wydobył ponad 100 tys. obiektów archeologicznych, m.in. najstarsze na Pomorzu Zachodnim zabytki związane z religią chrześcijańską



ZIEMIA PEŁNA ŚWIADECTW

Pan zainteresował się archeologią, będąc dzieckiem i już jako nastolatek miał pan pierwsze odkrycia archeologiczne na koncie.

Marcin Dziewanowski: Pierwsze moje odkrycia wiążą się z moim dawnym miejscem zamieszkania, czyli osiedlem Głębokie. Okazało się, że na brzegu jeziora i bardzo płytko na dnie możemy znaleźć np. naczynia średniowieczne z czasów, kiedy pojawili się tutaj zakonnicy i tworzyli Dolinę Siedmiu Młynów. Ale zdarzają się też znaleziska dużo starsze, sprzed 12 tys. lat, kiedy pierwsze społeczności kultury Federmesser przybyły na te ziemie. Następnie, po przeprowadzce do dzielnicy Gumieńce, dorastałem wśród świadectw historycznych. Wówczas ta część Szczecina była jeszcze niezagospodarowana i miała charakter rolniczy. Hełmy, pociski, guziki wojskowe i monety leżały na polach i łąkach. Właśnie tam miałem okazję odkryć wiele zabytków archeologicznych, które nie były w żaden sposób objęte ochroną. Przed budynkiem szkoły podstawowej można było zobaczyć odsłonięte paleniska słowiańskie i ceramikę z XI–XII w. Poza mną nikt ich wówczas nie dokumentował i te doświadczenia odegrały ważną rolę w kształtowaniu moich poglądów. Natomiast już jako 14-latek miałem okazję dokonać odkryć o wartości ponadkrajowej, tzn. osad z V i IV tys. przed Chrystusem. Z uwagi na ich wartość naukową i sentymentalną kontynuuję zainteresowania nimi już jako profesjonalny, samodzielny naukowiec.

Interesowałem się też skałami i minerałami. Zbierałem wszystko do swojego gabinetu osobliwości, z czasem próbując odszukać w książkach odpowiedź, co takiego znalazłem. Także ta historia moich odkryć archeologicznych wiąże się przede wszystkim z bogactwem zainteresowań i kierunków, w jakich chciałem zmierzać, poprzez obserwowanie różnych materialnych świadectw historii ziemi będących w zasięgu.

I odkrył pan m.in. najstarszy na Pomorzu Zachodnim płód ludzki.

Powiedzmy tak – jest to jeden z najstarszych płodów ludzkich, a w każdym razie jedyny płód na terenie Pomorza Zachodniego, datowany na okres neolitu – a konkretyzując, z przełomu neolitu i epoki brązu. Szczątki te są nieprawdopodobnym świadectwem tego, jak takie delikatne elementy materialne mogą się zachować i uzyskać znaczenie w czasach, kiedy nie zawsze i nie wszędzie na świecie to stadium rozwoju człowieka jest uznawane za człowiecze. To jest jedna z najbardziej zaskakujących sytuacji, gdy znajduje się świadectwo niemające prawa przetrwać – zalążki zębów ludzkiego płodu sprzed 4 tys. lat. W tym tragizmie z przeszłości mieści się sytuacja trochę zabawna, dzięki temu bowiem odkryciu dowiedziałem się, że moje dziecko już w okresie prenatalnym miało zalążki zębów.

Ale odkrył pan też najstarsze monety z wizerunkiem Matki Boskiej.

Tak, przypadła mi ta wyjątkowa rola. Znalazca po tym, gdy się zorientował, że może to być zabytek archeologiczny, zaufał mi i przekazał trzy monety odkryte w gminie Kołbaskowo, które po odpowiednim opisaniu przekazałem do jednostki muzealnej. Istotne jest to, że na

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. ARCHIWUM AUTORKI

Stobno (woj. zachodniopomorskie), osada z epoki neolitu

jednym z tych numizmatów widać przedstawienie Matki Boskiej z Dzieciątkiem. To wczesna moneta datowana na końcówkę XII w. i dlatego jest zabytkiem wyjątkowym. Okazało się, że najprawdopodobniej nie ma na Pomorzu Zachodnim starszego przedstawienia Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

Proszę opowiedzieć nam o tych monetach.

Sam kontekst trzeba byłoby omawiać długo. Czasy, kiedy wybito tę monetę, były bardzo burzliwe i dla naszego regionu przełomowe. W tym okresie w efekcie III krucjaty Fryderyka I Barbarossy upadł Konstantynopol, natomiast w gminie Kołbaskowo zaczęto tworzyć podwaliny sieci osad średniowiecznych, o których pierwsza wzmianka pochodzi z 1191 r. Całkowicie zmienił się w ciągu kilku dekad sposób organizacji przestrzeni. Rozrzucone po terenie osady słowiańskie najprawdopodobniej zupełnie przestały funkcjonować, a cała ludność zaczęła się osiedlać w nielicznych wioskach zakładanych na prawie niemieckim. Nie można już było budować gospodarstw w dowolnym miejscu i korzystać z ziemi bez stosownych nadań. Książęta lub władze kościelne i zakonne wyznaczali do tego celu obszary z centralnym placem, na którym z czasem wznoszono kościół, a w otoczeniu były wiejskie zagrody.

Ale oprócz monet pan odkrył również figurkę Matki Boskiej?

Gdy miałem mniej więcej 12 lat, na polu w dzielnicy Gumieńce znalazłem figurkę glinianą, która później towarzyszyła mi na maturze. I dopiero rok temu się dowiedziałem, że najprawdopodobniej powstała w XV w. we Wrocławiu. Reformacja boleśnie dotknęła świadectwa kultu maryjnego na Pomorzu Zachodnim i świadectwa kultury materialnej w znacznym stopniu zostały utracone lub trafiły do kontekstu kopalnego. Dlatego rola archeologii w ratowaniu opisanego dziedzictwa jest trudna do zastąpienia. Pod posadzkami kościołów czy w ziemi na placach kościelnych kryje się wiele zabytków sakralnych. Omawiana figurka pokazuje, że można jeszcze dotrzeć do innych świadectw później wyrzuconych poza obrębem wiosek.

Czy tu byli przodkowie Słowian?

W zasadzie Słowianie pojawiają się na naszych ziemiach w VI–VII w. naszej ery, czyli stosunkowo niedawno. Można powiedzieć, że z perspektywy badacza epoki kamienia są to czasy współczesne. Natomiast te wszystkie społeczności, które były tu wcześniej, nie mogą być łączone z tymi ludami.

Rzeczywiście, na Wzniesieniach Szczecińskich udało mi się odkryć kilka stanowisk archeologicznych będących świadectwem pierwszego osadnictwa Słowian na tych ziemiach. Zagadnienie to jest raczej moim hobby, specjalizuję się bowiem w czasach, kiedy Słowian jeszcze tu nie było. W szczególności interesuje mnie epoka kamienia. Specjalizuję się w poznawaniu kultury dolnoodrzańskich społeczności okresu neolitu (tzn. 5,1–2 tys. przed Chrystusem). Obecnie prowadzę terenowe badania domostw pierwszych rolników i hodowców.

Gdzie można obejrzeć pańskie odkrycia?

Wszystkie zabytki muszą trafić do jakiejś jednostki muzealnej. Oczywiście są to różne jednostki, oddalone nawet kilkaset kilometrów od Szczecina. Zgodnie z polskim prawem wszystkie znaleziska docelowo muszą się znaleźć w muzeum. W tej chwili są albo jeszcze u konserwatora, albo u mnie w opracowaniu.

Sam proces wygląda tak, że jeśli pobieram jakąś próbkę ziemi, to jest ona przepłukiwana i dalej trafia do specjalistów. Wybiera się szczątki organiczne czy też jakieś drobne zabytki, szczątki roślinne i kostne. Proces naukowy jest bardzo żmudny i czasochłonny. W związku z tym wszystkie informacje na bieżąco zamieszczam na Facebooku. Poprzez administrowane przeze mnie strony można uzyskać informacje o mających nastąpić akcjach nazywanych „Przygodą z archeologią" i uczestniczyć w takich badaniach.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Miednica płodu z okresu neolitu



FOT. ARCHIWUM AUTORKI

eprasa.pl 0aa789525f

POLSKI STETTIN

WBREW OPINIOM ROZPOWSZECHNIANYM PRZEZ NIEMCÓW WIELU POLAKÓW TWORZYŁO OBLICZE PRZEDWOJENNEGO SZCZECINA



WOJCIECH OSIŃSKI

Po 1945 r. u podstaw niemieckiej historiografii legło przekonanie, że Polacy „ukradli" Niemcom „wschód", czyli znaczące obszary Dolnego Śląska, Prus Wschodnich i urokliwego Pomorza Zachodniego. Nad tym, że nasi zachodni sąsiedzi leczyli swoje bóle fantomowe w często niesprawiedliwy sposób, specjalnie rozwodzić się nie trzeba, ale np. trauma utraty pomorskiej stolicy do dziś bije z kart ich publicystyki historycznej. Przymusowa deportacja niemieckich szczecinian po II wojnie światowej niekiedy nadal budzi tam wrażenie, że Polacy przybyli do odrzańskiego grodu bezprawnie, rozsiadając się w ich mieszkaniach i przejmując zabytki miasta, którymi cieszyli się od pokoleń. Tak jakby sowieccy żołnierze, którym kilkanaście lat wcześniej ochoczo podali rękę, wcale się do tego nie przyczynili. Stalin świadomie rozgrywał tu antagonizmy między zwaśnionymi narodami, nacinał na tym skrawku ziemi rany, których nigdy do końca nie pokryły blizny. Inscenizowany przezeń w Szczecinie „polsko-niemiecki teatrzyk" wyraźnie mu odpowiadał, gdyż doskonale wiedział, że to miasto tkwiło już przed 1945 r. niczym cierń w ich wzajemnych stosunkach.

Wjazd od strony Łasztowni na nieistniejący most Kłodny, z górującym na dalszym planie Zamkiem Książąt Pomorskich. Po prawej stronie budynki,które znajdowały się przy nieistniejącej dziś ulicy Lazurowej, Szczecin, 1925 r.

FOT. UM SZCZECIN



Sól w niemieckim oku

Losy szczecińskiej Polonii „złotego dwudziestolecia" pokrył kurz zapomnienia, a Niemcy uparcie podtrzymują fikcję jej

nieistnienia, walcząc o oczyszczenie swojej lokalnej historii z polskich wątków. Nic dziwnego – w większych miastach zaboru pruskiego nasi dobrze zorganizowani rodacy zawsze byli solą w oku.

Tymczasem już w połowie XIX w., wraz z dynamicznym rozwojem gospodarczym Szczecina, przybyło nad Odrę wielu Polaków. W fabrykach jak Stoewer i stoczni Vulcan-Werft brakowało rąk do pracy, jako że Niemcy opuszczali wówczas masowo wschodnie prowincje w poszukiwaniu lepszego życia na zachodzie. Pozostałe po nich miejsca zajmowali wielokroć Polacy mieszkający w granicach zaboru pruskiego, lecz także mnóstwo robotników sezonowych napływających z Kongresówki, dla których pobyt nad Odrą miał charakter tymczasowy. W 1910 r. mieszkało w Szczecinie ok. 600 Polaków, choć liczba ta nie oddaje w pełni rzeczywistego obrazu, jako że niemieckie źródła nie uwzględniają obrzeży miasta, gdzie osiadła wtedy spora część polskich pracowników. Toteż w przededniu I wojny światowej Polaków można było spotkać w cementowniach, sklepach, stoczni i zakładach rzemieślniczych, ale np. też w klubach dyskusyjnych. Polonia była wprawdzie zdominowana przez warstwę robotniczą, jednak w szczecińskich kawiarniach przesiadywali także polscy artyści i pisarze, zakotwiczeni w świecie lokalnej bohemy. Nad Odrą bawił choćby związany z poznańską „Tęczą" Konstanty Ildefons Gałczyński, który po 1945 r. nie krył swojej radości wobec powrotu „polskiej Wenecji" do ziemi ojczystej.

Żywotna Polonia

Estymą na salonach niemieckiego Stettina lat 1918–1939 cieszyli się także polscy przedsiębiorcy, żywcem wzięci z Reymontowskiej „Ziemi obiecanej", jak Jan Grzelachowski, właściciel biura handlowego. Inżynier ów był gorliwym patriotą, który szczodrze inwestował w działalność polskich organizacji na niemieckim Pomorzu. Jedna z nich, Towarzystwo Robotników Polsko-Katolickich, powstała już w 1890 r. i mimo braku własnego lokalu skupiała kilkadziesiąt osób. Polacy spotykali się w skromnym pomieszczeniu w jednej ze szczecińskich restauracji, gdzie z czasem zdążyła urosnąć pokaźna polska biblioteka. W kolejnych dekadach polityczno-społeczny pejzaż Szczecina obrastał w kolejne polskie stowarzyszenia. Dziś rzadko doceniamy, jak trudne było utrzymanie polskości w warze ówczesnych konwulsji, które zawładnęły konającą z wolna Republiką Weimarską. Tyle tylko, że rosnąca siła Polaków nie zawsze wychodziła im na dobre, bo sprzyjała rozdrobnieniu polskiej mniejszości. Nawiasem mówiąc, podobna sytuacja panuje w dzisiejszym Berlinie, gdzie nasi rodacy co prawda wcielają w życie wiele inicjatyw, lecz tylko z rzadka przemawiają jednym głosem.



Dawny budynek Administracji Prowincji Pomorskiej. Obecnie siedziba Urzędu Miasta i Filharmonii przy placu Armii Krajowej, Szczecin, 1935 r.

FOT. UM SZCZECIN

Spoiwem łączącym polskich szczecinian ponad podziałami był zaś bez wątpienia Kościół katolicki. W każdą czwartą niedzielę miesiąca o szóstej rano (!) odbywały się w dzisiejszej Bazylice św. Jana Chrzciciela na Bogurodzicy wspólne nabożeństwa. Ale ponieważ większość Polaków mieszkała w dzielnicach peryferyjnych, wczesna pora rozpoczęcia mszy utrudniała im dotarcie do świątyni. I właściwie dziś już nie może zdumiewać, z jaką bezczelnością niemieccy włodarze lekceważyli prośby polskich wiernych o przesunięcie mszy na późniejszą godzinę. Przeciwnie, raczej uczynili je pretekstem do zaostrzania retoryki. Środowiska polonijne jednak nie odpuściły i zebrały kilka tysięcy podpisów, po czym niemieccy duchowni się w końcu ugięli. Niemniej na początku lat 30. zapalnego materiału, ożywianego wzajemnymi urazami, było bardzo wiele. Wynajęci bandyci regularnie zakłócali polskie nabożeństwa, zdając sobie sprawę z siły, która promieniowała z pękającej w szwach świątyni. W końcu trzeba było zatrudnić polskich ochroniarzy, którym powierzono obowiązek odpędzania awanturników.

Zapiekły antypolonizm

Oprócz nabożeństw Niemcy znajdowali jeszcze inne drogi, aby uprzykrzać życie polskim szczecinianom. Wszelkie polskie inicjatywy podlegały skrzętnym obserwacjom niemieckich służb. Często dochodziło do ulicznych niesnasek między polskimi działaczami i szczecińską policją, która próbowała przećwiczonymi ustawowymi „kagańcami" zdusić ich dążenia w zarodku, także za pomocą niemieckiej prasy. Paszkwile w tygodniku „Die Gartenlaube" ośmielały czytelników do lekceważenia polskich inicjatyw. Niemieccy włodarze podejmowali też próby zakazania języka polskiego.

Na niemieckie szykany polscy szczecinianie zareagowali założeniem licznych „towarzystw wyborczych", które nie podlegały zakazom, acz w praktyce dalej funkcjonowały jak stowarzyszenia polonijne. Wiadomość o tym sposobie rozeszła się na całym Pomorzu lotem błyskawicy i wkrótce podobne „towarzystwa" założono m.in. w Kołobrzegu i Stargardzie.

Po zawarciu polsko-niemieckiego paktu o nieagresji w 1934 r. sytuacja Polaków w Szczecinie uległa pewnej poprawie. Polscy mieszkańcy mogli przez jakiś czas swobodnie organizować zawody sportowe, uroczystości narodowe, ba – nawet wiece polityczne. W każdym razie na pewno było lepiej niż przed listopadem 1918 r., który przecież otworzył nowy rozdział w życiu szczecińskiej Polonii, bo nareszcie miała oparcie w wolnej Polsce.

Polityczny bezład, który niebawem zapanował w ogarniętych fermentem narodowego socjalizmu Niemczech, »

eprasa.pl 0aa789525f

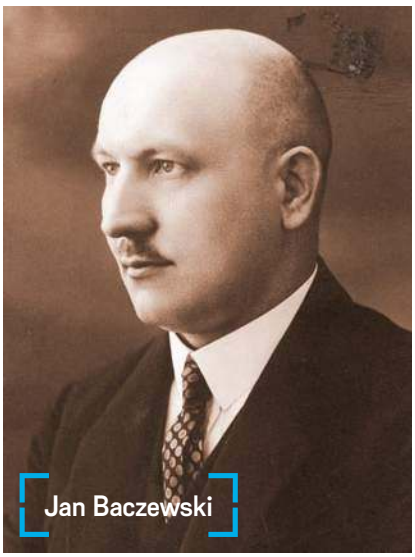
» skłaniał coraz więcej wpływowych działaczy polonijnych do wycofania się z życia towarzyskiego w Stettinie, co podcięło szczecińskiej Polonii jej intelektualne skrzydła. W zaistniałej sytuacji musiała się zorganizować na nowo.

Tymczasem Niemcy nie odpuszczali. Bojówkarze zniszczyli jedyną w mieście bibliotekę polską. Zachowanie lokalnych władz wobec Polaków, z którymi rozsądek nakazywałby właściwie szukać wspólnych interesów, nie zniechęcało polskich działaczy. Przeciwnie – skala ich mobilizacji pobiła dotychczasowe rekordy. Powołany już w 1919 r. Komitet Narodowy w Berlinie, pełen aktywistów znad Odry, działał równie intensywnie jak Związek Polaków w Niemczech, którym kierował Stanisław Sierakowski, człowiek umiejętnie budujący wizerunek polityka wyciągającego rękę do wszystkich rodaków i zasypującego podziały. Szefem szczecińskiej placówki ZPN został z kolei Jan Chmara. Prezes związku werbował nowych członków osobiście, objeżdżając na rowerze dzielnice Szczecina i roznosząc darmowe egzemplarze „Dziennika Berlińskiego", organu ZPN. Za swoją patriotyczną działalność, stanowiącą w oczach Niemców „szerzenie propagandy", musiał zostać ukarany – został dotkliwie pobity.

Mimo znakomitej dyplomatycznej gry Polaków na wielu fortepianach długo nie mogli się doczekać konsulatu RP w Szczecinie. Utrudnianie utworzenia polskiej placówki było reakcją niemieckich włodarzy na lęk przed ich rosnącą siłą. Spółdzielnia, która musiała udostępnić polskim dyplomatom budynek, sprzeciwiała się wywieszeniu na nim godła polskiego. Ostatecznie trudno było Niemcom zniweczyć wielkie znaczenie tego wydarzenia dla ok. 2 tys. polskich szczecinian. Konsulat dawał znacznie większe możliwości organizowania w tym mieście uroczystości narodowych i imprez kulturalnych.

Polska oświata

Nieżyczliwym okiem na działalność szczecińskiej Polonii spoglądali niestety też niemieccy duchowni. Gdy krótko przed wybuchem II wojny światowej antypolska propaganda znów się nasiliła, liczba polskich nabożeństw spadła do zaledwie kilku w całym roku. Ale i wtedy zdarzało się, że były one odwoływane z nieuzasadnionych powodów. Irytację niemieckich księży budziła także chorągiew z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, którą zamierzali usunąć. Spotkali się jednak z nieustępliwą postawą Polaków – chorągiew pozostała w świątyni aż do września 1939 r.


Jan Baczewski

FOT. NAC

Napięcia podsycał zaostrzający się kryzys gospodarczy. W szczecińskich fabrykach zwalniano w pierwszej kolejności polskich pracowników. Natomiast obchody święta 3 Maja coraz częściej bywały zakłócane przez wszechobecnych już nazistowskich chuliganów. Ci działacze polonijni, którzy zdecydowali się pozostać w Szczecinie, podkreślali dalej na różne sposoby swoją odrębność. Na jednym z ówczesnych polskich zebrań znany na Pomorzu polonus Kazimierz Pruszak przemówił do swoich rodaków: „Nie traćmy nadziei, że to miejsce znowu kiedyś będzie polskie".

Na szacunek zasługuje w tym okresie opór Polaków przeciwko postępującej germanizacji, zwłaszcza w szczecińskich szkołach, gdzie dzieci były szczególnie narażone na indoktrynację. Godne uwagi było powstanie Związku Polskich Towarzystw Szkolnych, na którego czele stanął Jan Baczewski, równocześnie poseł do Reichstagu. Niestrudzony działacz popychał sprawy do przodu, a na końcu 1928 r. weszła w życie ustawa umożliwiająca mniejszościom w Szczecinie tworzenie prywatnych szkół.

Nie tylko z powodu wrogiej Polakom rzeczywistości początki tychże instytucji okazały się nader trudne. Nie można było znaleźć budynku, brakowało wykształconych nauczycieli. Ale na szczęście polskim szczecinianom nie brakowało determinacji, dzieci chodziły na lekcje, które odbywały się w prywatnych mieszkaniach. Początki polskiej oświaty w międzywojennym Szczecinie były możliwe głównie dzięki zaangażowaniu Józefy Gilowej, która w swoim domu uczyła dzieci języka polskiego i pieśni patriotycznych. Z jej inicjatywy powstało też nad Odrą pierwsze polskie przedszkole. Niebawem lekcje mogły się już odbywać w większym budynku przy dzisiejszym pl. Lotników (wtedy Augustaplatz). Towarzystwo Szkolne dysponowało po pewnym czasie środkami, które umożliwiały polskiej młodzieży urodzonej w Szczecinie wycieczki klasowe do Polski.

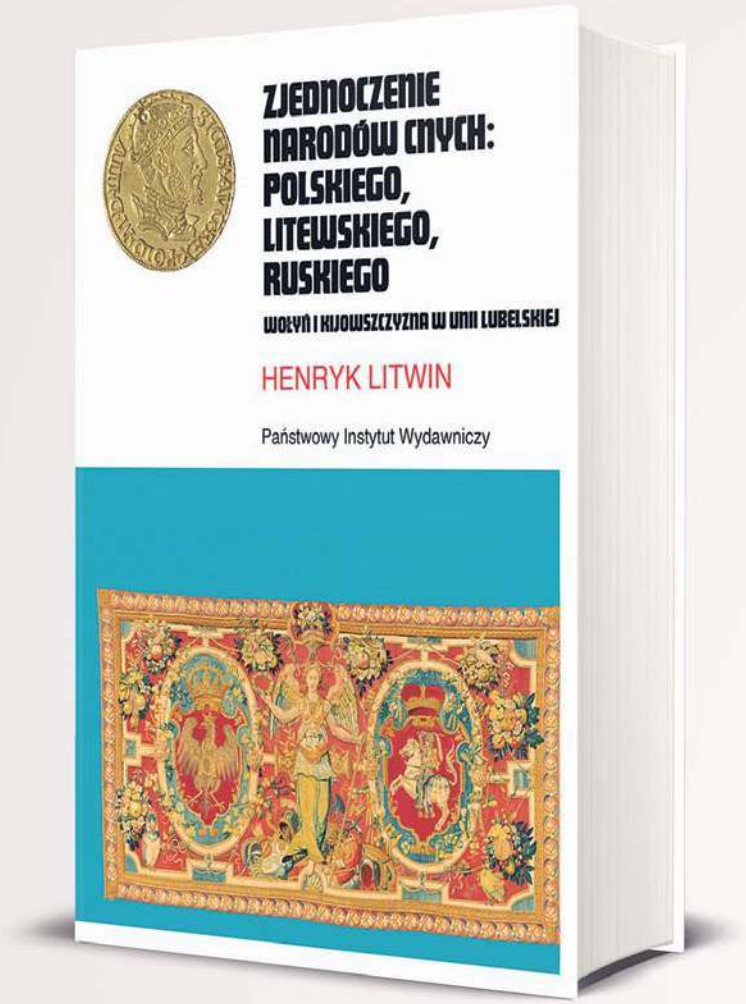
Czoło niemieckim represjom stawiał znakomity pedagog Maksymilian Golisz, który był też twórcą lokalnego polskiego harcerstwa pod nazwą „Gryf". Na swoje lekcje zapraszał również młodzież z rodzin robotniczych, która z racji miejsca zamieszkania w odległych dzielnicach była odcięta od dobrodziejstw polskiej kultury. Mimo wszelkich obstrukcji Dom Polaków na Augustaplatz przetrwał do września 1939 r. Później bowiem wszystkie polskie instytucje oświatowe, sportowe (np. towarzystwo Orlęta) i muzyczne (np. polski chór Chopin) rozjechał niemiecki walec. Jeśli Hitler tolerował jeszcze przed 1939 r. polskie inicjatywy w niemieckich miastach, to tylko dlatego, że obawiał się reakcji odwetowych ze strony władz RP wobec mniejszości niemieckiej.

Tymczasem innym ryzykiem dla polskiej młodzieży w Szczecinie były akcje poborowe do młodzieżówek hitlerowskich: HJ lub BND. ZNP przeforsował częściowe zwolnienie polskich dzieci z obowiązku wstąpienia w szeregi nazistowskiej młodzieży.

Pomysły Golisza, który wbrew wszystkim rzucanym mu pod nogi kłodom chciał m.in. założyć w Szczecinie Bank Polski, mający tchnąć w Polonię nieco więcej życia, były niestety skazane na niepowodzenie. W pierwszej połowie 1939 r. polskie święta i uroczystości obchodzono już co najwyżej w domowym zaciszu. Po wrześniu 1939 r. szczecińska Polonia w ciągu kilku miesięcy została niemal całkowicie rozbita. Działacze polonijni lądowali w więzieniach lub ginęli od niemieckiej kuli. Golisz został zamordowany w 1943 r. w obozie Sachsenhausen, nieopodal Berlina. Tylko niewielu polskich szczecinian mogło sobie wtedy wyobrazić, że to niemieckie miasto, ogarnięte hitlerowską furią, już za kilka lat znajdzie się prawomocnie w granicach państwa polskiego (choć pod „czerwoną gwiazdą").

35/1119/F

eprasa.pl 0aa789525f



Państwowy Instytut Wydawniczy

UNIA W LUBLINIE, RUSINI W KORONIE, RZECZPOSPOLITA OBOJGA NARODÓW

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

INNE NOWOŚCI W SERII RODOWODY CYWILIZACJI



Zapraszamy do księgarni Państwowego Instytutu Wydawniczego przy ulicy Foksal 17 w Warszawie oraz do sklepu internetowego **www.piw.pl**

eprasa.pl 0aa789525f



FOT. ŁOZYŃSKI/REPORTER

KILKA LAT TEMU SENSACJĘ WZBUDZIŁA INFORMACJA, ŻE „CZŁOWIEK, KTÓRY ZATRZYMAŁ ANGLIĘ", ZOSTAŁ ZAREJESTROWANY PRZEZ SB JAKO KONSULTANT „ALEX". TO NIE BYŁA ZRESZTĄ JEGO JEDYNA PRZYGODA Z FUNKCJONARIUSZAMI TAJNYCH SŁUŻB PRL. CO NA TEN TEMAT WIADOMO?

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Biuro Badań Historycznych IPN

JANA TOMASZEWSKIEGO

PRZYPADKI ZE „SMUTNYMI PANAMI"

Jana Tomaszewskiego kibicom, szczególnie tym starszym, przedstawiać nie trzeba. Był jednym z najlepszych bramkarzy w historii polskiej piłki nożnej. Z orzełkiem na piersi, w pierwszej reprezentacji, rozegrał ponad 60 spotkań. Bronił bramki, kiedy drużyna narodowa Polski zdobywała brązowy medal mistrzostw świata w 1974 r. i srebrny medal olimpijski dwa lata później w Montrealu. Jednak do legendy przeszedł wcześniej – w październiku 1973 r., kiedy dzięki jego postawie naszej reprezentacji udało się osiągnąć sensacyjny, a przede wszystkim zwycięski, remis na Wembley z Anglią. Okrzyknięto go wtedy „człowiekiem, który zatrzymał Anglię". Legendarny Pele, jeden z najsłynniejszych piłkarzy wszech czasów, mówił o nim w 1974 r.: „W bramce nie ma lepszych od Polaka Tomaszewskiego".

Jan Tomaszewski to postać nietuzinkowa. Wiele razy swymi ostrymi wypowiedziami czy swoją postawą budził kontrowersje, wręcz szokował. Tak było m.in. po 13 grudnia 1981 r., kiedy niespo-

Gotasz.pl 0aa789525f

dziewanie (grał wówczas w Herculesie Alicante) poparł wprowadzenie stanu wojennego, a nawet został w 1982 r. członkiem Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, marionetkowej organizacji utworzonej przez władze PRL. Po latach (w wywiadzie dla „Playboya") pytany o to, czy żałuje swego ówczesnego postępowania, odpowiadał: „Broń Boże. W trakcie stanu wojennego byłem w Hiszpanii i widziałem te wszystkie mapki z Ruskimi. Poparłem stan wojenny, uważałem, że to nasza jedyna szansa. Alternatywa przed rzezią". I dodawał: „Do PRON-u wstąpiłem świadomie, wiedząc, że stracę na popularności. W PRON-ie byli też »Piechnik« [Antoni Piechniczek – ówczesny trener narodowej reprezentacji – przyp. G.M.] i Szewińska [Irena, słynna i utytułowana lekkoatletka – przyp. G.M.]. Dzięki socjalizmowi stałem się piłkarzem światowego formatu, więc nie mogłem powiedzieć: pieprzę socjalizm. Cały czas mi to wypominają, ale ja nigdy nie byłem w żadnej partii, ani w PZPR, ani w Solidarności". Nie ulega jednak wątpliwości, że ówczesne postępowanie kładzie się cieniem na jego życiorysie. I to bardziej niż o kilka lat późniejsza rejestracja przez Służbę Bezpieczeństwa w charakterze swego osobowego źródła informacji, czyli współpracownika.

Zarejestrowany

Wspomniana rejestracja pochodzi z 28 lipca 1986 r., czyli kiedy Tomaszewski zakończył już karierę piłkarską, ale – co niezwykle ważne – nadal był związany ze środowiskiem piłkarskim, pracował w sztabie szkoleniowym Łódzkiego Klubu Sportowego. Jako konsultanta o pseudonimie Alex zarejestrował go Wydział III Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi, w związku z – jak to stwierdzano – „nieprawidłowościami w funkcjonowaniu instytucji", nie precyzując, o jaką instytucję w tym przypadku chodzi. Nie wiadomo niestety, jak długo łódzka SB traktowała go jako swego współpracownika. Wiadomo natomiast, że miał założone dwie teczki – co było zresztą procedurą standardową – teczkę personalną i teczkę pracy, które „komisyjnie zniszczono w jednostce" 20 grudnia 1989 r., a więc nieco ponad trzy miesiące po utworzeniu rządu przez związanego z opozycją Tadeusza Mazowieckiego. Te informacje są zdawkowe, ale wskazują, że esbecy z byłym znakomitym piłkarzem kontaktowali się po jego zarejestrowaniu jako konsultanta na tyle długo, że jego akta nie trafiły do archiwum.

Jan Tomaszewski informacji o domniemanej współpracy z SB kategorycznie zaprzeczał. Twierdził: „To jakaś oczywista fałszywka". I dodawał: „Może się jakiś esbek chciał wykazać i przepisał moje komentarze". Twierdził przy tym, że funkcjonariusz SB mógł je usłyszeć podczas jego częstych pobytów w Grand Hotelu. Jak to barwnie opisywali Andrzej Stankiewicz i Piotr Śmiłowicz: „Siadywał przy stoliku pod oknem, zamawiał wódeczkę, a wokół kręciła się menażeria tamtych czasów: artyści, cinkciarze, dziwki i – jak dziś podejrzewa – bezpieczniacy", a on „opowiadał o domniemanych przekrętach, ustawianiu meczów i korupcyjnych układach w Polskim Związku Piłki Nożnej". I stąd mogła bezpieka czerpać wiedzę. Jak tłumaczył wspomnianym dziennikarzom Tomaszewski: „Byłem popularny. Do mojego stolika przysiadali się różni ludzie, czasem kompletnie ich nie znałem". Owszem, był człowiekiem gadatliwym, ale raczej nie z biesiad w knajpach Służba Bezpieczeństwa czerpała wiedzę.

I z pewnością łódzkim esbekom nie chodziło o ewentualne nieprawidłowości czy przekręty w PZPN – tym zajmowano się w Warszawie, na szczeblu centralnym, a nie lokalnym. Łódzka SB mogła być natomiast zainteresowana firmami polonijnymi, wśród których obracał się Jan Tomaszewski, lub lokalnym sportem. W jego przypadku był to ten drugi powód, gdyż jednostka, która go zarejestrowała jako konsultanta, zajmowała się „operacyjną ochroną" instytucji, szkół i zakładów podległych Głównemu Komitetowi Kultury Fizycznej i Sportu. Można domniemywać też, że – przynajmniej początkowo – chodziło o ŁKS. Tym klubem zajmował się funkcjonariusz, na którego stanie był „Alex", czyli Marian Pietrasiak. To on nawiązał kontakt z Tomaszewskim, zresztą niemal równo dwa lata przed zarejestrowaniem piłkarza jako konsultanta.

Pierwsze kontakty

8 sierpnia 1984 r. przeprowadził z nim rozmowę operacyjną, zapewne pierwszą z wielu. Dotyczyła ona trzech kwestii. Po pierwsze, przyczyn przejścia Jana Tomaszewskiego z Łódzkiego Klubu Sportowego do Orła Łódź, po drugie, 28-milionowego zadłużenia ŁKS i osób za nie odpowiedzialnych, a po trzecie, zamieszania wokół transferu piłkarza do Herculesa Alicante z 1981 r.

DZIĘKI SOCJALIZMOWI STAŁEM SIĘ PIŁKARZEM ŚWIATOWEGO FORMATU, WIĘC NIE MOGŁEM POWIEDZIEĆ: PIEPRZĘ SOCJALIZM

Tomaszewski był wyraźnie rozgoryczony. Twierdził, że jego odejście z Łódzkiego Klubu Sportowego było „efektem intrygi uknutej przez członka zarządu ŁKS J[ana] Morawca", który miał dążyć do zmiany na stanowisku trenera pierwszej drużyny, próbując przy tym „wykorzystać zakorzenione w środowisku przekonanie, że Tomaszewski i L[eszek] Jezierski nie mogą razem pracować, że istnieje między nimi rozbieżność interesów". Jednocześnie tego pierwszego kuszono wizją stanowiska pierwszego trenera, a drugiego „pełną swobodą decydowania, jeśli odejdzie J. Tomaszewski". Potajemnie zaś prowadzono rozmowy z prawdziwymi kandydatami na to stanowisko. Tomaszewski, kiedy zorientował się, że nie ma szansy, wycofał się. Z kolei Jezierskiego zwolniono, a przy okazji „dano mu do zrozumienia, że za to może podziękować J. Tomaszewskiemu". Były reprezentacyjny bramkarz dodał, że stosunki panujące w ŁKS „są złe i tylko zmiany generalne całego zarządu są w stanie [tę] sytuację zmienić". Według niego wielu działaczy mimo braku kompetencji było przypisanych do sekcji, i to nieraz do więcej niż jednej. Mieli być również tacy »

eprasa.pl 0aa789525f

» „jak właśnie Morawiec, którzy nie odpowiadają za nic, a uzurpują sobie prawo do decydowania we wszystkich sprawach".

W ocenie Jana Tomaszewskiego sportowców i działaczy szczególnie miała zbulwersować praca komisji odznaczeń (pod przewodnictwem Morawca), która przyznała „cztery krzyże kawalerskie z okazji 75-lecia klubu ŁKS działaczom, którzy nie spełniali wymogów" i w efekcie ci ich nie otrzymali. Tymczasem główny sprawca tego zamieszenia miał zostać odznaczony czterema lub nawet pięcioma różnymi odznaczeniami.

Tomaszewski (zapewne dopytywany przez esbeka) stwierdził też, że znana jest mu suma zadłużenia klubu – w kasie brakowało 28 mln zł przeznaczonych na inwestycje. Zaznaczał przy tym, że nie zostały one zdefraudowane, ale przeznaczone na opłacenie transferów i premii. Na uwagę Pietrasiaka, że takie postępowanie jest niedopuszczalne, miał odpowiedzieć, że „w tych sprawach trudno będzie znaleźć punkt zaczepienia, bo mogą to być formalne decyzje zarządu, wiążące dla dyrektora administracyjnego". Były piłkarz opowiadał też o kulisach swego transferu do Herculesa Alicante sprzed trzech lat. Został sprzedany Hiszpanom za 40 tys. dol., a także za sprzęt sportowy dla łódzkiego Klubu Sportowego i Centralnego Ośrodka Sportu. Kiedy jednak poinformowała o tym zachodnia prasa, o pieniądze upomniał się belgijski Beerschot. Okazało się wówczas, że Tomaszewskiego w 1978 r. do tego klubu sprzedano na stałe, gdyż PZPN „nie obwarował kontraktu terminem". W tej sytuacji na transferze zarobili, ale Belgowie...

Cenne informacje

Jak stwierdzał po tej rozmowie funkcjonariusz SB: „Informacje przekazane przez J. Tomaszewskiego znacznie rozszerzyły naszą wiedzę o stosunkach panujących w ŁKS. Niektóre fragmenty rzuciły nam nowe światło na osoby decydentów klubowych, których postawy budziły nasz niepokój". Oczywiście dane te wymagały jeszcze sprawdzenia, zaplanowano więc rozmowy operacyjne z kolejnymi osobami (m.in. z Leszkiem Jezierskim). Niestety nie wiadomo, czy je przeprowadzono ani jaki był ich ewentualny efekt. Nie ulega natomiast wątpliwości, że dziewięć dni po rozmowie z Tomaszewskim bezpieka postanowiła założyć sprawę operacyjnego sprawdzenia kryptonim „Pajęczyna". Jako powód jej prowadzenia podano „uzyskaną informację o niegospodarności i marnotrawstwie środków finansowych z budżetu państwa przez Łódzki Klub Sportowy". Nie ma oczywiście pewności, że to dane od eksbramkarza były podstawą tej decyzji, ale wydaje się to dość prawdopodobne. W każdym razie notatkę z rozmowy operacyjnej z nim włączono do akt tego rozpracowania i to właśnie ona jest pierwszym sygnałem o nieprawidłowościach w ŁKS w materiałach SOS „Pajęczyna".

To właśnie w tych aktach – przynajmniej na dziś – jest jedyny ślad konsultanta „Alexa". Figuruje on w wykazie osobowych źródeł informacji wykorzystywanych w ramach tego rozpracowania obok dwóch tajnych współpracowników. Problem w tym, że w materiałach tych (sprawę przekwalifikowano 28 grudnia 1984 r. na kwestionariusz ewidencyjny i prowadzono do 29 czerwca 1987 r.) nie ma żadnych informacji uzyskanych przez SB od „Alexa". Nie wiadomo, czy ich nie było – doniesień od wspomnianych wcześniej TW również brak w aktach, czy też po prostu nie zostały włączone do nich i były przechowywane jedynie w teczkach konsultanta. Taki scenariusz wydaje się zresztą dość prawdopodobny, gdyż Marian Pietrasiak, który był oficerem prowadzącym „Alexa", prowadził jednocześnie sprawę kryptonim „Pajęczyna". A – co trzeba dodać – sam Tomaszewski w tym czasie utrzymywał nie tylko służbowe, ale również prywatne kontakty z dwoma głównymi figurantami tego rozpracowania, czyli Andrzejem Klimowiczem odpowiedzialnym za sekcję piłki nożnej, i wiceprezesem ŁKS ds. piłki nożnej Edwardem Gliszczyńskim. Tego pierwszego gościł – jak sam przyznał podczas rozmowy z sierpnia 1984 r. – w Belgii, a drugiego w Hiszpanii. Był więc potencjalnie dla bezpieki doskonałym źródłem informacji o ich poczynaniach.

Ślad wojskowy

Nie ulega natomiast wątpliwości, że spotkanie Pietrasiaka z Tomaszewskim z lipca 1984 r. nie było ostatnie, skoro esbek zarejestrował piłkarza dwa lata później jako konsultanta. Na podstawie zachowanych materiałów nie sposób niestety stwierdzić, czy rejestracja znakomitego bramkarza w charakterze konsultanta była tylko wynikiem jego powszechnie znanego „długiego języka", czy też może miała inne, bardziej solidne podstawy. Skoro jednak SB zarejestrowała go w charakterze konsultanta, to teoretycznie – w myśl obowiązujących przepisów resortowych, w praktyce często od tego odstępowano – wiązało się to z podpisaniem stosownej umowy, w której sprecyzowano wymagania wobec niego. Co niezwykle istotne, nic nie wskazuje, aby Jan Tomaszewski był typowym tajnym współpracownikiem donoszącym na osoby ze swojego otoczenia, jeśli już, to raczej osobą wylewającą swoje żale przed tymi, którzy chcieli tego słuchać. A w końcu, z punktu widzenia SB, liczyło się uzyskanie informacji o interesujących ją osobach czy instytucjach.

Tak na marginesie nie była to jedyna przygoda Tomaszewskiego ze „smutnymi panami". Otóż – jak sam opowiadał w 2008 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" – w 1969 r., kiedy rozpoczynała się dopiero jego kariera reprezentacyjna (został powołany do reprezentacji olimpijskiej na tournée do Iraku), zainteresowała się nim Wojskowa Służba Wewnętrzna. Jak wspominał: „A zaraz potem było wezwanie do WSW. Ja w tym Śląsku byłem w wojsku, w kompanii sportowej, i musiałem dostać od wojska zgodę na wyjazd. Major z WSW mówi: »Obywatelu, chcemy, żebyście tam poobserwowali, jak się inni koledzy zachowują, co mówią. Spotkamy się po pana powrocie«". I dodawał: „Poprosiłem go o dzień do namysłu, całą noc nie spałem, dzwonię i mówię: »Panie majorze, ja się mogę z panem spotkać, ale ja niczego nie mogę obserwować, ja jestem młody w drużynie, a tam są zawodnicy z najwyższej półki«. Byłem przekonany, że nie pojadę. Ale dał zgodę i więcej się nie spotkaliśmy". Opisane przez znakomitego bramkarza wydarzenie, mimo że nie znajduje potwierdzenia w zachowanych – niestety jedynie szczątkowo – materiałach wojskowej bezpieki, wydaje się całkiem prawdopodobne. Młody, bo 21-letni, rozpoczynający dopiero karierę reprezentacyjną chłopak mógł się oficerowi WSW wydawać perspektywicznym współpracownikiem. Jeśli tak, to miał jednak zdecydowanie mniej szczęścia niż jego kolega z SB kilkanaście lat później...

eprasa.pl 0aa789525f

ZOFIA HOLSZAŃSKA



MAREK BARAŃSKI

NIE WSZYSCY BYLI ZADOWOLENI Z NOWEGO KRÓLEWSKIEGO MAŁŻEŃSTWA. PRZECIWNI MU BYLI CÓRKA JAGIEŁŁY – JADWIGA, A TAKŻE NIEKTÓRZY POLSCY MAGNACI

Po śmierci swej trzeciej żony Jagiełło zaczął szukać następnej towarzyszki życia. Pragnął on bowiem doczekać się męskiego potomka. Wprawdzie żyła Jadwiga, następczyni tronu polskiego, ale nie było pewne, czy mogłaby ona zasiąść także na tronie litewskim. Nową żonę znalazł królowi jego brat stryjeczny Witold. Była nią córka księcia holszańskiego Zofia. Gdy ją Jagiełło poznał, liczyła sobie 16 lat. Początkowo król chciał się ożenić z jej starszą siostrą Wasilisą, jednak lekarze stwierdzili, że potomstwo może mu dać młodsza z sióstr.

Jagiełło ożenił się z Zofią w 1422 r. Ślub odbył się w Nowogródku, udzielił go Maciej, biskup żmudzki. Po tej uroczystości Zofia przyjechała do Krakowa. Po ślubie Jagiełło musiał pozostawić młodą żonę na Wawelu i na wiele miesięcy opuścić stolicę. W tym czasie Zofia pełniła funkcję monarchini, przyjmując wizytę Eryka pomorskiego, króla Danii, Szwecji i Norwegii.

Zofia została koronowana w marcu 1424 r. przez abp. Wojciecha Jastrzębca. Na tę uroczystość przybyli: cesarz Zygmunt wraz z żoną Barbarą, a także Eryk pomorski, książę Ludwik bawarski oraz liczni książęta litewscy i ruscy. Tego samego roku królowa urodziła syna Władysława. Niemal natychmiast król Władysław zaczął się starać o zapewnienie synowi polskiej korony. Starania te były konieczne, gdyż mały Władysław miał niekwestionowane przez nikogo prawa do tronu litewskiego, nie miał natomiast do polskiego. Był synem Litwina i księżniczki litewsko-ruskiej, nie pochodził z rodu Piastów. Dość prędko, po nadaniu licznych przywilejów, udało się Jagielle zjednać miasta, jednak szlachta opierała się przed uznaniem w małym Władysławie następcy tronu. Polacy nie mieli nic przeciwko temu, aby po Jagielle królem Polski został jego syn, jednak skoro mogli, zaczęli stawiać królowi warunki. Ostatecznie na zjeździe w Jedlni w 1430 r., gdy Jagiełło nadał szlachcie przywilej gwarantujący, że nikt, kto podlega prawu polskiemu, nie może być więziony bez wyroku sądowego, szlachta zgodziła się uznać to następstwo.



Władysław Jagiełło i Zofia Holszańska, według sztychu w zbiorze rycin księcia Czartoryskiego w Paryżu

W 1426 r. przyszedł na świat Kazimierz, jednak żył tylko kilka miesięcy. Rok później urodził się następny syn, któremu nadano to samo imię. Niestety przed jego urodzeniem doszło do nieprzyjemnych wydarzeń, królowa Zofia została oskarżona o niewierność. Śledztwo, które w tej sprawie zostało przeprowadzone, wykazało niewinność królowej, a oskarżenie okazało się wynikiem krzyżackich intryg.

Po zjeździe w Jedlni syn królewski miał zapewniony tron w Polsce, ale żyła przecież córka króla Jadwiga, której tron się także należał. Wątpliwości, kto po Jagielle będzie panował w Polsce, nie trwały jednak długo, gdyż Jadwiga zmarła już w 1431 r. Niektórzy posądzali królową Zofię o jej otrucie, naprawdę Jadwiga zmarła jednak na gruźlicę.

W 1434 r. zmarł król Jagiełło. Choć królowa nie została regentką, zachowała duży wpływ na to, co się dzieje w kraju. Była bardzo zaangażowana w osadzenie swego młodszego syna Kazimierza na tronie czeskim, jednak starania te nie dały pozytywnego rezultatu.

W 1440 r. Władysław wyjechał na Węgry, gdzie został koronowany na króla tego kraju, natomiast ustanowiony wielkim księciem litewskim Kazimierz udał się na Litwę. Zofia wobec wszechwładzy bp. Zbigniewa Oleśnickiego usunęła się do Sącza.

Po śmierci pod Warną w 1444 r. starszego syna Zofia zaczęła wspierać swego młodszego Kazimierza w jego dążeniu do polskiego tronu. Jednak to nie jej starania były decydujące w doprowadzeniu w 1447 r. do koronacji Kazimierza. Za panowania Kazimierza wpływ Zofii w państwie nie był znaczący. Była szanowana, ale rządził jej syn. Natomiast zasługi Zofii dla kultury były duże. Ufundowała ona kaplicę św. Trójcy przy katedrze wawelskiej, ofiarowała kilku kościołom krakowskim cenne relikwiarze, wspierała Akademię Krakowską. Pozostanie w naszej pamięci jako ta, która poleciła przetłumaczyć Biblię na język polski. Jest to tzw. Biblia królowej Zofii. Zofia zmarła w 1461 r. w Krakowie.

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl 0aa789525f





W 1922 r. TYLKO DWA FILMY Z 16 NAKRĘCONYCH ODNIOSŁY SIĘ DO AKTUALNYCH PROBLEMÓW W POLSCE. UZNANO JE ZA IDEOWĄ AGITACJĘ JEDNEJ Z PARTII



RENATA WĄSOWSKA

KRÓTKA HISTORIA WYTWÓRNI FILMÓW NARODOWYCH

Inżynier chemik Jan Wortman, syn Maurycego, nazywanego ojcem polskiego przemysłu cukrowniczego, kontynuował rodzinną tradycję. Zarządzał czterema cukrowniami na Mazowszu. Był też miłośnikiem sztuki, autorem dwóch książek. Poglądy polityczne dzielił z ruchem endeckim. W 1922 r. z pomocą „kapitałów całkowicie chrześcijańskich" założył wytwórnię Film Narodowy i został jej głównym scenarzystą, ukrywającym się pod pseudonimem J.W. Jawor. Chciał wykorzystać popularność kina do partyjnej kampanii, która miała przede wszystkim wzmacniać ducha narodowego i ostrzegać Polaków przed zewnętrznymi wrogami.

Potrzeba chwili

Po wojnie polsko-rosyjskiej sytuacja była wyjątkowo niespokojna. Narastały problemy z budową nowego państwa, umacniały się wpływy obcych agentur. Skoro „nie udało się bolszewikom zburzyć Polski przez najazd, starają się dokonać tego od wewnątrz". W obliczu tych zagrożeń i nadchodzących wyborów parlamentarnych Narodowa Demokracja potrzebowała armii zwolenników. Debiut wytwórni Film Narodowy, „Tajemnicę medalionu", wsparła Legia Obrony Konstytucji, endecka organizacja paramilitarna, powołana w 1921 r. po uchwaleniu konstytucji marcowej. Ideowe hasła zostały wpisane w atrakcyjną fabułę.

Rotmistrz Stanisław Borski jest bohaterem walk z bolszewikami. Po wojnie staje się ofiarą intrygi międzynarodowego Związku Imperialistów, który „szerzył anarchię i demoralizację, by polskiemu bydłu przewrócić we łbach i przeszczepić z Rosji do Polski komunizm". Podstęp agentki, hrabiny Czartońskiej, Żydówki ukrywającej się pod polskim nazwiskiem, sprawia, że Borski zostaje uznany za szpiega i skazany na rozstrzelanie. W ostatniej chwili ratuje go przyjaciel z francuskiej misji wojskowej, który w wyniku prywatnego śledztwa demaskuje hrabinę.

Obraz first class

Filmowi sprzyjała reklama „na bogato". Magnesem była już sama ekipa: reżyser Edward Puchalski i operator Albert Wywerka, uznani pionierzy polskiej kinematografii, oraz pierwszorzędni aktorzy – Henryk Rydzewski, Helena Sulima, Maria Hryniewiczówna. Dodatkową atrakcją był udział „ogólnie znanych osób z najwykwintniejszych sfer towarzyskich stolicy oraz wyższych sfer wojskowych".

Tuż przed premierą ukazała się w „Kurierze Warszawskim" pierwsza część „opowieści współczesnej" J.W. Jawora „Medalion". Jej dokończenie, jak głosiła reklama, „miało nastąpić wkrótce na ekranie". Jednocześnie ogłoszono konkurs. Dla trzech zwycięzców producent ufundował nagrody po 50 tys. marek polskich. Trafna odpowiedź na pytanie konkur-

FOT. FILMOTEKA POLSKA

eprasa.pl 0aa789525f

sowe polegała na wskazaniu błędu, jaki popełniono w retrospektywnej części filmu. Było nim użycie polskich banknotów, w czasie gdy one jeszcze nie istniały. Marketing filmu wzmacniała też bardzo istotna po wojnie polsko-bolszewickiej akcja społeczna. Dochód ze sprzedaży programów filmowych przeznaczono na rzecz ociemniałych inwalidów wojennych i repatriantów. Akcji patronowały znane działaczki społeczne: księżne Eustachowa Sapieżyna i Irena Puzynianka oraz hrabina Adamowa Tarnowska.

Premiera „Tajemnicy medalionu" odbyła się 4 czerwca 1922 r. w największym w stolicy kinie Colosseum przy ul. Nowy Świat 19. Adolf Nowaczyński, czołowy publicysta Narodowej Demokracji, nie krył emocji. „Jest to obraz first-class, non plus ultra, record film, z którym powinna się zapoznać cała inteligentna i kulturalna Warszawa. Nie, mało. Nie tylko Warszawa, cała Polska jak długa i szeroka. Nie powinno być u nas jednego małego, maleńkiego miasteczka, gdzieby nie dotarła »Tajemnica medaljonu«. Nie, jeszcze mało. Od wsi do wsi, od sioła do sioła, od osady do osady, od dworu do dworu powinien jako ten karuzel, czy jako ta katarynka jeździć taki przedsiębiorzec z takim aparatem, rozwieszać na drzwiach prześcieradło i jazda, kręcić korbę, pokazywać, demonstrować i uświadamiać. To lepsze niż tysiące broszur, gazet, druków, książek, mówek, kazań itp. To jest propaganda optyczna, wizualna, prosta, jasna, przystępna, mocna – prawdziwa propaganda demokratyczna".

Podkreślano też wkład scenarzysty, który „nie zawahał się nazwać ludzi i rzeczy po imieniu, dzięki czemu obraz jest doniosłym aktem odwagi cywilnej". Widzowie podczas seansów dawali wyraz swoim emocjom. „Rozlegały się burzliwe oklaski, witające każdy zobrazowany na ekranie energiczny krok oficera polskiego czy też władz względem komunistów".

Film chwalił nawet „Robotnik" opozycyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej, choć stronę ideową podsumował jednoznacznie: „Nie obeszło się tu bez jaskrawo agitacyjnej »politury«. Należy potępiać działalność bolszewicką, ale czemu nie spojrzeć na nią bez endecko-pseudopatrjotycznych okularów?".

Vivat sequens film!

Zaledwie dwa tygodnie po premierze „Tajemnicy medalionu" na ekranie kina Colosseum pojawił się drugi film wytwórni Film Narodowy. Musiał być realizowany jednocześnie, skoro w większości ekipa była ta sama. Dołączyło do niej jedynie kilku aktorów drugoplanowych, a także doświadczony Edmund Gasiński, który zagrał główną rolę, ostatnią przed śmiercią.

W tym dramacie „na tle intrygi politycznej i miłosnej" scenarzysta J.W. Jawor znów przestrzegał przed obcym wywiadem, którego celem było tym razem niszczenie polskiej gospodarki.

Akcja rozgrywa się w dużej części w fabryce, w której robotnicy żądają podwyżki. Napiętą sytuację wykorzystuje bogaty przemysłowiec Szarski, który wykupuje akcje fabryki, dymisjonuje dyrektora Barczaka i ustanawia nowy zarząd. Kiedy się okazuje, że jest agentem obcego wywiadu, Barczak próbuje dochodzić sprawiedliwości. Po gwałtownej rozmowie z Szarskim, zakończonej tragiczną w skutkach bójką, zostaje oskarżony o morderstwo i skazany na wiele lat więzienia. Przy życiu trzyma go miłość narzeczonej, bratanicy Szarskiego i spadkobierczyni jego majątku, która w oczekiwaniu na rewizję procesu odwiedza w przytułkach uciekinierów z „bolszewickiego raju", dając im materialne i duchowe wsparcie.





Klątwa reklamy?

Swój drugi obraz wytwórnia Film Narodowy promowała z jeszcze większą fantazją. Od dnia premiery wyświetlano go... bez tytułu. Ogłoszony w „Kurierze Warszawskim" konkurs na jego „skomponowanie" i nagroda 200 tys. marek miały przyciągnąć widzów na jeszcze większą skalę. W jury znaleźli się endeccy publicyści, m.in. Władysław Rabski, Stanisław Strzetelski, Adolf Nowaczyński oraz Jan Wortman.

„Robotnik" zareagował natychmiast. „Można powinszować dyrekcji Colosseum i autorowi obrazu pomysłowości. Agitacja za pomocą filmu – to całkiem prosta rzecz. Ale niechby ta agitacja była chociaż względnie »przyzwoita«. Jaskrawemi barwami »smarowane« ideały bogoojczyźniane i czarne »bolszewickie« postacie, a na tle tego ogłupiałe, bezmyślne, skarykaturowane postacie robotników polskich. Podziwiać zuchwałość autora. Potworna głupota stworzyć mogła chyba taki scenariusz: bez treści, jedynie wypolitur owany hasłami »umoralniającemi«. Już takie jedno powiedzenie: »Kto jest marksistą, nie może wyznawać Chrystusa« jest zupełnie wyraźnem wypowiedzeniem poglądów autora i tych, co tym filmem chcą karmić publiczność".

Na ten ostry atak nie odpowiedziała ani prasa prawicowa, ani żadna inna. Film wyświetlany był tylko tydzień. Miesiąc po ogłoszeniu konkursu w „Kurierze Warszawskim" pojawiła się jedynie informacja, że jury przyznało pierwszą nagrodę w wysokości 60 tys. marek tytułowi „Judasze Polski". Dziś trudno wyrokować, dlaczego te wszystkie wysiłki wokół filmu nie przyniosły mu rozgłosu.

Niekompletna kopia filmu przetrwała do naszych czasów. Na taśmie widnieje tytuł „We własne sidła", nadany prawdopodobnie później przez twórców. Pojawia się on we wszystkich powojennych opracowaniach polskiej kinematografii wraz z reżyserem i nazwą wytwórni. Ale już o obsadzie i treści „brak jakichkolwiek informacji".

Promocja filmu bez tytułu doprowadziła więc do „białej plamy" w historii. Można powiedzieć, że na blisko 100 lat wytwórnia Film Narodowy wpadła we własne sidła. Ale to jedyna wytwórnia okresu kina niemego, której dwa filmy – cały dorobek – ocalały.

eprasa.pl 0aa789525f



RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Bez złudzeń. Pierwsze rządy po transformacji ustrojowej w perspektywie Antoniego Dudka

Antoni Dudek, „Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski", Kraków 2019, Znak

Prof. Antoni Dudek od wielu lat jest uznawany za jednego z najważniejszych znawców dziejów Polski po 1945 r., ze szczególnym uwzględnieniem transformacji ustrojowej oraz pierwszych lat III Rzeczypospolitej. Tym razem krakowsko-warszawski historyk przygotował monografię poświęconą pierwszym czterem rządom po 1989 r. Jego analiza mimo dość dużej objętości (ponad 600 stron) w syntetyczny sposób przybliża działalność gabinetów: Tadeusza Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej. Jest to spojrzenie wyważone, starające się zachować jak największy obiektywizm w ocenach, niepoddające się mitologizacji tego okresu naszej historii, jej bohaterów oraz ich bezkrytycznych zwolenników. Autor sięgnął do wielu nieznanych wcześniej źródeł archiwalnych, wśród których najważniejsze są niewątpliwie protokoły z posiedzeń rządu, uzupełniają je także relacje ważnych świadków epoki.

Najwięcej uwagi prof. Dudek słusznie poświęcił opisowi działalności rządu Mazowieckiego, którego powołanie było momentem kluczowym dla losów transformacji ustrojowej. Paradoksalnie, jak wynika z analizy, ten pierwszy rząd największy sukces odniósł, przeprowadzając reformy gospodarcze sygnowane nazwiskiem Leszka Balcerowicza, na co premier wpływ miał marginalny. Autor wiele miejsca poświęcił przedstawieniu ich przygotowania i przebiegu, prezentując tezę, iż w tym okresie nie było dla nich żadnej sensownej alternatywy. Równie interesująco przedstawiają się rozważania historyka dotyczące powołania konkretnych ministrów, wewnętrznej dynamiki funkcjonowania gabinetu, stylu jego pracy, który był również powodem sporów na linii Mazowiecki – Balcerowicz. Ten pierwszy był bowiem zwolennikiem długich nocnych narad, których nie mógł ścierpieć minister finansów przywykły do krótkich, konkretnych rozmów.

Kluczowe w zakresie opisu rządu Bieleckiego jest trafne odczytanie przez autora roli premiera, który nie miał zbyt daleko idących ambicji, zadowalał się w zasadzie bieżącym zarządzaniem, nie przejawiając reformatorskich inklinacji. Wiele emocji do dnia dzisiejszego wzbudza ocena dorobku rządu Olszewskiego. Profesor Dudek jasno pokazuje, że nie miał on charakteru „przełomowego", jak chcą jego zwolennicy. Sam premier nie miał nawet kandydata na ministra finansów, który wg prezentowanej przez niego wizji miałby całkowicie zmienić kierunek polityki gospodarczej. Zamiast tego mieliśmy do czynienia z kontynuacją z niewielkimi korektami. Podobnie jest z innym z mitów tworzonych wokół tego gabinetu, który rzekomo jako pierwszy miał zadeklarować chęć przystąpienia do NATO, podczas gdy uczynił to już wcześniej premier Bielecki. Najkrócej autor opisał rząd Suchockiej, co nie znaczy, iż zabrakło tam ciekawych wątków. Najbardziej interesująco opisane zostały okoliczności jego powołania oraz wyboru pani premier. Warte uwagi są także refleksje A. Dudka na temat wpływu elity partyjnej Unii Demokratycznej na rząd i jego szefową. Przydałoby się jednak nieco szerzej opisać relacje wewnętrzne między poszczególnymi ministrami, zwłaszcza jeśli chodzi o kluczowe resorty.

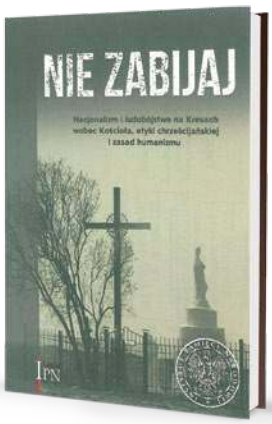
Książka Antoniego Dudka jest godna polecenia jako publikacja w całościowy sposób przedstawiająca najważniejsze działania czterech pierwszych rządów RP po transformacji ustrojowej. Autor dotarł do nieznanych wcześniej źródeł archiwalnych, co pozwoliło na dokonanie rzeczowej analizy dorobku tych gabinetów. Jedynym poważniejszym mankamentem publikacji „Od Mazowieckiego do Suchockiej", jaki dostrzegam, jest brak próby szerszego podsumowania osiągnięć i porażek wszystkich rządów w perspektywie porównawczej. Oczywiście czytelnik znajdzie w książce oceny poszczególnych decyzji każdego z gabinetów, ale przydałoby się poświęcić na tę kwestię osobny rozdział.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL
AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 0aa789525f

„Nie zabijaj. Nacjonalizm i ludobójstwo na Kresach wobec Kościoła, etyki chrześcijańskiej i zasad humanizmu", red. Włodzimierz Osadczy, Adam Kulczycki, Warszawa-Lublin 2019, IPN



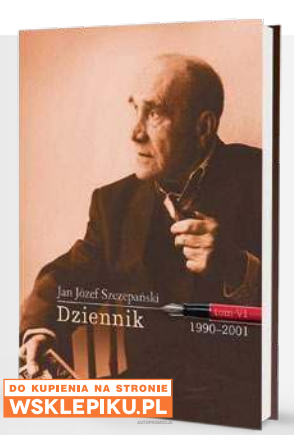
Tematyka ludobójstwa popełnionego przez ukraińskich nacjonalistów na ludności polskiej i żydowskiej na Kresach Wschodnich w latach 1939–1947 cieszy się nieustającym zainteresowaniem społecznym. Mimo wielu prac dotyczących tej tematyki ciągle brakuje szerokich studiów interdyscyplinarnych opisujących tę kwestię nie tylko z perspektywy studiów historycznych, ale również prawnych, społecznych i etycznych. Lukę tę w istotnym zakresie wypełnia tom pod redakcją Włodzimierza Osadczego i Adama Kulczyckiego. Redaktorzy zebrali 18 artykułów omawiających różne aspekty zbrodni ukraińskich (oraz nakreślających ich szeroki kontekst historyczny). Warto szczególną uwagę zwrócić na teksty przygotowane przez: Nazara Kisia, Adama Kulczyckiego, Ewę Siemaszko, Józefa Mareckiego i Włodzimierza Osadczego. Każdy z wymienionych autorów nie tylko sumiennie opisał podejmowany przez siebie temat, ale także wniósł nowe ustalenia do tej problematyki. Przykładowo ks. prof. Marecki w syntetyczny sposób przedstawił znaczenie mordów na duchownych i ich wpływ na całe społeczeństwo nie tylko w okresie II wojny światowej, ale dając także przykłady z całej przestrzeni dziejów chrześcijaństwa. Kluczowe znaczenie ma analiza prof. Osadczego, który szeroko opisał stosunek ukraińskich Kościołów do potępienia zbrodni ludobójstwa oraz pojednania polsko-ukraińskiego. Zgadzam się z ks. prof. Romanem Dzwonkowskim, jednym z recenzentów wydawniczych tej pracy, który słusznie zaznaczył, że pomijanie określenia ludobójstwo w zakresie nazywania zbrodni ukraińskich, w świetle analiz autorów tomu, nie może być w żaden sposób akceptowane w poważnej dyskusji naukowej. Tom pod redakcją W. Osadczego i A. Kulczyckiego polecam każdemu, kto interesuje się polską historią, gdyż pozwala on w całościowy sposób spojrzeć na wyniszczanie polskości na Kresach Wschodnich.

Zenonas Norkus, „Nie tytuł czyni imperium... Wielkie Księstwo Litewskie w perspektywie porównawczej socjologii historycznej imperiów", przeł. Katarzyna Korzeniowska, wstęp Andrzej Nowak, Kraków 2019, Księgarnia Akademicka



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

W historiografii do rzadkości można zaliczyć monografie, których autorzy są w stanie prowadzić analizę porównawczą na dużą skalę, korzystając przy tym dodatkowo z narzędzi innych niż historia nauk. Udało się tego dokonać Zenonasowi Norkusowi, który opisał w ten sposób dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego. Autor rozpoczął od nakreślenia sporu wśród litewskich badaczy, czy można w przypadku tego państwa mówić o imperium, oraz przekonująco odpowiedział, że tak. Następnie, korzystając z bogatego arsenału nauk społecznych, wskazał najważniejsze ujęcia problemu imperializmu i wpisał w nie dzieje WKL. Autor wniósł nowe znaczenia do historii, którą – jak się wydaje – jako Polacy znaliśmy bardzo dobrze. Zgadzam się z prof. Andrzejem Nowakiem, że wspomniana książka nie tylko daje szerokie możliwości interpretacyjne, lecz również pozwala na poważną dyskusję między dziedzicami państwowymi unii polsko-litewskiej.



Jan Józef Szczepański, „Dziennik, tom VI: 1990–2001", Kraków 2019, Wydawnictwo Literackie

Dziennik Jana Józefa Szczepańskiego, jaki prowadził on w latach 1945–2001, to dzieło bardzo interesujące, podejmujące niezwykle szeroką paletę tematów. Do najważniejszych można bez wątpienia zaliczyć twórczość ich autora, sytuację w środowisku polskich pisarzy oraz refleksje dotyczące spraw społeczno-politycznych. W ostatnim, szóstym tomie możemy dostrzec stopniowe porzucanie tych tematów przez Szczepańskiego, połączone z jego malejącą aktywnością społeczną. Ciężar autorskiej refleksji zostaje przeniesiony na uwagi poświęcone odchodzeniu, stopniowe żegnanie się z bliskimi przyjaciółmi oraz własną twórczością. Nie oznacza to, że jego pisarstwo w ostatniej dekadzie życia straciło na wartości, wręcz przeciwnie – stanowi raczej rozwinięcie i właściwe zamknięcie dla pisarza realisty potrafiącego przedstawiać dobrze uargumentowane uwagi na temat życia społecznego.

REKLAMA



10/0119/F

eprasa.pl 0aa789525f

Rafał Łatka rozmawia z...

...prof. ANTONIM DUDKIEM o jego najnowszej książce „Od Mazowieckiego do Suchockiej"



Panie profesorze, niedawno minęła okrągła rocznica wydarzeń 1989 r. Proszę powiedzieć, na ile pierwsze cztery rządy po wyborach czerwcowych musiały się borykać ze spuścizną 45 lat komunizmu?

Prof. Antoni Dudek: To był oczywiście dla nich wszystkich problem numer jeden, przy czym najwięcej czasu i energii poświęcano wówczas sprawom gospodarczym. Trzeba bowiem pamiętać, że Polska była w 1989 r. faktycznym bankrutem, a za dolara naszego długu płacono na międzybankowym rynku ok. 20 centów – tak niewielka była wiara na świecie, że zaczniemy spłacać gierkowskie długi. Z tego się zresztą wzięła afera FOZZ, czyli pomysł wywiadu wojskowego, by nielegalnie wykupywać te długi przez podstawione firmy. Z kolei kryzys odziedziczonego po PRL aparatu państwowego był źródłem kilku innych afer, o których też piszę w mojej książce. Zarazem pokazuję, że postrzeganie narodzin III RP wyłącznie przez pryzmat afer i rozmaitych patologii jest jednostronne i przypomina patrzenie na przeszłość wyłącznie przez czarne okulary.

Najszersze możliwości wprowadzania zmian systemowych miał, jak się wydaje, rząd Tadeusza Mazowieckiego. W jakim stopniu sprostał temu wyzwaniu, a co należy zaliczyć do jego największych zaniedbań? Wydaje się, że na pierwszy plan wysuwa się tu brak jakichkolwiek poważniejszych zmian w sądownictwie, w całości niemal przejętym po PRL.

Podzielam pogląd, że największym błędem rządu Mazowieckiego było wprowadzenie reformy sądownictwa dającej mu olbrzymią niezależność, bez wcześniejszego usunięcia z tej korporacji najbardziej skompromitowanych sędziów. Późniejsze rządy miały już w tej sprawie ograniczone pole manewru, bo ustrojowe drzwi do zmiany zostały zatrzaśnięte. Jednak trzeba pamiętać, że w tym czasie doszło do wielu zmian kadrowych w wymiarze sprawiedliwości.

Jak duży wpływ na działalność tych czterech rządów miał Lech Wałęsa?

Konflikt Mazowieckiego z Wałęsą, w połączeniu z prezydenckimi aspiracjami tego ostatniego, był główną przyczyną upadku pierwszego rządu III RP. Trzy kolejne musiały już funkcjonować w warunkach chaotycznej i nieprzewidywalnej prezydentury Wałęsy. Najlepiej radził sobie z tym Jan Krzysztof Bielecki, najgorzej natomiast Jan Olszewski. Jednak także on próbował – przynajmniej na początku swojej misji – osiągnąć jakieś porozumienie z głową państwa.

Co zostało z legendy upadku rządu Jana Olszewskiego po pana badaniach?

Są dwie całkowicie odmienne legendy na jego temat. Pierwsza głosi, że jego gabinet upadł z powodu lustracji i jedyne, co zrobił, to była właśnie owa nieudana lustracja. Próba lustracji oczywiście miała miejsce, ale gdyby rząd Olszewskiego jej nie przeprowadził, to i tak by upadł. Może kilka, może kilkanaście dni później, ale i tak zostałby obalony, ponieważ był rządem mniejszościowym. Druga legenda opowiada o tym, że miał to być rząd przełomu w polityce gospodarczej. Jednak po podejmowanych decyzjach widać, że – pomijając drobne korekty – kontynuował on reformy rozpoczęte przez Leszka Balcerowicza, dogadując się przy tym z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, czego symbolem było dwóch liberalnych ministrów finansów tego rządu – najpierw Karol Lutkowski, który szybko ustąpił, a później Andrzej Olechowski.

Czy Hanna Suchocka faktycznie była narzędziem w rękach innych?

Jej głównym problemem było to, że dostała rząd niemal w całości ukształtowany przez liderów siedmiu partii koalicyjnych. Później jednak przez dobrych kilka miesięcy dość skutecznie lawirowała między ich sprzecznymi oczekiwaniami, mając w dodatku na głowie Wałęsę, który bynajmniej nie traktował jej ulgowo, a w końcu – wspierając rewindykacyjny kurs NSZZ „Solidarność", w którym zachował spore wpływy – przyczynił się do wysadzenia jej gabinetu w powietrze.

Jakie ma pan dalsze plany wydawnicze? Czy możemy się spodziewać książki o rządach SLD-PSL?

Na razie będę przygotowywał nowe, znacząco zmienione wydanie „Historii politycznej Polski po 1989 r.", w której m.in. pojawi się rozdział opowiadający o minionej kadencji rządów PiS oraz prezydenturze Andrzeja Dudy. Rządami czerwono-zielonej koalicji z lat 90. zajmę się, jeśli uda mi się zgromadzić równie ciekawe źródła co w przypadku książki „Od Mazowieckiego do Suchockiej".

FOT. EAST NEWS/MICHAŁ WOŹNIAK

Zamiast nadziei i błogosławieństw

Państwowy Instytut Wydawniczy

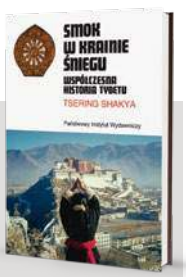


ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Mówimy „Tybet" i od razu wyobraźnia lub pamięć wyświetlają nam wiele obrazów: odbierający Pokojową Nagrodę Nobla lub siedzący przy św. Janie Pawle II w Asyżu J.Ś. Dalajlama, buddyjscy mnisi w bordowych szatach, recytujący mantry, lhaski Pałac Potala – tradycyjna siedziba dalajlamów, a ostatnio, niestety – płonący ludzie: mnisi i świeccy, starzy i młodzi, wykształceni i nie, kobiety i mężczyźni. Te ostatnie muszą być wyobrażone, bo od czasu protestów z 2008 r. Tybet otoczyła szczelna kurtyna medialna i mało co przez nią się wydostaje, a i same akty samospaleń rzadko zostały zarejestrowane.

Oczywiście Tybet to także majestatyczne piękno Himalajów i pewien nimb tajemnicy. Oraz jakieś przedziwne poczucie pokrewieństwa i instynktownej sympatii. Okupowane przez Chiny przy obojętności świata państwo, dzielny naród, którego tożsamość jest nierozłącznie związana z religią i poddawana systematycznemu niszczeniu przez okupanta – wszystko to brzmi w naszych uszach znajomo. Tym bardziej warto sięgnąć po książkę Tseringa Shakyi „Smok w Krainie Śniegu. Współczesna historia Tybetu".

Oto pierwszy tybetański historyk światowego formatu, władający świetnym warsztatem i niedościgły w docieraniu do niepublikowanych materiałów źródłowych, obecnie wykładający na Uniwersytecie British Columbia, wyszedł poza uproszczenia i przygotował dzieło, które natychmiast zyskało status kanonicznego. Jest w nim wszystko: szczegółowy opis politycznej i społecznej sytuacji Tybetu w przededniu chińskiej inwazji; wewnętrzne podziały i rywalizacje umiejętnie podsycane i wygrywane później przez Chińczyków; wkroczenie Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej; proces przygotowywania 17-punktowego Porozumienia (ugody określającej nowy status Tybetu pod zwierzchnością chińską); oczekiwania i zawiedzione nadzieje Tybetańczyków; gra okupantów próbujących pozyskać dla swoich celów różne grupy społeczne; bezwzględnie stłumione powstanie w Khamie, ucieczka J.Ś. Dalajlamy do Indii; kontakty tybetańskiego ruchu oporu z CIA; rewolucja kulturalna; utopione we krwi powstanie w Njemo z charyzmatyczną przywódczynią Trinle Czioden; przetaczająca się jak walec socjalistyczna transformacja, aż po lata 80. XX w. – nowe protesty i nowe represje. Jest to lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy powodowani czy to sympatią do Tybetu, czy antypatią do totalitarnych rządów komunistycznych, czy po prostu ciekawością świata – chcą poznać przebieg trwającej od ponad pół wieku tragedii narodu tybetańskiego. ■



Tsering Shakya, „Smok w Krainie Śniegu. Współczesna historia Tybetu", tłum. Filip Majkowski, Państwowy Instytut Wydawniczy, 2019

AUTOPROMOCJA









ODKRYWANIE SKARBÓW W PIASKACH MAZOWSZA

„PRZEZ USZKODZONĄ I BRUDNĄ SZYBĘ, ZADZIERAJĄC GŁOWY DO GÓRY, ZOBACZYŁYŚMY COŚ, CO SPOWODOWAŁO PRZYSPIESZONE BICIE SERCA I WYPIEKI NA TWARZY”



KATARZYNA J. KOWALSKA

Tak zaczyna się wiele opowieści Izabelli Galickiej o zabytkach, które razem z Hanną Sygietyńską odnajdywała na Mazowszu i Podlasiu, na terenie dawnego województwa warszawskiego. Te emocje towarzyszyły jej podczas odkrycia rzeźby w przydrożnej kapliczce w Porębie. Dalej pisała: „Samej rzeźby jeszcze nie dostrzegałyśmy, [...] jedynie kaskady drewnianych fałd sukni”. Dla laika nie znaczy to nic, dla badaczki widok rąbka sukni wystarczył, by wiedziała, że ma do czynienia ze skarbem.

Nie dla nagród

Zagadnięta niedawno, czy czuje się doceniona za odkrycie obrazu El Greca, Galicka po krótkim zastanowieniu odpowiedziała: „Następne pytanie poproszę”.

1. Gotycka rzeźba Chrystusa z ruchomymi ramionami, Muzeum Archidiecezji Warszawskiej
2. Kościelna Wieś pod Kaliszem, odwiedziny proboszcza, który poprosił Izę Galicką o ocenę jednego z obrazów

Nagrody były ostatnią rzeczą, której oczekiwała. Najwyższe odznaczenie otrzymała, razem z Hanną Sygietyńską – współodkrywczynią obrazu „Ekstaza św. Franciszka” pędzla El Greca, dopiero w 2009 r. z rąk prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Był to Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Potem długo, długo nic. W ostatnim miesiącu życia została uhonorowana Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis oraz Medalem

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 0aa789525f

100-lecia Odzyskanej Niepodległości od prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Wcześniej? Obie badaczki trwały przede wszystkim w niecierpliwym oczekiwaniu na potwierdzenie swoich przeczuć, hipotez, a potem już pewnego twierdzenia, że obraz znaleziony na plebanii w małej parafii Kosów Lacki, leżącej na granicy Mazowsza i Podlasia, wyszedł spod pędzla hiszpańskiego mistrza.

W drogę

Przygoda Izabelli Galickiej z inwentaryzacją zabytków rozpoczęła się w 1953 r. Miała wtedy 22 lata. Studiowała równolegle w konserwatorium muzycznym w klasie fortepianu i historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim. Jerzy Łoziński, ówcześnie redaktor naczelny Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce, oraz jego przyjaciel Adam Miłobędzki z Zakładu Architektury Polskiej, zaproponowali Izie i jej koleżance Ewie Smulikowskiej asystowanie podczas objazdu powiatu zamojskiego. Ewa Smulikowska, również studentka historii sztuki, właśnie przeprowadziła się do Warszawy z Poznania, gdzie zdobywała pierwsze szlify w inwentaryzacji zabytków pod okiem wybitnego historyka sztuki prof. Szczęsnego Dettloffa. Wyjazd do Zamościa nie doszedł jednak do skutku:

– Nie wiadomo, z jakiego powodu to się nie udało, jednak może to lepiej, bo krążył przesąd, że jak ktoś zabiera się za inwentaryzację Zamościa, to wybucha wojna – po latach wspominała Iza.

Na otarcie łez, jak same opowiadały, dostały powiat kraśnicki. Na początku lipca 1953 r., z wojskowymi plecakami i statywem do aparatu fotograficznego przerzuconym przez ramię, ruszyły w Polskę. Oprócz zaświadczenia z Państwowego Instytutu Sztuki musiały za każdym razem starać się w miejscowej kurii o pozwolenie na badanie kościołów. W pamiętniku, który pisały naprzemiennie podczas tego objazdu, Ewa Smulikowska zanotowała: „Młody i spieszący się ksiądz wydaje nam zaświadczenie. Wiwat! Zabieramy rzeczy z PTTK, czekamy tylko półtorej godziny na autobus i jedziemy na dworzec po rowery. Stamtąd wyruszamy wreszcie w drogę. Przed nami nieznane. Wielka przygoda!".

– Na początku lat 50. podróżowanie po Polsce było niczym eksplorowanie dziś terenów Kazachstanu – opowiadała Galicka. – Nigdy nie wiedziałyśmy, gdzie będziemy spać: w stodole na sianie czy u sołtysa w chałupie z całą jego rodziną na jednym klepisku? Czy zjemy ciepły posiłek na plebanii, czy też będziemy musiały się pocieszyć jabłkami znalezionymi w sadzie? Czy rowery nas dowiozą do celu, czy też złapiemy „gumę" i utkniemy w środku jakiegoś lasu?

„Elgreczynki"

Sytuacja nieco się poprawiła, kiedy Iza Galicka dostała etat w Instytucie Sztuki. Był 1962 r., zostało jej przydzielone do opracowania całe województwo warszawskie i samochód z kierowcą: nysa albo wojskowy UAZ – w zależności od terenu, który miała pokonać. Do tandemu zaprosiła Hannę Sygietyńską. Iza należała już wtedy do Klubu Wysokogórskiego, nie dość, że świetnie jeździła na nartach, to jeszcze się wspinała. Była wysportowana i gotowa wejść na każdy strych. Spokojniejsza Hania trzymała się z dala od chybotliwych i spróchniałych drabin, za to była niezastąpiona w sprawdzaniu i porządkowaniu faktów. Uzupełniały się znakomicie.

Kiedy w 1964 r. dotarły na plebanię w Kosowie Lackim, nic nie wskazywało na to, że odkryją tam obraz jednego z największych twórców europejskich – El Greca. Płótno, które znajdowało się w prywatnym mieszkaniu księdza, zrobiło na nich ogromne wrażenie. „Ciarki biegały nam po plecach" – wspominała Iza. Wtedy, na gorąco, zanotowała w pamiętniku: „Po prostu cudo. Hiszpański? [...] Wrócimy tu". Długie i wnikliwe badania, konsultacje z innymi historykami sztuki poprzedziły ich zdecydowane stwierdzenie, że obraz wyszedł spod pędzla El Greca. Zanim jednak uznały to środowisko naukowe i opinia publiczna, minęło wiele lat. One, wyśmiewane, nazywane „elgreczynkami" i „dwiema młodziutkimi paniami", były na pewno rozgoryczone i zrezygnowane.

Jednak nie na tyle, by zaniechać dalszej wnikliwej pracy.

– Odkrycie obrazu El Greca dało nam nieoczekiwanie nową energię do działania. Z większą nadzieją rozglądałyśmy się w poszukiwaniu ciekawych obiektów, licząc na kolejne cenne znaleziska.

Wzmożona czujność

Dwa lata później, w 1966 r., odwiedziły Kaski nieopodal Błonia. Tam zobaczyły ciekawy obraz, o który zaczęły wypytywać mieszkańców wsi, bo sam proboszcz nie był skory do rozmów. Obraz miał zostać przekazany przez anonimową osobę zaraz po wojnie, która za niewielki dar w naturze weszła w jego posiadanie w okolicach Wschowy, w woj. zielonogórskim. „Umieszczony w bocznym ołtarzu, zamontowany był w sposób, który uniemożliwiał nam oględziny całości malowidła i odwrocia obrazu" – napisały prawie 30 lat później w książce „Odkrywanie sztuki, sztuka odkrywania". Parokrotnie zawitały jeszcze do Kask z nadzieją, że namówią proboszcza na wyjęcie obrazu z ołtarza i oddanie go w ręce konserwatorów. Ten był nieugięty. Swoje prace badawcze mogły więc prowadzić jedynie dzięki fotografiom i na ich podstawie dokonywać porównań tego dzieła do innych. Poszukiwania skoncentrowały na klanie Bassanów, który słynął z podobnych przedstawień momentu adoracji Dzieciątka przez pasterzy. Jednoznacznie stwierdziły, że obraz został stworzony ręką Francesca Bassana.

Mało kto wie, że w tym samym roku na strychu kościoła w Mszczonowie znalazły gotycką rzeźbę Chrystusa, która wedle wszelkich przypuszczeń brała udział w wielkanocnych misteriach pasyjnych. Widoczne krople krwi na czole i skroniach nadawały figurze realizmu. Rzeźba miała ruchome ramiona. Wedle zapotrzebowania dramaturgicznego można je było rozłożyć lub złożyć wzdłuż ciała. Nie one pierwsze zwróciły na ten obiekt uwagę, wcześniej wzmiankowała o nim Maria Puciata w swoim artykule. To jednak nie wystarczyło, by rzeźba trafiła w fachowe ręce konserwatora. Kiedy Izabella Galicka i Hanna Sygietyńska ją znalazły, była w fatalnym stanie:

– Jedno ramię leżało obok figury, uszkodzone. Drugie wciąż połączone było z korpusem – wspominała Galicka po latach. – Poprosiłyśmy księdza, by strzegł rzeźby jak oka w głowie, bo jej wartość artystyczna i historyczna jest bezcenna.

Określiły czas powstania figury na ok. 1500 r. Wyjaśniły, że jej obecność w polskim kościele jest świadectwem urządzania misteriów na wzór tych, które odbywały się w podobnym czasie w reszcie Europy. Okazało się, że figura jest jedną z dwóch tego typu zachowanych w Polsce i jedną z ok. 40, które przetrwały od czasów średniowiecza na całym świecie. Ksiądz posłuchał ich rady. Wiele lat później rzeźba trafiła do Muzeum Archidiecezji Warszawskiej i tam można ją teraz podziwiać. »

eprasa.pl 0aa789525f

»» „W tych piaskach Mazowsza na pewno nie ma nic cennego"

Kiedy Izabella Galicka usłyszała w redakcji Katalogów Zabytków Sztuki w Polsce, że ma zinwentaryzować zabytki znajdujące się na terenie woj. warszawskiego, w pierwszej chwili pomyślała: „Co można znaleźć w rozkradzionych przez Niemców i Armię Czerwoną dworkach i kościołach? Stare ławy, komody, najczęściej w fatalnym stanie. Wiatr hulał po tych smutnych wnętrzach". Jej nastawienie wynikało zapewne ze stereotypowego myślenia o Mazowszu jako terenie mało ciekawym, zacofanym, ubogim w zabytki. Ale to myślenie, dość powszechne w tamtych latach, wynikało głównie z tego, że obszar ten nie był przez nikogo wcześniej zbadany. Panie korzystały z notatek Bogusława Kopydłowskiego, pracownika Muzeum Narodowego w Warszawie, który przeprowadził wcześniej wstępną inwentaryzację części tego terenu. Nie miał jednak natury szperacza, poszukiwacza, a Izabella Galicka miała.

Przekonał się o tym też ksiądz ze Starejwsi w powiecie węgrowskim, do której Iza Galicka i Ewa Smulikowska dotarły na początku lat 60. Sam kościół dostarczył wiele pracy, zachowało się bowiem sporo starszych obiektów, ale, jak pisała sama Galicka „dopiero wizytacja zakrystii dostarczyła nam emocji. Na szafie, złożony w ośmioro, i to malaturą do wewnątrz, wyglądając jak pakunek, leżał sobie obraz". Po rozłożeniu płótna badaczki zobaczyły malunek przedstawiający scenę „Próby ognia małego Mojżesza". Ksiądz nie potrafił powiedzieć, skąd się wziął w zakrystii ani skąd pochodzi.

Obraz powstał zapewne we Włoszech, ale nie udało się ustalić jego autorstwa. Prawdopodobnie znajdował się w zbiorach pałacu Radziwiłłów, który leży w Starejwsi. „Według relacji miejscowych mieszkańców pałac został zdewastowany i obrabowany w 1944 r. przez wojska sowieckie, a obraz ocalił przed rabunkiem miejscowy ksiądz". Dziś płótno, po gruntownej konserwacji, znajduje się w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach.

Detektyw w świecie sztuki

Ale chyba największą satysfakcję sprawiało Izie, oprócz myszkowania po strychach i starych dzwonnicach, detektywistyczne wręcz poszukiwania na dziełach śladów, które mogły pomóc określić ich twórców. Czasem było to niemożliwe, jak w przypadku średniowiecznych rzeźb: wspomnianego już misteryjnego Chrystusa czy wielokrotnie opisywanej historii ocalenia gotyckiej rzeźby Matki Boskiej Tronującej, powstałej w 2. poł. XIV w., a uratowanej z przydrożnej kapliczki w Porębie n. Bugiem.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Szafa z katalogiem zabytków w redakcji Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce, Instytut Sztuki PAN

Czasem sprawa była oczywista, jak w przypadku obiektu znalezionego w pałacu w Jabłonnie. Na początku lat 80. razem z Hanną Sygietyńską przeprowadzały kontrolę ewidencji pałacowych zasobów, ponieważ miało miejsce włamanie i skradziono stołowe srebra. Idąc do toalety, jedna z nich zauważyła płaskorzeźbę z wizerunkiem mężczyzny, wmurowaną dość wysoko, dlatego nie każdy przechodzień zwracał na nią uwagę. Autorstwo było wyryte na marmurowej płycie: Bacius Bandinellus, żyjący na przełomie XV i XVI w. największy rywal Michała Anioła.

Autorstwo zapisane w dukcie pędzla

„El Greco..." – mruknął pod nosem prof. Michał Walicki, kiedy po powrocie z Kosowa Lackiego spotkały go na korytarzu Instytutu Sztuki PAN i pokazały zdjęcie obrazu odnalezionego na plebanii.

„Dziewczyny, piszcie, to może być bomba" – powiedział wtedy jeszcze dr Mariusz Karpowicz, zachęcając je do badań i opublikowania ich wyników na łamach branżowego „Biuletynu Historii Sztuki".

Wróciły na plebanię w Kosowie Lackim, poprosiły fotografa Jerzego Langdę o wykonanie zdjęć makro poszczególnych partii obrazu. Wróciły do Warszawy i studiowały każdy jego milimetr. „Technika malowania wykazuje wielkie zróżnicowanie nawet w niewielkich partiach obrazu i uderza niezwykłą śmiałością ciągnięcia pędzla. Zwracają uwagę pociągnięcia w »jodełkę«, a przede wszystkim krzyżujące się ślady szczeciny pędzla, ujawniające jakby strukturę malowanych warstw". Każde pociągnięcie pędzlem zbliżało je do celu, do upewnienia się, że to dzieło El Greca.

Podobną badawczą, iście mrówczą pracę wykonywały względem wielu dzieł, co do których miały cień podejrzeń, że są cenne i warto je ocalić. A takie przeświadczenie miały wyjątkowo często. Izabella Galicka, razem z Hanną Sygietyńską, jest autorką 29 tomików Katalogu Zabytków Sztuki, wiele maszynopisów wciąż jest nieopracowanych i leży zamknięte w szafie w redakcji katalogu na trzecim piętrze siedziby Instytutu Sztuki przy ul. Długiej w Warszawie.

Oprócz sprawdzania, badania i pisania robiły coś więcej – przekonywały właścicieli lub opiekunów cennych obiektów, że warto je poddać konserwacji, że warto zadbać o ich bezpieczeństwo. To dzięki staraniom badaczek Matka Boska Tronująca z Poręby dziś nie znajduje się już w przydrożnej kapliczce, skąd łatwo było ją ukraść, ale po konserwacji trafiła do kościoła. To dzięki ich staraniom „Pokłon pasterzy" Francesca Bassana dziś nie wisi ukryty w bocznym ołtarzu, ale po konserwacji można go podziwiać w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej.

Żadne z tych odkryć by się nie wydarzyło, gdyby nie pasja. Pasja do poszukiwania, odkrywania, poznawania. Gdyby nie chęć ocalenia dziedzictwa, którego nikt inny ocalić nie chciał, bo się poznać na nim nie potrafił.

eprasa.pl 0aa789525f

Tysiąc lat na straży



TOMASZ KARPOWICZ

Czym był „pruski batman"? Kiedy Rzeczpospolita wyglądała jak Rocky Balboa? Kogo można nazwać „Stalinem XIV wieku"? Który z Piastów wybrał piwo i miód zamiast krucjaty? Kiedy wystawiliśmy największą armię w historii naszej państwowości? Na wszystkie te pytania odpowiada w książce „Przedmurze cywilizacji. Polska od 1000 lat na straży Europy" jej autor Michael Morys-Twarowski.

Od najmłodszych lat Polak słyszy opowieść o swoim państwie jako historycznym bastionie Starego Kontynentu, mitycznym przedmurzu chrześcijaństwa, które chroni „cywilizowany świat" przed barbarzyńcami ze wschodu i południa, którzy tylko czekają, by zmienić Europę na swoją modłę – ogniem, mieczem i gwałtem. Do tego mitu nawiązuje dzieło Morys-Twarowskiego.

Wbrew chwytliwemu tytułowi, który z pewnością nakarmi niejedno ego, nie mamy do czynienia z hagiograficznym obrazem historii polskiej państwowości. Po „Przedmurzu cywilizacji" nie należy się spodziewać opowieści o mitycznej wielkości naszych przodków, którzy uratowali Europę. Jest to opowieść o starciach Rzeczypospolitej z jej mniej lub bardziej potężnymi wrogami. Podany po części jako opowieść o bitewnych przewagach polskiego wojska, lecz też jako opis działań dyplomatycznych, by utrzymać naszą państwowość w groźnym otoczeniu.

Morys-Twarowski przedstawia dzieje Rzeczypospolitej przez pryzmat jej walki o utrzymanie bytu na mapie Europy. Znajdujemy przedstawione szczegóły rozlicznych starć Polaków z Prusami, Litwinami, Tatarami czy Turkami. Są tu opowieści zarówno o rozbitej na dzielnice Polsce Piastów, wielkich polskich królach, hetmanach, dowódcach, jak i wyraźne wskazanie na dramatycznie rosnącą presję, jakiej poddawane było państwo próbujące radzić sobie z ciągłymi, zazwyczaj tragicznymi w skutkach najazdami. Jest to też obraz osobistych ambicji i nie mniej osobistych dramatów władców oraz ich poddanych, którym nie zawsze można było zapewnić bezpieczeństwo. Bo, jak mówił cytowany w książce hetman Jan Zamoyski: „Wróg, który nad nami jak miecz katowski wisi, ciągle nam grozi, domy nam pali, żony i dzieci w niewolę zabiera". ■



Michael Morys-Twarowski, „Przedmurze cywilizacji. Polska od 1000 lat na straży Europy", ZNAK Horyzont, Kraków 2019

REKLAMA



eprasa.pl 0aa789525f



„Siła odwagi", reż. Jean-Paul Salomé, Francja, 2008

KOBIECY PUNKT WIDZENIA

FRANCUSKI FILM „SIŁA ODWAGI" Z 2008 r. TO CIEKAWY PRZYKŁAD POKAZANIA WOJNY OCZAMI KOBIET – KOBIET NIEZWYKŁYCH, BO ZAANGAŻOWANYCH W KONSPIRACJĘ I PROWADZĄCYCH NIEBEZPIECZNE DZIAŁANIA WYWIADOWCZE ORAZ DYWERSYJNE WYMIERZONE W NIEMIECKIEGO OKUPANTA WE FRANCJI



KAROL MAZUR

Kinematografia francuska nie jest zbyt bogata w filmy wojenne o II wojnie światowej. Przeważają w niej raczej komedie (jak „Wielka włóczęga" z 1966 r. z niezapomnianym Louisem de Funèsem) lub dramaty obyczajowe (np. „Francuska suita" z 2014 r.). Brakuje filmów ukazujących działania militarne na froncie zachodnim. Jest za to kilka ciekawych produkcji opowiadających o francuskim ruchu oporu w okupowanej Francji. „Siła odwagi" w reżyserii Jeana-Paula Salomé jest jednym z nich. Akcja filmu toczy się wiosną 1944 r., tuż przed lądowaniem aliantów w Normandii. Bohaterki to pięć agentek ruchu oporu mających wykonać zadanie odbicia z niewoli niemieckiej angielskiego geologa, który w czasie swojej wyprawy do Normandii dostaje się w ręce gestapo. Więzień ten jest bardzo cenny dla Niemców, gdyż wie o przygotowaniach aliantów do desantu w północnej Francji. Agentki – cztery Francuzki i Włoszka – podlegają brytyjskiemu wywiadowi. Każda z nich ma inny zakres przeszkolenia, różne doświadczenie życiowe i bojowe. Na ich czele stoi Louise Desfontaines (w tej roli piękna Sophie Marceau), prawdziwa zabójczyni, wdowa po francuskim członku ruchu oporu. Jej pierwowzorem była postać Lise de Baissac, która była francuskim cichociemnym, zrzuconym na spadochronie przez SOE do okupowanej Francji, gdzie zorganizowała całą sieć konspiratorów i przygotowała wiele akcji dywersyjnych.

Ten film to naprawdę ciekawe kino. Jego akcja trzyma w napięciu. To, co w dziele Salomé jest najciekawsze, to przedstawienie głównych postaci pod względem psychologicznym. Bohaterki muszą się wykazać niemałą determinacją i odwagą, a także opanować własne słabości, aby wykonać powierzone im zadania. Oprócz wspomnianej Louise, która jest wyszkolonym i odważnym żołnierzem, mamy też uliczną prostytutkę Jeanne, której tupet i wygadanie pozwalają pokonać niejedną przeszkodę. Towarzyszy im Gaëlle, skromna i mało przebojowa dziewczyna, ale za to wyśmienita specjalistka od materiałów wybuchowych, a także piękna Suzy, była tancerka rewiowa, osoba delikatna, ale potrafiąca swoimi wdziękami zamieszać niejednemu Niemcowi w głowie. W tle tych Francuzek występuje wreszcie Włoszka – hrabina Maria, która dzięki swojej wrodzonej klasie kobiety z wyższych sfer może dotrzeć do wielu poufnych informacji. Różnice charakterologiczne wywołują oczywiście pewne napięcia miedzy bohaterkami, ale nie przeszkadzają im w dążeniu do wykonania powierzonych im zadań. Można nawet powiedzieć, że kobiety te tworzą dość zgraną paczkę. „Siła odwagi" jest na pewno filmem kobiecym, ale odległym od feministycznej ideologii. Także Niemcy zostali pokazani tu w stosownym kontekście. Bywają oczywiście szarmanccy, ale kiedy trzeba pilnować interesów III Rzeszy, stają się bezdusznymi bestiami, gotowymi użyć wobec przeciwników okrutnych tortur. Jedyn aspekt, który wzbudził moją irytację, to obecne w filmie antykatolickie uprzedzenia. Jedyną z bohaterek, która po torturach gestapo zaczyna „sypać", jest Gaëlle, ukazana wcześniej jako gorliwa katoliczka w kontrze do ateistki Louise, która podczas przesłuchania pozostaje nieugięta.

Biorąc pod uwagę, że „Siła odwagi" to hołd oddany bohaterstwu kobiet, warto na pewno poszukać i w naszej historii kobiecych postaci, których losy mogłyby posłużyć za fabułę dobrego filmu. W samych tylko akcjach wywiadowczo-kurierskich moglibyśmy znaleźć kilka takich sylwetek. Przychodzą mi do głowy zwłaszcza dwa nazwiska: jedynej cichociemnej wśród kobiet – Elżbiety Zawackiej „Zo" oraz jej przełożonej z Działu Łączności Zagranicznej przy KG AK, Emilii Malessy „Marcysi", której samobójcza śmierć ukazała skalę manipulacji UB.

eprasa.pl 0aa789525f

GÓRNA PÓŁKA

Hirohito



ANTONI DUDEK

Niedawno wstąpił na tron książę Naruhito, stając się 126. cesarzem Japonii, należącym do najstarszej dynastii panującej na świecie. Poza Japonią najbardziej znanym z tej bardzo już długiej listy cesarzy pozostaje jego dziadek Hirohito. Panowanie tego ostatniego wypełniło bowiem znaczną część XX w., w trakcie którego Japonia przekształciła się z rządzonego przez wojskowych agresywnego imperium w ekonomiczne mocarstwo zalewające świat samochodami i wyrobami elektronicznymi. Prof. Jakub Polit, krakowski historyk, specjalizujący się w dziejach Azji Wschodniej, podjął ambitną próbę wyjaśnienia roli Hirohito w ustanowieniu quasi-totalitarnego reżimu w latach 30., następnie zakresu jego odpowiedzialności za włączenie Japonii w II wojnę światową w roli sojusznika hitlerowskich Niemiec, wreszcie wpływu cesarza na powojenne reformy, które doprowadziły do ekonomicznego boomu. Wszystko to uczynił na 900 (!) stronach swej imponującej – nie tylko rozmiarami – biografii japońskiego władcy.

„Niewątpliwej odpowiedzialności cesarza za zbrodnie czasu wojny nie należy zestawiać z rolą Hitlera w Holocauście czy Stalina w sowieckiej wielkiej czystce, ale raczej z odpowiedzialnością królowej Wiktorii za irlandzki Wielki Głód lat 1845–1852" – ocenia Polit. I przytacza na to liczne argumenty wskazujące, że mimo powszechnego szacunku i kultu, jakim Hirohito był otoczony jako cesarz, jego realna władza była mocno ograniczona. Inna rzecz, że stało się tak wcześniej do pewnego stopnia za sprawą jego niezdecydowania oraz niechęci wobec świata polityki, od której wolał biologię oceaniczną, przez lata pozostającą jego najważniejszym hobby. Czy jednak jest to wystarczająca okoliczność łagodząca wobec olbrzymiej skali japońskich zbrodni wojennych? Zbrodni, o których Hirohito być może istotnie – jak sugeruje Polit – nie wiedział, ale z pewnością mógł się dowiedzieć, gdyby mu na tym naprawdę zależało.

„Dalsze prowadzenie wojny może oznaczać tylko zniszczenie narodu" – oświadczył Hirohito pod wrażeniem amerykańskich ataków bombami atomowymi na Hiroszimę i Nagasaki, zmuszając pragnących wciąż walczyć generałów do kapitulacji. Niezależnie zatem od tego, czy Jakub Polit rzeczywiście ma rację, zestawiając Hirohito z Wiktorią, za pewnik wypada uznać, że zapobiegając amerykańskiej inwazji wysp japońskich, cesarz uratował miliony ludzkich istnień. Co więcej, z uwagi na plany Stalina, aby zaatakować Japonię od północy, być może uratował też swój kraj przed losem podzielonej do dzisiaj Korei. A w takim scenariuszu losy zimnej wojny mogłyby się już potoczyć zupełnie inaczej.



Jakub Polit, „Hirohito. Tajemnica cesarza Shōwa 1901–1989", Arcana, Kraków 2019

POLSKIM OKIEM

Kaszmir i islamski terroryzm



RYSZARD CZARNECKI

Jestem tu – wraz z garstką europarlamentarzystów – jako pierwszy polityk z Zachodu, po tym jak w sierpniu premier Indii Narendra Modi uznał Kaszmir za integralną część tego państwa.

Jestem Polakiem, oswajanie strachu mam w genach, więc dla mnie jazda do regionu w 80 proc. zamieszkanego przez muzułmanów, gdzie dosłownie co chwilę zdarzają się zamachy terrorystyczne, nie jest żadnym heroizmem. Ale widzę, że niektórzy moi koledzy z Europy Zachodniej naprawdę mają duszę na ramieniu, gdy lądujemy na lotnisku strzeżonym jak źrenica oka w głowie bogów Wisznu i Sziwy (no bo raczej nie Allacha)... Latałem w życiu tysiące razy, więc wiem, że zawsze przy lądowaniu prosi się o odsłonięcie okien. Tymczasem tutaj, po raz pierwszy w życiu, byłem w sytuacji, w której pasażerom nakazano... zasłonięcie okien.

Stopień koncentracji wojska i policji na ulicach jest niebywały. Nie jest to pokazówka, bo tutaj niemal codziennie radykalni islamiści zabijają ludzi. W dniu mojej wizyty dwa kolejne zamachy z ofiarami śmiertelnymi, w dniu poprzedzającym mój przyjazd – jeszcze jeden.

Patrząc na rzędy żołnierzy z automatami ustawionych po obu stronach drogi, którą jadę (jedni twarzą do drogi, drudzy plecami – naprzemiennie), robię notatki. Anulowanie 370 art. konstytucji o autonomii Kaszmiru wywołało międzynarodowe poruszenie i eskalację zamachów ze strony muzułmańskich terrorystów. Ci, którzy oburzają się na metody walki podjęte przez państwo indyjskie, a nie wspominają chociażby o terrorystycznej „czarnej serii" w Bombaju w 2008 r. (w 10 zamachach zginęło 175 osób, prawie 300 było rannych), popełniają grzech hipokryzji i podwójnych standardów. Ja, Polak i chrześcijanin, zawsze będę stał po stronie tych (państw, polityków i zwykłych ludzi), którzy walczą z terroryzmem spod znaku półksiężyca. Tysiące moich Braci w Wierze ginie co roku na świecie z ręki ekstremistów wyznających ideologię, która każe mordować, np. tutaj, Bogu ducha winnych kierowców ciężarówek, którzy przyjechali za pracą z innych regionów Indii.

Od początku lat 90. 300 tys. Hindusów zostało zmuszonych do opuszczenia Kaszmiru przez muzułmańskich współmieszkańców: groźbami, szantażem, zamachami. Dziś wahadło historii przesuwa się w drugą stronę. Premier Modi wizytuje Kaszmir w wojskowym mundurze w dniu wielkiego święta Hindusów – Divali.

Doprawdy lepiej być po stronie tych, którzy realnie walczą z muzułmańskim terroryzmem, niż chowających głowę w piasek „obrońców praw człowieka".

eprasa.pl 0aa789525f

MATKA TERESA OD JEZUSA MARCHOCKA JEST JEDYNĄ KOBIETĄ W „SŁOWNIKU POLSKICH TEOLOGÓW KATOLICKICH OD PRZYJĘCIA CHRZTU DO XIX WIEKU". A TAKŻE AUTORKĄ PIERWSZEJ POLSKIEJ AUTOBIOGRAFII MISTYCZNEJ, BĘDĄCEJ PIERWSZĄ POLSKĄ AUTOBIOGRAFIĄ KOBIECĄ



MISTYCZKA, PRZED KTÓRĄ KRÓL ODKRYWAŁ GŁOWĘ



JOANNA PUCHALSKA

Chciałam ja się w kościele urodzić" – skomentowała to wydarzenie z zarania swego życia, kiedy w święto Bożego Ciała bóle przedporodowe chwyciły jej matkę i „ledwo ją z kościoła wynieśli". I choć Marianna na świat przyszła trzy tygodnie później w domu, do kościoła dalej ją ciągnęło. Jako dziecko lubiła sobie wyobrażać, że jest dorosła, bogata i buduje wspaniałe świątynie. I budowała dziecinne kościoły z cegieł i patyków znalezionych na podwórzu, bardzo się przy tym złoszcząc na inne dzieci, gdy jej dzieło burzyły.

Mając 17 lat, wstąpiła do klasztoru karmelitanek bosych w Krakowie. Nim jednak tak się stało, musiała przekonać do tej decyzji rodziców, zwłaszcza ojca, który rozpaczał, że druga córka za kratę się wybiera, w dodatku do innego zgromadzenia niż pierwsza (starsza siostra, Elżbieta, była już klaryską w Starym Sączu) i o dużo surowszej regule. „Powiedał mi, że nie mógł czuć [...] nic cięższego w naturze swojej nad to, i kiedy by mnie umarłą na marach widział, nie miałby takiego żalu i ciężkości". Aż taka ciężkość przygniotła porywczego starostę czchowskiego Pawła Ścibora z Marchocic Marchockiego, że pewnego dnia wypiwszy sobie, dobył szabli i się na córkę zamierzył. Na całe szczęście wezwana z klasztoru na rodzinną naradę Elżbieta ramię ojcowskie powstrzymała.

Trudne chwile pokus

W klasztorze Marianna przyjęła imię Teresy od Jezusa i poczuła się naprawdę szczęśliwa, choć jednocześnie dręczyło ją dziwne, silne pragnienie, „żeby się aby na jaki moment czasu w świecie obaczyć", to znaczy opuścić klasztor, stanąć przed furtą, stamtąd zatęsknić do klasztornego życia i wtedy wrócić już na dobre. Nawet raz poprosiła w nocy podprzeoryszę, by ją wypuszczono za bramę. Ta kazała jej czekać do rana i na szczęście pokusa minęła. Gdy zaś innego dnia szła ze świecą po jutrzni, spojrzała na powróz od dzwonka i ogarnęła ją nieodparta chęć go podpalić, aby z kolei zajął się dach, a ona by wtedy miała sposobność w zamieszaniu wyjść wraz z innymi z klasztoru. Wiedziała, że to szatańskie sprawki, i walczyła z takimi myślami, co stało się dużo łatwiejsze, gdy trafiła na sensownego spowiednika. Ojciec Ignacy, który w konfesjonale słuchał jej przeżyć mistycznych – a wcale nie były to tylko myśli o spaleniu klasztoru, lecz także ekstazy i doświadczenia Bożej obecności – stwierdził, że są frapujące, a w dodatku tak umiejętnie jego penitentka potrafiła o nich opowiadać, iż uznał, że to może pomóc innym osobom przeżywającym podobne stany. I polecił, aby opisała „wszytko od urodzenia, co jeno Bóg z tobą czyni". Tak powstała jedyna w swoim rodzaju autobiografia, świadcząca o niezwykłej osobowości jej autorki. Nie było to zresztą jedyne z mistycznych pism, jakie po sobie pozostawiła.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 0aa789525f

Matka dyrektorka

Dość szybko została podprzeoryszą, a potem przeoryszą, najpierw w Krakowie, a potem w nowym klasztorze we Lwowie, ufundowanym przez Jakuba Sobieskiego. Przyjmując do zakonu kandydatki, nie przywiązywała wagi do ich pochodzenia społecznego i na tym tle doszło do konfliktu z podprzeoryszą, która zarzuciła jej, że mieszczanki zajmują córkom szlacheckim miejsca w nowicjacie. Matka Marchocka postawiła na swoim i sprawa ta stała się głośna w całej prowincji do tego stopnia, iż potraktowano ją potem jako precedens w podobnej sytuacji w klasztorze męskim. Było to o tyle niezwykłe, że zakon żeński podporządkowany był władzom zakonu męskiego i zwykle od braci szły wzorce postępowania, a nie na odwrót.

Dla podległych jej sióstr matka Teresa była wielkim autorytetem duchowym. Wierzyły w skuteczność jej modlitw i w niebezpiecznych chwilach gromadziły się przy niej w przekonaniu, że wtedy nic złego im się nie stanie. Pewnego razu podczas groźnej powodzi przerażone mniszki przerwały jej wielkopiątkową modlitwę, gdy z koroną cierniową na głowie i powrozem na szyi rozważała mękę Pańską. Uspokoiła je, przeżegnała wzburzone wody relikwiarzem, który zawsze miała przy sobie, i wróciła do modlitwy. Zagrożenie minęło.

W jesieni 1648 r. Lwów spodziewał się najazdu Kozaków Chmielnickiego i Tatarów. Z polecenia prowincjała karmelitanki wyjechały do Krakowa, chociaż matka Teresa była przekonana, że miasto nie zostanie zdobyte. Jak się okazało, miała rację. Niemniej wykonując polecenie przełożonych, zorganizowała wyjazd oraz zbrojną eskortę na drogę, a wszystkie przedsięwzięcia poleciła opiece św. Józefa. „I tak w każdej okazji do świętego Ojca naszego Józefa uciekałyśmy, aż się dragonowie oglądali, mówiąc: Kędyż ten Józef, że go co raz wołają?".

W Krakowie powszechne było przekonanie o jej świętości i gdy dotarła tutaj, wierni opuścili kościół w trakcie kazania, by ją zobaczyć.

Bliskie spotkania tronu z klasztorem

W tym samym roku Jerzy Ossoliński, kanclerz wielki koronny, ten od słynnego wjazdu do Rzymu, zaproponował lwowskim karmelitankom nową fundację w stolicy. Uroczyste wprowadzenie zgromadzenia do klasztoru nastąpiło z udziałem samego króla. Kontakty karmelitanek warszawskich z dworem były wręcz zażyłe. Jan Kazimierz i Ludwika Maria modlitwom matki Teresy i zgromadzenia polecali zagrożone państwo i osobiste troski, królowa odbywała tu rekolekcje. Dumny Jerzy Ossoliński z pokorą przyjmował napomnienia matki Marchockiej, a Sobiescy i Ossolińscy rywalizowali o nią – obie rodziny jako warunek fundacji stawiały jej udział. Silna była wiara w skuteczność jej modlitw, czemu przypisywano m.in. uzdrowienie Tekli Lubomirskiej, szczęśliwy poród jej ochmistrzyni oraz powrót do wiary katolickiej słynnego poety Jana Andrzeja Morsztyna.

KRÓL BYŁ ŚWIĘCIE PRZEKONANY, ŻE MILITARNE SUKCESY ODSIECZY ZBARASKIEJ I POD BERESTECZKIEM ZAWDZIĘCZA MODLITWOM TERESY

Król był święcie przekonany, iż militarne sukcesy odsieczy zbaraskiej i pod Beresteczkiem zawdzięcza jej modlitwom. Podobno widziano jej postać na polu bitwy, gdy w tym czasie przebywała, już ciężko chora, w Warszawie. Po powrocie z wojny Jan Kazimierz przybył do klasztoru podziękować, że go od rąk pogańskich obroniła. Odrzekła z pokorą, że nic o tym nie wie. „Ale ja wiem" – odparł krótko król.

Skuteczna i po śmierci

Gdy zachorowała, oboje królestwo ją odwiedzali, a Jan Kazimierz, „mówiąc do niej, z odkrytą głową stał przez wszytek czas". W tym czasie pojawiły się na jej ciele stygmaty, będące przyczyną wielkiego cierpienia fizycznego i zarazem wielkiej radości duchowej. Zmarła po lekkiej agonii 19 kwietnia 1652 r., a po śmierci ciało nie uległo rozkładowi – „lubo w grobie wilgotnym i zaduchu pełnym pochowana jest". W dodatku było tak lekkie, że jedna zakonnica podnosiła je bez trudu.

Modlitwom za jej wstawiennictwem przypisywano liczne uzdrowienia, w tym samego króla, a także żołnierza przebitego na wylot szpadą. Modliły się przy jej ciele kobiety w ciąży, matki przyprowadzały chore dzieci. W 1709 r. podczas pożaru jeden z zakonników przeżegnał ogień ciałem matki Teresy i wiatr zmienił kierunek, co uratowało klasztor.

Wierni traktowali doczesne szczątki zmarłej zakonnicy jak relikwię, pocierali o trumnę obrazki, medaliki i agnuski. Karmelitanki warszawskie, przekonane o świętości swojej matki, woziły ze sobą jej ciało wszędzie, wierząc, że będą wtedy bezpieczne. Jak we wrześniu 1652 r., gdy w obawie przed epidemią opuściły klasztor na kilka miesięcy, czy w 1655 r. uciekając przed Szwedami.

W 1663 r. siostry zamieszkały w zakupionym przez Lubomirskich pałacu Kazanowskich, obecnie Res Sacra Miser, na Krakowskim Przedmieściu. W 1818 r. klasztor został skasowany i przeniosły się do Krakowa. Tu zgromadzenie się odrodziło, a karmelitanki uznały to za łaskę uzyskaną za przyczyną matki Teresy.

Benedetta subito

W latach 90. XIX w. postacią matki Marchockiej zainteresował się o. Rafał Kalinowski, późniejszy święty. Rozpoczął zbieranie dokumentacji i w 1907 r. wysłał do postulacji generalnej zakonu memoriał, w którym stwierdzał, że zgromadzone przez niego materiały są wystarczające, aby rozpocząć proces beatyfikacyjny. Choć kolejne wojny opóźniły dalsze prace przygotowawcze, kult matki Marchockiej trwał w najlepsze. W listopadzie 1944 r., gdy karmelitanki z całej Polski znajdowały się w Krakowie, ówczesna przeorysza zebrała je w krypcie przed grobem matki Teresy i zastukała w płytę, mówiąc: „Matko Tereso, weź w opiekę wszystkie swoje córki i zaprowadź każdą do swojego gniazdka". I stało się tak, że po wojnie wszystkie zgromadzenia bez strat wróciły do swoich klasztorów.

Wszczęty na nowo proces beatyfikacyjny został zamknięty na szczeblu diecezjalnym w 2015 r. Niedługo zatem możemy się doczekać przyjęcia w poczet błogosławionych tej, którą już za życia uważano za polską Teresę z Awili.

eprasa.pl 0aa789525f

SŁODYCZE PRZEZ WIEKI

CHOĆ TO MELCHIOR WAŃKOWICZ JEST AUTOREM PRZEDWOJENNEGO SLOGANU REKLAMOWEGO „CUKIER KRZEPI", TO JEDNAK NASI PRZODKOWIE MIELI TEGO ŚWIADOMOŚĆ OD WIEKÓW. SZKODA, ŻE DZIŚ STAJE SIĘ TO WIEDZĄ ZAPOZNANĄ



KRZYSZTOF ŻARYN

Okres świąteczny, mimo że powinien z narodzeniem Chrystusa, to jednak w dużej mierze kojarzy nam się również z jedzeniem. Tradycyjne potrawy, wyczekiwane od wielu miesięcy pyszne ryby czy dania mączne na stołach kuszą i przyciągają uwagę. Co roku obiecujemy sobie, że tym razem nie przesadzimy, a kończy się niestety zwykle rozpinaniem guzika od marynarki czy poluzowaniem paska. I gdy już jesteśmy na skraju wytrzymałości, a nasze żołądki są rozciągnięte i wymęczone niczym mecze polskich drużyn w europejskich pucharach, na stoły wchodzi deser. A wtedy nagle i cudownie treść pokarmowa rozchodzi się niczym Morze Czerwone, dając miejsce wyczekiwanemu serniczkowi. Ten wstęp wcale nie ma na celu moralizowania, które przystoi dietetykowi. Okres świąteczny nie jest okresem, w którym mamy się specjalnie przejmować szeroko rozumianą dietą. Ten wstęp był po to, by zaanonsować, że tematem są – przez wszystkich lubiane i kochane – słodycze. Sprawdźmy, kiedy człowiek wprowadził do swojej kuchni słodkie przysmaki.



Ziarna z drzewa świętojańskiego

Cukier pierwotny

Sama tendencja do tęsknoty za smakiem słodkim wynika z fizjologii. Nasz organizm bazuje na metabolizmie cukru w postaci glukozy. By człowiek pierwotny mógł ocenić, co jest dla niego dobre, a co złe, Pan Bóg obdarzył poszczególne rzeczy smakami, które mogły ludzi do siebie przekonać lub odrzucić. Dlatego produkty słodkie i tłuste zostały wyposażone w największą smakowitość, ponieważ oferują też dużo energii. Z kolei trucizny na ogół mają smak gorzki, dając tym samym do zrozumienia, że nie powinno się ich zjadać, zwłaszcza w nadmiarze. W początkach ludzkości miało to kluczowe znaczenie dla przeżycia, jednak w dzisiejszych czasach swobodnego dostępu do żywności ta smakowitość produktów wysokokalorycznych paradoksalnie doprowadza do szybszej śmierci. Wynika z tego, że pierwszymi „słodyczami" dla ludzi pierwotnych były te produkty, które wytwarzała natura i miały w swoim składzie cukier. Były to przede wszystkim owoce, miód i w pewnym stopniu orzechy.

Starożytne pączki

Pierwszych „cukierników" wydała cywilizacja starożytnego Egiptu. To tam rozszerzono wachlarz słodkich specjałów, dodając do wyżej wymienionych ziarna z drzewa świętojańskiego – czyli szarańczynu strąkowego. Są to ziarna strąkowe zawierające różne odmiany cukrów wykorzystywanych do dziś do wypieku chlebka świętojańskiego. Dalszy rozkwit sztuki kulinarnej opartej na słodyczy to naturalnie dzieje Greków i Rzymian. Ich sposób wyrabiania dalej jest ściśle związany z owocami i miodem, ale już coraz bardziej rozwijany. W miodzie zaczęto obtaczać kwiaty oraz rośliny jadalne, nadając im smakowitej słodyczy. Rozwój sztuki cukierniczej nabierał znacznego tempa. Potwierdzają to przepisy Katona Starszego – rzymskiego polityka i pisarza żyjącego na przełomie III i II w. przed narodzeniem Chrystusa. Receptury owego Rzymianina odnaleźć można w jednej z najstarszych ksiąg kucharskich Półwyspu Apenińskiego „De re coquinaria", której autorstwo przypisywane jest Markowi Gawiuszowi, zwanemu Apicjuszem. Jeden z trzech tam zamieszczonych dotyczy sposobu wyrobu pączków:

„Pączki tak przyrządzaj. Wymieszaj ser z najdrobniejszą mąką orkiszową w ten sam sposób. Z tego zrób tyle, ile chcesz. Włóż do rozgrzanego kociołka tłuszcz zwierzęcy. Smaż po jednym, albo po dwa często obracając dwoma patykami.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0aa789525f

Usmażone wyjmij, natrzyj miodem, posyp makiem i tak podawaj".

Na poprawę humoru

W średniowieczu produkty uznawane za słodycze kojarzone były bardziej z lekarstwem. Miały one wpływać na poprawę zdrowia i odpowiadać za regulowanie „humoru i temperamentu" (zgodnie z założeniami starożytnej teorii humoralnej). Z tego względu na dworach słodkości podawano zarówno przed posiłkami, jak i po nich. Nadal bazowały one głównie na teksturze miodu. O rozwinięcie kunsztu sztuki kulinarnej słodyczy pokusił się żyjący w X w. władca bizantyjski – Konstantyn VII Porfirogeneta – na którego stołach pojawiły się galaretki oraz konfitury owocowe. W tym okresie też coraz bardziej powszechny stawał się – będący dotąd rarytasem – cukier trzcinowy. Choć jego odkrycie datuje się na wiele setek lat przed narodzeniem Chrystusa, to tak naprawdę dopiero w końcówce wieków średnich towar ten stał się bardziej dostępny. Wtedy też był wykorzystywany do wyrobu słodkich przekąsek. Już w połowie XIV w. w Awinionie na przyjęciu honorującym nowo wybranego papieża Klemensa VI królowały na stołach owoce gotowane nie w miodzie, lecz właśnie w cukrze.

Wykwintność słodkości

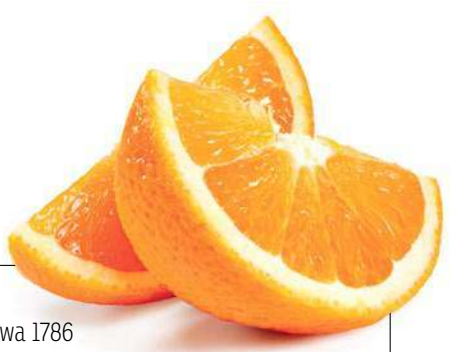
Pierwszeństwo, jeżeli chodzi o rozwój sztuki cukierniczej, przypada Włochom. To w Italii kwitła i rozwijała się sztuka kulinarna w dziedzinie deserów. I to dzięki nim można mówić o „słodkim" rozkwicie epoki renesansu. Zaczęły się pojawiać coraz to nowe formy słodyczy: od andrutów i wafli, przez cukierki, po drażetki. Zwłaszcza w Wenecji i Genui na drodze eksperymentów otrzymywano coraz nowsze odmiany smaku i sposobu ekspresji deserów. Za przykład można podać przyjęcie, które Ludwik Sforza, książę Mediolanu, wydał na cześć króla Francji Karola VIII. Powiedzieć, że były tam przepych i bogactwo cukru, to mało powiedzieć. Stoły uginały się od słodkich rozmaitości, ale to tylko skromny element tej uczty. Bo z cukru zrobiono dosłownie wszystko. Obrusy były słodkie i jadalne, widelce wykonane z cukru lepiły się do dłoni, rozpuszczając się pod wpływem ich ciepła, podobnie jak inne talerze i naczynia. Uczta w Mediolanie nie była zresztą wyjątkowym wydarzeniem jak na tamte czasy; odnaleźć bowiem można opisy wielu innych przyjęć, gdzie wystawiano różne formy masy cukrowej. Wykonywano słodkie makiety zamków czy miniatury łuków triumfalnych, często również pozłacanych, które miały na celu wywoływać coraz większy zachwyt na twarzach zebranych gości.

Dalsze lata to rozprzestrzenianie się doświadczenia i wiedzy włoskich cukierników na całą Europę. Wynalezione w Wenecji bezy oraz marcepan bardzo szybko przyjęły się na dworach królewskich i zaczęły być modnym dodatkiem arystokratycznych bankietów. XVIII w. był ostatnim, który dawał możliwość poznania smaku słodkiego tylko arystokratom i ludziom wysoko urodzonym. Do tego czasu takie przysmaki jak lody czy pralinki były dla niższych sfer produktem nieznanym – mimo dobrej woli Marii Antoniny („Nie mają chleba? Niech jedzą ciastka").

Pauperyzacja słodyczy

W epoce oświecenia zaczęła się zmieniać struktura konsumpcji słodyczy. W 1747 r. niemiecki chemik Andreas Sigismund Marggraf odkrył, że doskonałym i tanim źródłem cukru jest bulwa buraka. 40 lat później jego uczeń Franz Karl Achard opracował technologię uzyskiwania cukru z tego surowca na skalę przemysłową. Dopiero jednak XIX w. i rewolucja przemysłowa przewróciły rynek cukierniczy do góry nogami. Znaczny spadek cen cukru i mąki pozwolił na rozpowszechnienie słodkich przysmaków również wśród ludzi o niższym statusie społecznym. Powstające fabryki pozwoliły rozpocząć produkcję taśmową, dzięki czemu towaru było coraz więcej. Powstające w tym okresie koncerny rozpoczęły swoje prężne funkcjonowanie. Coraz nowsze pomysły na przedostanie się cukru do ogólnego obiegu były już tylko kwestią czasu. Toffi, żelki, drażetki, landrynki, gumy do żucia i wiele innych smakołyków zalało rynek spożywczy, a tworzenie ich coraz to nowych form wcale nie zwalnia tempa.

Choć każdy rodzaj słodyczy ma swoją odrębną historię, to jednak ogólny rozwój sztuki kulinarnej w zakresie deserów w dużej mierze zawdzięczamy mieszkańcom Italii. I tak jak na początku był to towar rarytasowy i tylko dla wybrańców, teraz jest dostępny dla każdego. Rodzi się więc pytanie, czy mamy się z tego powodu cieszyć, czy raczej żałować dokonań potomków starożytnych Rzymian? Kiedyś tzw. schorzenia dożywieniowe dotyczyły głównie najbogatszych (np. podagra zwana była „chorobą królów"), teraz dotyczą one głównie ludzi biedniejszych, którym grozi zalew pustych kalorii. Duża konkurencja koncernów cukierniczych wpływa na to, że produkty są coraz tańsze i łatwo dostępne, co przekłada się na coraz większą otyłość społeczeństwa oraz zapadalność na choroby dożywieniowe (np. cukrzyca, miażdżyca). Jest to niestety znak naszych czasów, bo przeglądając zdjęcia archiwalne, nawet z lat 70. poprzedniego wieku, na plażach miejskich Warszawy trudno dostrzec choć jedną osobę otyłą! Nawiązując do wstępu, nie oznacza to, że na święta nie możemy zjeść niczego słodkiego. Wręcz odwrotnie. To nie jest czas, by za cel stawiać sobie konsekwentne przestrzeganie zdrowych zaleceń żywieniowych. To jest czas radości i wspólnoty. Cieszmy się świętami Bożego Narodzenia, ale po nich zachęcam do zastanowienia się nad odcukrzeniem swojej codzienności...



Pończki z pomarańcz (na przystawkę)
Wojciech Wielądko, *Kucharz doskonały*, Warszawa 1786

Weź cztery, albo pięć pomarańcz Portugalskich, obierz pomału ze skórki, pokray na 4 części, wybierz iądra, ugotuy z cukrem, rozczyń ciasto z winem białym, wley łyżkę dobrey oliwy, wsyp trochę soli, rozrób, ażeby nie było zbyt gęste ani też rzadkie: obmocz cząstki pomarańcz w tymże cieście, usmaż w tłustości, przyrumien pięknie, poglasseruy cukrem i łopatką, day na stól.

eprasa.pl 0aa789525f

TREBLINKA NIGDY WIĘCEJ

Czym jest „American Dream”? Na pewno za jego spełnienie uważane jest dojście do szczęścia osobistego przez założenie rodziny, stworzenie domu marzeń, sukces w życiu zawodowym – wszystko to osiągnięte w zgodzie z ogólnie przyjętymi normami i zasadami. Jak wyglądał „amerykański sen” w wersji niemieckiej, szczególnie tej spod znaku swastyki?

Przyjrzyjmy się temu na przykładzie dyplomowanego rolnika, członka SA, a później Sturmbannführera SS (odpowiednik majora), posiadacza złotej odznaki NSDAP i w końcu starosty powiatu sokołowsko-węgrowskiego w dystrykcie warszawskim Generalnego Gubernatorstwa. To Ernst Gramss, nazistowski zbrodniarz wojenny, znany też jako kat Podlasia. Urzędował w bezprawnie odebranym właścicielom pałacyku w Przeździatce, na obrzeżach Sokołowa Podlaskiego, oddalonego od przebiegającej wzdłuż Bugu granicy z ZSRS o ok. 20 km. Nie sprowadził do siebie żony ani dzieci; wolał, żeby jego bliscy zostali w Rzeszy i nie musieli się stykać z Żydami, których, jak pisał w listach, „eksterminacja byłaby błogosławieństwem dla gatunku ludzkiego”.

Gramss zdecydowanie realizował się na niwie zawodowej. Skrupulatnie egzekwował ściąganie wysokich kontyngentów dostaw narzuconych na rolników z podległego mu powiatu. Surowo karał opornych, osobiście kierował akcjami represyjnymi, brał udział w pacyfikacjach wsi. Udowodnił też, że miał żyłkę do interesów. Na zarządzanym przez niego terenie, sześć kilometrów od stacji kolejowej Treblinka, znajdowała się żwirownia. Z jego inicjatywy powstała spółka betoniarska, której zaplecze surowcowe zlokalizowano właśnie w tym miejscu. Obroty firmy znacząco wzrosły w czasie przygotowań III Rzeszy do ataku na ZSRS. Po 22 czerwca 1941 r. problemem stał się brak wystarczającej ilości taniej siły roboczej. Dla obdarzonego pomysłowością i przedsiębiorczością starosty Gramssa nie była to przeszkoda nie do pokonania. Wpadł na pomysł powołania obozu pracy.

Powstał on już pod koniec lata 1941 r. Przy jego budowie „zabłysnął” inny niemiecki „człowiek sukcesu” – SS-Hauptsturmführer Theo van Eupen. Wykorzystał on pozostawiony przez szybko posuwające się na wschód niemieckie wojsko majątek do budowy obozu pracy Treblinka I. Tym sposobem drewniane wojskowe budynki magazynowe z okolicznych miejscowości zostały przebudowane na baraki dla „opornych elementów” resocjalizowanych morderczą pracą głównie przy wydobywaniu żwiru. Theo van Eupen objął funkcję komendanta tej placówki. Do końca lipca 1944 r., kiedy obóz pracy został zlikwidowany, przeszło przez niego ok. 20 tys. osób, głównie Polaków i Żydów, z których połowa została w nim zamordowana lub zamęczona.



Pomnik na terenie byłego niemieckiego obozu zagłady w Treblince

Niemcy, uciekając przed Armią Czerwoną, zacierali ślady swojej zbrodniczej działalności – niszczyli dokumentację, palili zabudowania. Gdy odwiedziłem to miejsce, zastałem tam jedynie betonowe fundamenty baraków z tabliczkami opisującymi ich dawne przeznaczenie.

Bez wątpienia osoby, które często z ulicznej łapanki trafiały do Treblinki I, przechodziły tam przez piekło i były świadkami scen niewyobrażalnego okrucieństwa. Jednak ich szanse na przeżycie były wielokrotnie większe niż w przypadku trafienia do Treblinki II. Dwa kilometry przed żwirownią, ale nadal w głębi lasu, za zamaskowanym gałęziami sosnowymi ogrodzeniem z drutu kolczastego Niemcy zorganizowali „modelowy obóz śmierci”. Trafiali do niego przede wszystkim Żydzi z Polski i z innych okupowanych krajów Europy w ramach niemieckiej akcji „Reinhardt”, będącej jednym z etapów „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Przywożeni do Treblinki II Żydzi byli informowani, że jest to obóz przejściowy, w którym zatrzymają się w celach sanitarnych. Wszak oficjalnie byli oni przesiedleńcami w drodze do nowego miejsca zamieszkania. Mistyfikację miały pogłębiać m.in. barak wystylizowany na budynek dworca kolejowego z okienkiem kasowym i namalowanym zegarem oraz lazaret z powiewającą flagą Czerwonego Krzyża. Nie były one jednak w stanie wyeliminować unoszącego się nad całą okolicą swądu palonych ciał ani zakamuflować setek ciał uciekinierów leżących wzdłuż linii kolejowej. Żydzi spoza Polski przyjeżdżali tu pociągami osobowymi, z całym swoim przenośnym dobytkiem. Sami opłacali bilety za podróż, a kierownik pociągu zwracał ich odcinki na stacji w Treblince. Niemcy polskich Żydów przywozili do Treblinki II w ponad miarę stłoczonych wagonach towarowych, tak że znaczna część z nich nie przeżywała transportu z powodu braku powietrza lub pragnienia. Codziennie do Treblinki II trafiało od sześciu do dziesięciu tysięcy ludzi, a urządzona tam fabryka śmierci w ciągu zaledwie kilku godzin zamieniała ich we wrzucany do ziemnych dołów popiół. Cała operacja przebiegała zgodnie z niemieckim porządkiem. W lazarecie zabijano niepełnosprawnych i palono ich ciała razem z ciałami osób zmarłych w transporcie. Pozostałych rozdzielano według płci, ograbiano z całego dobytku, rozbierano do naga, kobietom dodatkowo golono głowy i partiami wpychano do komory gazowej, do której doprowadzano spaliny z silnika agregatu prądotwórczego zasilającego obóz. Przed spaleniem zwłok na specjalnych rusztach zbudowanych z szyn kolejowych wyznaczeni do tego więźniowie przeszukiwali otwory ciał, tak by znajdowane tam kosztowności służyły budowie tysiącletniej Rzeszy lub zasilały prywatne majątki „przedsiębiorczych” SS-manów. 2 sierpnia 1943 r. w Treblince II wybuchło powstanie. Przeprowadzili je więźniowie trzymani tam do obsługi obozu. Dzięki dorobionemu kluczowi udało się zdobyć broń z wartowni. Wywiązała się walka, spalono część zabudowań, wysadzono w powietrze zbiornik z benzyną, nie udało się zniszczyć komór gazowych. Z 840 osób przebywających w obozie 200 zdołało uciec, mniej niż 100 z nich doczekało końca wojny. Powstanie przyczyniło się do likwidacji obozu, co nastąpiło w listopadzie 1943 r. W Treblince II od lipca 1942 r. do końca jego istnienia zginęło ok. 800 tys. osób. A Ernst Gramms? Uciekł do Niemiec w 1944 r., w 1945 r. przebywał w amerykańskim stalagu Moosburg. W 1946 r. został z niego zabrany przez nieznane osoby i słuch po nim zaginął.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

WIĘCEJ ZDJĘĆ POD ADRESEM: wpolityce.pl/historia/475382-nigdy-wiecej

FOT. ARCHIWUM AUTORA

e-prasa.pl 0aa7395525f

CHRISTIANITAS AETERNA

Cat i Mochnacki



MAREK JUREK

W „Powstaniu narodu polskiego w roku 1830 i 1831" Maurycy Mochnacki pisał, że legitymiści „we Francji nazywają rozbiory Polski rewolucjami zarządzonymi przez monarchów przeciwko narodowi polskiemu; a powstania nasze kontrrewolucjami, to jest ciągłym dążeniem do restauracji. [...] »U nas królom – mówią i piszą karliści – u was narodowi odjęto odwieczne, słuszne, niezaprzeczalne prawa«". Ten fragment to przykład żywej recepcji potępienia przez konserwatywne autorytety (od de Maistre'a po Burke'a) rozbiorów Polski, na które z takim zrozumieniem patrzyli Wolter i francuscy encyklopedyści. Mochnacki jednak uznaje to stanowisko za co najmniej częściowe nieporozumienie. Celem Polski jest restauracja terytorialna, ale i rewolucja polityczna. Polska, która się odrodzi, musi być zupełnie innym państwem i społeczeństwem, natomiast odrodzić się musi w dawnych granicach.

Autor „Powstania narodu" czynił to pozornie oczywiste rozróżnienie, jednak kolejne dziesięciolecia miały coraz bardziej pokazywać, jak bardzo kształt geograficzny dawnej Polski wiązał się ze społeczeństwem i kulturą. Ziemia nosi ślady historii, granice państwa stanowią również opis jego losów. Polska na Wschodzie była tam, gdzie polskie dwory i łacińskie kościoły. I widać to już było podczas powstania styczniowego na Ukrainie.

Reakcja Mochnackiego na legitymistyczne sympatie do Polski pokazuje jeszcze niezrozumienie dużej części ówczesnej opinii niepodległościowej dla duchowego wymiaru zmian wywracających Europę, ale również – dla duchowej wielkości dawnej Polski. W monarchii Mochnacki widział jedynie formę władzy politycznej, a nie ważniejszą od polityki, otwartą na zmiany i postęp, formę państwowej suwerenności,



Są elementy, które łączyły rewolucjonistę Mochnackiego (powyżej) i kontrrewolucjonistę Mackiewicza. Obaj byli do szpiku kości inteligentami i obaj byli politycznie samotni



właściwą dla cywilizacji katolickiej. Maurycy Mochnacki zmarł zaraz po powstaniu listopadowym, kilkanaście lat przed Wiosną Ludów. A dopiero wtedy Europa zaczynała się przekonywać, jak wielkim złudzeniem była międzynarodowa solidarność „za wolność waszą i naszą".

Stanisław Cat-Mackiewicz od początku niepodległości uważał, że niemożliwa jest nawet częściowa restauracja terytorialna dawnej Polski – bez tradycyjnych instytucji, a szczególnie monarchii. Demokracja utrwala różnice, podziały należą do jej istoty. Jest odporna na różnice polityczne, gdy strony sporu mogą się zmieniać u władzy. Ale różnice narodowościowe są innej kategorii niż opinie polityczne. Również dziś widzimy, że demokracja nie jest w stanie powstrzymać antypaństwowych tendencji mniejszości, przekonanych, iż pozycja skazuje je na to, że nigdy większością nie będą.

Monarchia to mechanizm scalający, zarówno różnice polityczne, jak i etniczne (co dziś widzimy w Belgii czy Hiszpanii). Gdyby Cat żył – powoływałby się na przykład tych dwóch państw. Uważał bowiem, że monarchia to jedyny czynnik integracji państwowej mniejszości narodowych, a więc – odbudowy narodu politycznego Rzeczypospolitej. Używając pojęć Mochnackiego, Mackiewicz uparcie przekonywał, że niemożliwa jest restauracja częściowa. Potrzebna jest restauracja pełna – zarówno geograficznej treści, jak i ustrojowej formy. Forma bowiem formuje również samą treść.

Z dzisiejszej perspektywy Cata przedstawia się jak fantastę. A przecież jeszcze dwa lata przed odzyskaniem niepodległości panowało powszechne przekonanie, że Polska odrodzi się tak jak inne państwa, które w XIX w. odzyskiwały niepodległość, jak Grecja, Belgia, Bułgaria, Rumunia – jako monarchia.

Są jednak elementy, które łączyły rewolucjonistę Mochnackiego i kontrrewolucjonistę Mackiewicza. Obaj byli do szpiku kości inteligentami i obaj byli politycznie samotni. Codzienna polityka polega bardziej na tworzeniu emocji niż na przekonywaniu do racji. Są jednak momenty zwrotne. Obaj więc mieli swoje wielkie historyczne chwile (Mochnacki – pierwsze dni powstania, Mackiewicz – zjazd w Nieświeżu). Mochnacki zakończył swą drogę polityczną w Hôtel Lambert, życząc korony Księciu Adamowi. Cat nie scalił państwa, ale pomógł scalić prawicę i lewicę wewnątrz obozu pomajowego. Dla nich obu miłością i obsesją życia była niepodległa Polska.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA; NAC

eprasa.pl 0aa789525f

KARABIN MOSIN WZ. 1891, CZYLI PRZYJACIEL NA LATA



Trudno określić całkowitą liczbę wyprodukowanych karabinów Mosin. Mogło to być nawet 37 mln (!) egz.

KARABINY POWTARZALNE MOSIN BYŁY UŻYWANE PRZEZ ROSYJSKICH ŻOŁNIERZY OD KOŃCA XIX w. DO LAT 60. NASTĘPNEGO STULECIA



KACPER GROCHOCKI

Opracowanie w latach 80. XIX w. we Francji „bezdymnego prochu", czyli nitrocelulozy, było milowym krokiem w rozwoju broni strzeleckiej. Szybko z tego wynalazku skorzystali sami Francuzi, a niedługo po nich Austriacy i Niemcy. Kolejnym ówczesnym mocarstwem, w którym postanowiono zmodernizować uzbrojenie szeregowych żołnierzy, była carska Rosja.

Pod rozwagę brano różne zagraniczne modele karabinów, lecz największe zainteresowanie wzbudził produkt belgijskiej firmy braci Nagant. Czerpiąc z niego inspirację, Siergiej Mosin, rosyjski konstruktor z zakładów zbrojeniowych w Tule, opracował własny projekt broni i w lutym 1890 r. zaprezentował jej prototyp.

Powołana została komisja mająca na celu przetestowanie i porównanie obydwu konstrukcji. Pod względem jakości wykonania i niezawodności przewagę miał karabin belgijski, lecz jego istotną wadą była potrzeba używania specjalnego osprzętu do rozłożenia broni. Mimo to był on faworytem. Mosin jednak na bieżąco udoskonalał swój projekt, dzięki czemu ostatecznie komisja zadecydowała o stworzeniu karabinu łączącego cechy obu propozycji. Po kolejnych testach, i przy pewnej dozie współpracy Mosina i Naganta, w kwietniu 1891 r. nowy karabin został przyjęty do uzbrojenia armii rosyjskiej jako „trzyliniowy karabin wzór 1891" (linia oznaczała miarę kalibru – jedna linia wynosiła 1/10 cala, czyli 2,54 mm).

Mimo wszystko kooperacja rosyjsko-belgijska nie była łatwa, Nagant był bowiem rozczarowany odrzuceniem jego konstrukcji i zgłaszał naruszenie praw patentowych. Sytuację udało się załagodzić bonifikatą pieniężną w wysokości 200 tys. rubli, a kilka lat później także kontraktem na rewolwery dla carskiej armii. Prawdopodobnie z powodu tej sytuacji na Zachodzie utrwaliła się potoczna nazwa broni jako Mosin-Nagant, w Rosji natomiast stosowana jest wersja Mosin.

Wz. 1891 był karabinem kal. 7,62 mm, powtarzalnym, czterotaktowym, z zamkiem ślizgowo-obrotowym. W pierwotnej wersji miał długość 128,8 cm i ważył 3,99 kg. Magazynek mieścił cztery pociski, a piąty, po zamknięciu zamka, znajdował się w komorze nabojowej. Na broń można było założyć charakterystyczny czworograniasty długi bagnet („sztyk").

Z czasem broń była rozwijana. Udoskonalano techniki produkcji, upraszczano konstrukcję i zmniejszano gabaryty karabinu. Niedługo po wprowadzeniu pierwszej wersji opracowano jego krótszy model zwany „dragońskim" lub „kozackim" (bez bagnetu). W 1907 r. do służby wszedł mocno skrócony karabinek (101,5 cm długości) oznaczony jako wz. 1907. Dalszych zmian podejmowano się już w ZSRR.

W połowie lat 20. powołano komisję mającą na celu modernizację karabinów Mosin. W jej skład wchodzili m.in. W. Diegtiariew, W. Fiodorow oraz F. Tokariew. Efektem prac komisji był wz. 1891/30 zatwierdzony do produkcji w lutym 1930 r. Na jego podstawie pod koniec lat 30. powstał karabinek wz. 1938, a w czasie wojny jeszcze wz. 1944, różniący się od poprzednika posiadaniem stałego, składanego z boku broni bagnetu.

Karabiny Mosin odznaczały się prostą konstrukcją, małą podatnością na zanieczyszczenia oraz odpornością na niskie temperatury. Ich jakość wykonania nie była najwyższa, lecz mimo to miały przyzwoite własności balistyczne. Dziś trudno określić całkowitą liczbę wyprodukowanych karabinów Mosin. Może ona oscylować w granicach nawet 37 mln (!) egz. Tylko w czasie II wojny światowej miało ich powstać ok. 17 mln.

Głównym użytkownikiem karabinów Mosin była oczywiście Rosja i ZSRR, gdzie w służbie broń ta pozostawała do lat 60. XX w. Jednocześnie korzystała z nich większość państw po komunistycznej stronie żelaznej kurtyny, również Ludowe Wojsko Polskie. Do dziś broń ta używana jest w różnych armiach biedniejszych państw, a przez to także w konfliktach zbrojnych na Bliskim i Dalekim Wschodzie oraz w Afryce.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0aa789525f



NA C

WIDMO WOJNY GAZOWEJ

Maskę należało założyć jak najszybciej po zauważeniu ataku gazowego – uczennice podczas ćwiczeń, 1928 r.

Pamiętano również o zabezpieczeniu przeciwgazowym psów służbowych

ŁUKASZ KAROLEWSKI

Lata 20. i 30. XX w. naznaczone były piętnem Wielkiej Wojny z jej wyjątkowo szerokim arsenałem środków zabijania. Oprócz bomb lotniczych, karabinów maszynowych, ciężkiej artylerii i miotaczy ognia szczególnie złą sławę zyskały gazy bojowe. Użyto ich na froncie zarówno zachodnim (Ypres), jak i na wschodnim (Bolimów, Osowiec), powodując śmierć lub kalectwo setek tysięcy żołnierzy. Rysujący się na horyzoncie nowy konflikt zbrojny napawał obawą jeszcze szerszego wykorzystania bojowych środków trujących, nawet mimo podpisanego w 1925 r. przez 44 sygnatariuszy protokołu genewskiego o niestosowaniu broni chemicznej i biologicznej.

W wielu państwach rozwijano środki ochrony przeciwgazowej zarówno dla wojska, jak i ludności cywilnej. W Polsce zajmowała się tym powołana w 1923 r. Liga Obrony Powietrznej Państwa, która w 1928 r. została połączona z Towarzystwem Obrony Przeciwgazowej w Ligę Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej (LOPP). Była to organizacja paramilitarna, w 1933 r. uznana za organizację wyższego pożytku publicznego, współpracująca z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Ministerstwem Spraw Wojskowych. Koła LOPP działały w szkołach i zakładach pracy, prowadząc szeroką działalność propagandową i szkoleniową. Starano się uwrażliwić społeczeństwo na konieczność rozwoju lotnictwa, tworzono szkoły szybowcowe i aerokluby, prowadzono sprzedaż masek przeciwgazowych, wydawano też specjalistyczną prasę. Realizowano szkolenia i kursy, które uczyły nie tylko obrony przeciwgazowej, lecz również pierwszej pomocy czy obsługi środków łączności. Instruowano ludność, jak powinna się zachowywać w razie ataku bronią chemiczną i w jaki sposób neutralizować skażenia. Organizowano nawet „pokazy wojny gazowej", podczas których gaz imitowały substancje dymotwórcze, żołnierze w maskach przeciwgazowych pozorowali atak na pozycje nieprzyjaciela, a strażacy gasili zainscenizowane pożary. Na fotografiach publikowanych w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" widzimy członków patroli LOPP w kombinezonach przeciwchemicznych i maskach, którzy niosą opryskiwacze i skrzynie z sypkimi odkażalnikami czy zaznaczają tabliczkami granice terenów skażonych. Statyści prezentują zarówno właściwe postępowanie w razie ataku, jak i przykłady popełnianych błędów, jak w przypadku tragarzy, którzy wbrew zaleceniom ukryli się pod wózkiem. Organizowano także Tygodnie Obrony Przeciwgazowej, łączące pokazy i ćwiczenia z pochodami propagandowymi, podczas których nawoływano do członkostwa w LOPP, wpłacania datków na obronność, zaopatrywania się w maski przeciwgazowe i stałego noszenia ich ze sobą. Do propagowania obrony przeciwgazowej zaprzęgnięto także sport, modyfikując istniejące dyscypliny – przykładowo biegi i wyścigi kolarskie zaczęto odbywać również w maskach przeciwgazowych. Opór stawiany przez pochłaniacz maski przy każdym wdechu stanowił dodatkowe poważne obciążenie organizmu zawodnika, znacznie zwiększające jego wysiłek.

Brak dostatecznej liczby masek przeciwgazowych dla ludności powodował konieczność wytwarzania ich we własnym zakresie. Instrukcje zamieszczały zarówno prasa codzienna, jak i fachowe publikacje. Zwykle szyto je z flaneli, w formie tamponu obejmującego nos i usta, podczas gdy oczy miały chronić okulary stosowane w przemyśle chemicznym lub gogle motocyklowe. Tampon nasączano roztworem sody, tiosiarczanu sodu, urotropiny lub nawet zwykłego mydła. Tampony produkowano również fabrycznie, a gotowość do użycia uzyskiwały po pięciu minutach od nasączenia. Gazety przypominały również, by w sytuacji skażenia iść pod wiatr, a nie z wiatrem, omijać zagłębienia terenu, w których gaz dłużej się utrzymuje, a także nie dotykać żadnych napotkanych substancji.

Przygotowania do wojny gazowej okazały się jednak niepotrzebne. W czasie polskiej wojny obronnej żadna ze stron nie użyła broni chemicznej. Rzekome zaminowanie minami gazowymi mostu w Jaśle, które miało wywołać zatrucia niemieckich saperów, okazało się wytworem hitlerowskiej propagandy. Był on na tyle mało wiarygodny nawet dla samych Niemców, że zbytnio go nie eksponowano – wyłączywszy nieliczne wzmianki w prasie, które przypisywały Anglikom zaopatrzenie Polski w gazy bojowe.

eprasa.pl 0aa789525f



Wesoła ferajna z KPP, czyli Magda Samulik, Hubert Matysiak oraz Piotr Skoczyński



Agitator-podpalacz

Pierwszy sygnał, że „komunistyczna sesja" nie będzie łatwa, pojawił się już na początku dnia. Aktorka przypisana do roli komunistki porannym telefonem odwołała swój udział z powodu zmian godzin zdjęciowych filmu, w którym grała. Sytuacja na szczęście nie była tragiczna, ponieważ chęć udziału w naszej sesji wyraziło jeszcze 80 osób i było kilka godzin na decyzję. Strategiczny wybór padł na Magdę Samulik, która dzięki klasycznej urodzie idealnie mogła się wcielić w postać arystokratki uwiedzionej przez szarmanckiego komunistę. Tego ostatniego z kolei zagrał Hubert Matysiak, aktor młodego pokolenia, o którego będą się jeszcze zabijać polscy i zagraniczni reżyserzy. Obie postaci zostały ubrane w kostiumy wypożyczone na tę okazję z nowego punktu Retro-Pasji mieszczącego się przy ul. Stępińskiej 3. Miejsce wyjątkowe, nie tylko z racji ogromnej liczby strojów najwyższej klasy i biżuterii, lecz również dlatego, że na miejscu w salonie piękności klient może przejść całkowitą metamorfozę, łącznie z makijażem i fryzurą.

Na miejsce wieczornych zdjęć wybrano zaprzyjaźniony „bunkier" Reko-Waw przy ul. Anielewicza 9, gdzie na co dzień także mieści się wypożyczalnia kostiumów. To tutaj nasi pozostali bohaterowie przywdziali sowieckie rubachy, dopełniając klimatu spotkania kamratów z KPP. Oprócz kostiumów, hełmów, broni, instrumentów, starych obrazów i setek bibelotów można wypożyczyć meble. Okrągły stół, którego złożenie wymagało sporo czasu i zapału, nadawał się idealnie. Gdy w końcu stanął, z racji jego niestabilnej konstrukcji obowiązywała jedna święta zasada – NIE DOTYKAMY GO! Tymczasem okulary dla Janka Nałęcza, grającego agitatora, połamały się. Problem polegał na tym, że pozostałe pary przed remontem zostały gdzieś utknięte w tzw. dobrym miejscu i znalezienie ich równało się wyzwaniu dla poszukiwaczy Świętego Graala. Zatem musieliśmy pracować na tym, co mieliśmy, i prosty sznurek musiał rozwiązać problem.

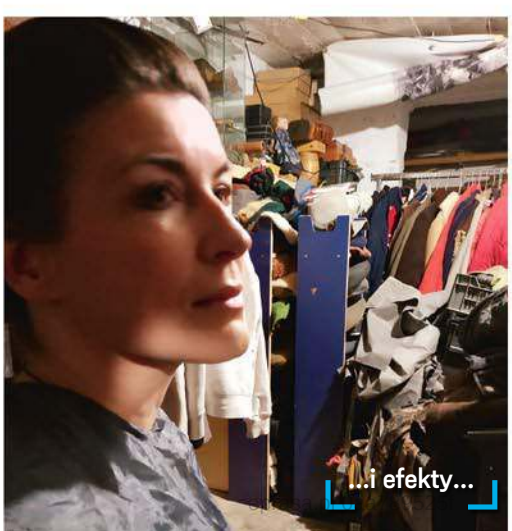
Gdy uporaliśmy się z mocowaniem okularów na głowie antybohatera, jak salwa z krążownika Aurora poraziła nas informacja, że umówiony „komunista numer 2" nie dojedzie na plan. Gdy do zdjęć jest 60 sekund, do zapełnienia wakatu nadaje się każdy, kto ma głowę, ręce i nogi, w naszym wypadku fotograf Andrzej Wiktor. Na szczęście na miejscu był jeszcze Piotr Skoczyński, rekonstruktor, który akurat tego wieczoru pomagał w układaniu pudeł z kostiumami i utykanymi gdzieś okularami.

Charakteryzacji uczestników tajnego spotkania członków KPP dokonały Klaudyna Pabudzińska-Kossek oraz Joanna Wasilewska.

MICHAŁ KORSUN



Klaudyna Pabudzińska-Kossek...



...i efekty...



...jej charakteryzacji



Dyrektor artystyczny Michał Korsun na planie



Piotr Skoczyński. Wersja z harmonią



Nowo otwarta wypożyczalnia i salon Retro-Pasje



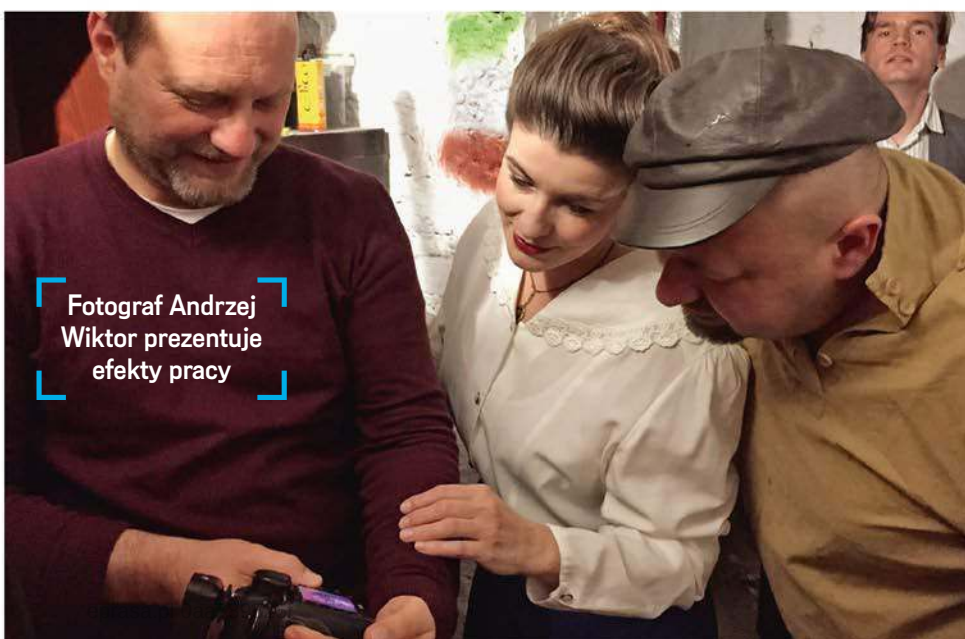




Hubert Matysiak w kamizelce



Jan Nałęcz w swoim żywiole



Fotograf Andrzej Wiktor prezentuje efekty pracy

JENIECKI NIEŚMIERTELNIK



PAWEŁ BRUDEK

NIEŚMIERTELNIKI TO SPECYFICZNE PAMIĄTKI, NIOSĄCE W SOBIE CENNĄ INFORMACJĘ. ROLA NIEŚMIERTELNIKÓW NIE OGRANICZAŁA SIĘ DO PÓL BITEWNYCH. W ZWIĄZKU Z NIESPOTYKANIE WYSOKĄ LICZBĄ JEŃCÓW WOJENNYCH PODCZAS II WOJNY ŚWIATOWEJ STAŁY SIĘ ONE NIEZBĘDNE RÓWNIEŻ W IDENTYFIKACJI WIĘŹNIÓW OBOZÓW



Nieśmiertelnik jeniecki Stalag Lamsdorf, 1944–1945

Nieśmiertelniki jako przedmioty niezbędne do identyfikowania poległych lub ranionych żołnierzy zostały po raz pierwszy formalnie wprowadzone w armii pruskiej podczas wojny francusko-pruskiej w latach 1870–1871 oraz w armii amerykańskiej w 1906 r. W Europie rozpowszechniły się podczas I wojny światowej. W Wojsku Polskim pojawiły się z mocy rozkazu z 22 grudnia 1920 r. Miały one odtąd mieć formę podwójnych blaszek z otworami umożliwiającymi ich przełamanie na dwie części. Obie blaszki zawierały podstawowe dane na temat ich posiadacza. W ramach konwencji genewskiej z 1929 r. ustalono, że formacje zbierające zabitych po bitwie zabierają połowę nieśmiertelnika, wysyłając ją następnie do rodziny żołnierza, drugą połowę zaś zostawiają przy ciele, wkładając ją poległemu do ust między zęby, co ułatwiało jego identyfikację podczas ekshumacji.

Rola nieśmiertelników nie ograniczała się do pól bitewnych. W związku z niespotykanie wysoką liczbą jeńców wojennych podczas II wojny światowej stały się one niezbędne również dla identyfikacji więźniów obozów. Jeńcy z powstania warszawskiego, którzy zgodnie z układem o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie z 2 października 1944 r. otrzymali prawa kombatanckie, trafiali do obozów zarządzanych przez Naczelne Dowództwo Wehrmachtu. Po przybyciu do obozu byli fotografowani, otrzymywali tabliczkę identyfikacyjną (tzw. Erkennungsmarke, czyli odznakę rozpoznawczą) z numerem własnym według kolejności przybycia (zawsze ten sam nr za życia jeńca, niezależnie od obozu) i numerem obozu. Wyrabiano im również zieloną kartę osobową o jednolitym wzorze dla wszystkich obozów. Numer był wprowadzany do karty jenieckiej w kartotece, prowadzonej przez WASt. – czyli Urząd Informacyjny Wehrmachtu (Wehrmacht-Auskunft-Stelle) w Berlinie. O rozmiarach kartotek świadczy sama liczba obozów pod zarządem Wehrmachtu: było ich 150 we wszystkich 20 okręgach wojskowych Rzeszy.

Muzeum Powstania Warszawskiego jest w posiadaniu blaszki identyfikacyjnej z obozu jenieckiego w Lamsdorf (Łambinowice) umocowanej na skórzanym pasku, należącej do strzelca Haliny Danuty Wencel ps. Dada (późniejsze nazwisko Smosarska), uczestniczki powstania warszawskiego. Blaszkę umocował na pasku kolega jeniec. Widnieje na niej podwójnie wybity napis: „Stalag 318 / VIII F". Jest to „Stammlager für kriegsgefangene Mannschaften und Unteroffiziere" – obóz główny dla jeńców wojennych szeregowców i podoficerów, do którego trafiali jeńcy z AK po powstaniu. Po krótkim pobycie byli segregowani i rozsyłani dalej w głąb Niemiec. Obóz istniał do marca 1945 r. „Nr 106899" – to numer jeniecki. Przez środek blaszki przebiega pięć szczelin, które miały ułatwić ewentualne przełamanie na pół. W czterech narożnikach blaszkę przymocowano do paska za pomocą metalowych nitów. Pasek ma czerwono-brązowy kolor z metalową sprzączką. W połowie długości rozszerza się i w tej szerszej części przymocowana jest blaszka. Blaszkę przeznaczono do noszenia na szyi (po to otwory do przewieszania sznurka), lecz w obozie Lamsdorf Polacy – korzystając z dostępu do warsztatu – przerabiali je w taki sposób, by móc nosić je na przegubie dłoni. Nieśmiertelniki jenieckie w takiej postaci dla żołnierek z Armii Krajowej stawały się niekiedy specyficznymi ozdobami. W stalagu Lamsdorf zatrudniony w warsztacie jeniec sowiecki przerabiał je na damskie bransoletki; taką otrzymała m.in. sanitariuszka Zofia Arcimowicz „Zula". Jako dar rodzinny taki nieśmiertelnik jest obecnie eksponowany na wystawie w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu-Łambinowicach. Inne żołnierki również w tym celu przerzucały przez drut obozowy swoje nieśmiertelniki; przerobione w ten sposób dokumentują pobyt kobiet z AK w tym miejscu.

Nieśmiertelniki to specyficzne pamiątki niosące w sobie cenną informację. Nieprzełamane, ze śladami długotrwałego przebywania w ziemi, pojawiające się w obrocie handlowym mogą niestety oznaczać, iż sprzedawca dokonał rabunku nieoznakowanego grobu żołnierskiego, popełniając przestępstwo. W takiej sytuacji należy powiadomić policję, sam zaś nieśmiertelnik powinien niezwłocznie trafić do Czerwonego Krzyża z dokładną lokalizacją miejsca znalezienia. Dane z nieśmiertelnika w związku z olbrzymią bazą danych na temat zaginionych żołnierzy mogłyby pomóc w identyfikacji zwłok. Możliwe jest jednak również przypadkowe odnalezienie nieprzełamanego nieśmiertelnika w miejscu, gdzie po prostu go zgubiono bądź wyrzucono, chcąc pozbyć się np. niewygodnego świadectwa służby w zbrodniczej formacji.



Obóz w Lamsdorf–Łambinowicach, fotograf nieznany

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

DLACZEGO „PESTKI" SĄ TWARDE?

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ



ARTUR CIEŚLIK

Pomocnicza Służba Kobiet (PSK) była w historii Wojska Polskiego formacją pod każdym względem wyjątkową. Utworzenie tej kilkutysięcznej armii kobiet oparto na wzorcu brytyjskim, z tym że Polki – w odróżnieniu od swoich brytyjskich koleżanek – pełniły służbę z bronią w ręku, nierzadko w warunkach frontowego ostrzału.

Zarządzenie organizacyjne „O zaciągu ochotniczym kobiet" ukazało się 14 grudnia 1942 r. W okresie największej liczebności PSK skupiała w swoich szeregach ok. 7 tys. ochotniczek, jednak nie liczby stanowiły o wyjątkowości tej formacji. „Pestki", jak nazywali je koledzy z armii, były i są po dziś dzień pięknym wzorcem niepokornego ducha polskości, który pojawia się zawsze wtedy, kiedy los wzywa Polaków na próbę. Aby wstąpić do armii Andersa, kobiety pokonywały bezkres Syberii i grozą brzmią ich słowa, że o przyjęcie do armii musiały walczyć nawet wówczas, gdy stały już u bram punktów rekrutacyjnych. Pamiętać należy, że gen. Anders tworzył armię na terenach państwa Polakom wrogiego. Polskie organa musiały uznać nadzór sowiecki i limity przyjętych. Nieraz się zdarzyło, że po dotarciu do celu kobiety słyszały, iż limit został wyczerpany albo rekrutację przeniesiono do punktu oddalonego o kilkaset kilometrów. By przetrwać, podejmowały w kołchozach pracę opłacaną głodową racją żywnościową. Niekiedy pomagał wrodzony u Polaków gen radzenia sobie w sytuacjach bez wyjścia. Dzięki temu znajdowało się jeszcze jedno miejsce na liście przyjętych.

Esencją historii „Pestek" są losy Bronisławy Sanejko. Rodzina Sanejków wywieziona w czerwcu 1941 r. i skazana na 20 lat syberyjskich łagrów nadzieję na wydostanie się z „nieludzkiej ziemi" odnalazła w armii Andersa. Brat Bronisławy, Józef, został szczęśliwie przyjęty. Jej samej tej odrobiny szczęścia początkowo zabrakło. 16-letnia dziewczyna, wypełniając kwestionariusz osobowy, podała prawdziwą datę urodzenia. Mimo pozytywnej opinii polskich organów Sowieci skreślili ją z listy. Sytuację uratowała komendantka punktu, która sfałszowała dane osobowe, dodając dziewczynie dwa lata. Dzięki temu Bronisława dołączyła do ochotniczek.

Dla przyjętych nie było żadnej taryfy ulgowej. Nastoletnie dziewczęta obcięły warkocze, założyły za duże męskie mundury i te, które fizycznie były zdolne do służby, przystąpiły do dwumiesięcznego szkolenia w 103 Szkoleniowej Kompanii Transportowej. Już w marcu 1943 r. oczekiwały w obozie Gedera w Palestynie na pierwsze rozkazy. „Pestki" zasiadły za kierownicami wielotonowych samochodów ciężarowych, ich zadaniem było zapewnienie zaopatrzenia w amunicję, żywność, paliwo i sprzęt oraz transport żołnierzy. Na pustynnych trasach mogły liczyć tylko na siebie. Doskonale się sprawdziły, świetnie radziły sobie z naprawą pojazdów.

Bronisława Sanejko pełniła służbę w 316 Kompanii Transportowej 2 Korpusu Polskiego po ostatnie dni Kampanii Włoskiej. Pamięć o zaszczytnej służbie „Pestek" z 316 Kompanii Transportowej kultywuje 45 Wojskowy Oddział Gospodarczy, który w maju 2016 r. przyjął na sztandar dziedzictwo 316 Kompanii.

„Pestki" z 316 Kompanii Transportowej PSK przy swoich samochodach, trzytonowych ciężarówkach Chevrolet 3T. Wizytacja obozu przez gen. Władysława Sikorskiego



eprasa.pl/0aa789525f

Zamów dziś prenumeratę

Będziesz się nią cieszyć cały rok!

ROCZNA PRENUMERATA

SIECI + wSIECI HISTORII

30% TANIEJ



PRENUMERATA NA 12 MIESIĘCY

SIECI + wSIECI HISTORII	SIECI	wSIECI HISTORII
280 ZŁ	245 ZŁ	54 ZŁ

Zamówienia prenumeraty można składać:

- przez internet: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**
- telefonicznie: **22 616 15 70**
- e-mailem: **prenumerata@fratria.pl**

eprasa.pl 0aa789525f